

Maria Wiernikowska

O jedyniczkę wolnej miłości marzy
o monogamii → 32

„Rolling Stone” ryzykuje

Słynne pismo zarzuca Ameryce współwinę
za zamach w Bostonie → 38

„Miłość” wiecznie żywa

Dokument o zespole, który tak się
kochał, że nie mógł dłużej grać → 48

PRZE KROJ

nr 31 (3548), 5 sierpnia 2013, cena: 4,90 zł (w tym 8% VAT)
www.przekroj.pl

Wszystkie grzechy sportowców

Kultowy komentator Krzysztof Wyrzykowski
o przyjaźni z Armstrongiem, kapryсах naszych
tenisistów i lansie „na maraton” → 6

INDKS
371424

ISSN 0033-2488
3 1

„Przekrój” ukazuje się od 1945 roku

W wakacje czytaj BEZ OGRANICZEŃ



DARMOWE WI-FI

W WYBRANYCH PLACÓWKACH POCZTOWYCH

CZYTAJ Z NAMI E-WYDANIA GAZET!

RZECZPOSPOLITA

**Bloomberg
Businessweek**

Polska

**PRZE-
KRÓJ**

MAGAZYN
SUKCES

**UWAŻAM RZE
HISTORIA**



W czasie wakacji przyjdź na pocztę* i:

- skorzystaj z bezpłatnego dostępu do Internetu
- czytaj bez ograniczeń e-czasopisma („Rzeczpospolita”, „Bloomberg Businessweek Polska”, „Sukces”, „Przekrój”, „Uważam Rze Historia”)
- wypróbuj tablet firmy **Samsung** – jeżeli chcesz go kupić, wystarczy złożyć zamówienie we wskazanej placówce pocztowej*

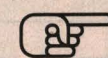
*dotyczy wybranych placówek pocztowych w lipcu i sierpniu 2013 r.

Partnerzy akcji:

Poczta Polska

e-kiosk

PRZE- KRÓJ



NA POCZĄTEK

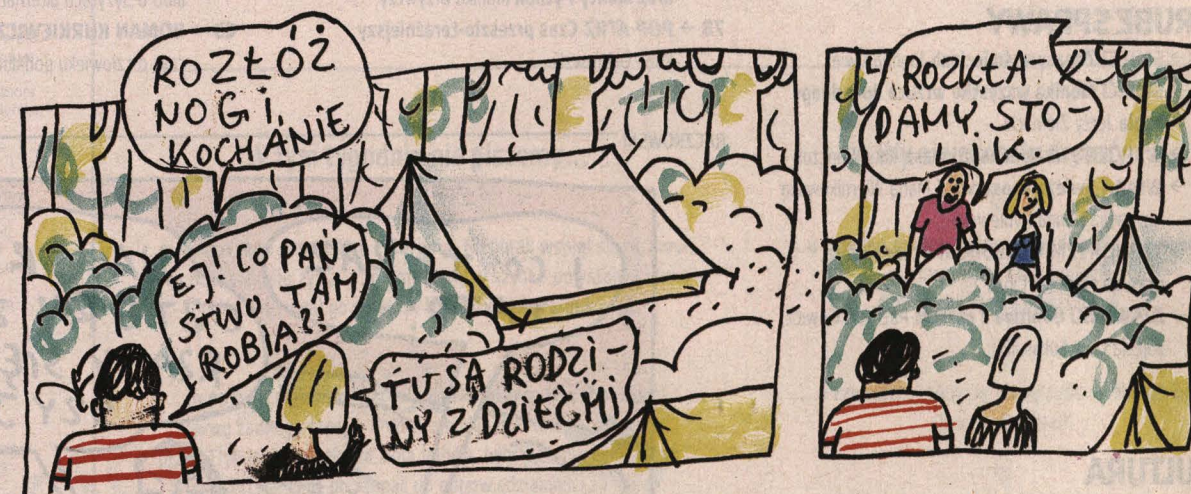
ZUZANNA ZIOMECKA



Na stole leży 450 tys. euro, uwielbienie tłumu i światowa kariera. Na wyścig po tę wygraną szykowałeś się bez przerwy od 10 lat. Rodzina, przyjaciele, twoje miasto i kraj patrzą, kibicują i wierzą. Masz tylko cień szansy na ponowny start. Wywalczyłeś sobie miejsce w wyścigu potwornym wysiłkiem i wsparciem całej rodziny, która zagrała w banque i wpakowała w ciebie wszystkie oszczędności. Tymczasem obok ciebie rozgrzewa się kilku poważnych rywali – i wszyscy w środowisku wiedzą, że kilku z nich bierze doping. Mają przewagę, a ty tylko tę jedną szansę. Co robisz? To samo co nieszkodliwy społecznie człowiek, gdy wkłada do kieszeni 1 gram marihuany. Ryzykujesz wszystko. Lance Armstrong, amerykański kolarz i zdobywca nieprawdopodobnej, bo aż siedmiokrotnej, wygranej w Tour de France, zaryzykował w ten sposób i wpadł (str. 6). Stracił tytuły, medale i dożywotnio wykluczono go z zawodu. W między-

czasie w Polsce didżej Paweł Falkowski złapany z gramem marihuany stracił pracę i trafił do więzienia, rozpadł mu się też związek. Takich przegranych jak on jest wielu. Co zyskało społeczeństwo? W przypadku Pawła minus 30 tys. zł kosztów sprawy opłacone z naszych podatków. W przypadku Lance'a minus jeden superbohater. A plusy? W obu przypadkach nie widać. Kolarze nie przestali dopalać, entuzjaści trawy też nie. Zresztą ta reguła jest globalna. Żaden demokratyczny kraj wypowiadający wojnę narkotekom nie pozbył się ich z ulic. Z dopingiem jest tak samo, sportowcy biorą i będą brać. Może więc uczciwiej byłoby dopuścić doping? Wtedy będzie wiadomo, który zawodnik w połączeniu z jakim dopingiem potrafi najwięcej. Sponsoring farmaceutyczny rozwinie skrzydła. A palacze marihuany poprzez akcyzę zaczną napępiać konto państwa, zamiast je, w brew własnej i mojej woli, opróżniać.

RACZKOWSKI



MARCIN PROKOP

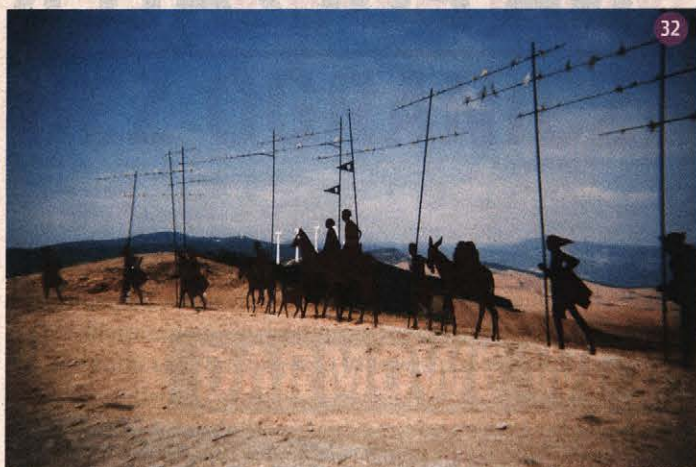


Kiedy piszę te słowa, jestem akurat w USA. Wśród tematów poruszanych w kawiarnianych dyskusjach przez moich znajomych jedno z głównych miejsc zajmuje okładka ostatniego „Rolling Stone’a”, z której uśmiecha się subtelnej urody nastolatek. Dżochar Carnajew – zamachowiec z Bostonu, który zabił trzy osoby i ranił 264. Sportretowany jako gwiazda popkultury. Moi rozmówcy – w większości liberalnie ustosunkowani, wyluzowani światopoglądowo ludzie ze środowisk uniwersyteckich – są wściekli. Miotają przekleństwa. Jak oni mogli coś takiego zrobić? Oni, czyli jeden z najważniejszych

amerykańskich magazynów, istniejący od prawie pół wieku. Nieśmiało przypominam, że przecież „Rolling Stone” w przeszłości wiele razy prowokował. Choćby umieszczając zdjęcie nagiej Janet Jackson, której piersi zasłaniają białe, męskie dłonie. „Ale wtedy o coś im chodziło. Walka z rasizmem i tak dalej. Ale dawać na okładkę zdjęcie terrorysty? Po co?” – słyszę w odpowiedzi. „A czytaliście w ogóle ten tekst?” – dopytuję. „No co ty, nie wydamy już ani centa na tę gazetę!” – krzyczą oburzeni. My jednak postanowiliśmy wydać. Żeby się dowiedzieć (str. 36), czy mimo wszystko i tym razem przypadkiem o coś nie chodziło.

5 sierpnia 2013

3



AKTUALNOŚCI

- 6 → **BOHATER TYGODNIA** Sport jest na zawsze
O doping, celebrytach-katorżnikach i emocjach
z komentatorem Krzysztofem Wyrzykowskim
rozmawia Paweł Wilkiewicz
- 12 → **AKTUALNOŚCI** Płonie tęcza na Wschodzie
Edyta Borkowska

GRUBE SPRAWY

- 20 → **ŚMIECI** Zapasy w śmieciach Joanna Ćwiek
- 24 → **ŚMIECI** Monika wszystko wrzuca do jednego
kubła Jerzy Ziemacki
- 28 → **WSPÓLNOTA** Dom nasz i wasz Anna Sańczuk
- 32 → **WIARA** Świeża konserwa Z Marią Wiernikowską
rozmawia Hanna Rydlewska
- 38 → **TERRORYZM W MEDIACH** Skandaliczna
prawda Przemek Cioch
- 42 → **ZJAWISKO** Gonitwa z czasem Patryk Chłewicz,
zdjęcia Łukasz Łukasiak

KULTURA

- 48 → **FILM MUZYCZNY** Tęsknota za miłością
Anita Zuchora
- 52 → **TEATR** Przypadki Dada von Bzdülów
Mike Urbaniak
- 56 → **LITERATURA** Prosto, elegancko Marcin Kube
- 58 → **ART VOLVER** Kadry i symbole Alek Hudzik
- 60 → **MUZYKA** Na początku był blues
Angelika Kucińska
- 61 → **MUZYKA** Recenzje Winczewski o Rodgersie,
Kucińska o Wu-Tang Clan (Coke Live Music Festival)
- 62 → **FILM** Recenzje Chrobak wpadła do kina,
Nowakowska ogląda TV
- 64 → **ZWIASTUN LITERACKI** Między swoimi i obcymi
Fragment książki „Papusza” Angeliki Kuźniak

ROZMAITOŚCI

- 68 → **RECYKLING** Piękno z odzysku
Wanda Modzelewska
- 72 → **OD RZECZY** Kluczowa sprawa Rysuje i opisuje
Franciszek Barwiński
- 74 → **PIERWSZA PRACA** „Jestem emerytem”
nie wystarcza Z Przemysławem Saletą rozmawiają
Bartosia & Klinie
- 76 → **FANTY I FETYSZE** Kawa, papierosy, gazeta
oraz Monty Python Monika Brzywczy
- 78 → **POP-ATRZ** Czas przeszło-teraźniejszy
Kuba Dąbrowski

- 80 → **WINO** Wino na grill Które pasuje
do kalarepy, a które do kangura?
Polewa Wojciech Bońkowski

FELIETONY

- 16 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Detroit safari,
czyli o polowaniu na pancerne indyki
- 18 → **JAKUB ŻULCZYK** W holdzie herosom
albo o Syzyfach alternatywy
- 63 → **ROMAN KURKIEWICZ** Teraz jest wojna,
czyli o człowieku podsłuchiwanym

RACZKOWSKI



PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,
22 463 03 00, www.przekroj.pl,
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

Redaktorzy naczelni:
Zuzanna Ziomecka
Marcin Prokop

Zastępcy redaktorów naczelnych:
Hanna Rydlewska
Monika Brzywczy
(redaktor działu Kultura)

Redaktor działu Grube Sprawy:
Hubert Kropliniński

Redaktor:
Grzegorz Sobaszek
Sekretarz redakcji:
Katarzyna Czarnecka

Współpracownicy:
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,
Angelika Kucińska, Roman
Kurkiewicz, Katarzyna Nowakowska,
Cezary Polak, Marek Raczkowski,
Marianna Saska, Karolina Sulej,
Stech Szablowski, Mike Urbaniak,
Jerzy Ziemacki

Projekt graficzny:
Magdalena Piwowar

Pracownia graficzna:
Andrzej Figatowski

Fotoreporterzy:
foto@przekroj.pl,
Dorota Majka-Czarnecka

Korekta: Dominika Stępień,
Agnieszka Ujma

Projekt strony internetowej:
KRCMedia.pl

Wydawca: GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

Promocja i marketing:
Cezary Piernikowski – p.o. Dyrektora
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska
(p.berska@rp.pl)

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl;

Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzciński
tel. 22 463 05 53

Dyrektor Działu Agencji
i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88

Biuro Reklamy i Ogłoszeń:
GREMI MEDIA Sp. z o.o.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;
reklamainfo@presspublica.pl;

Dyrektor Biura Sprzedaży
Korporacyjnej Witold Trzciński
tel. 22 463 05 53

Dyrektor Działu Agencji
i Magazynów Filip Weichert
tel. 22 463 01 88

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”
Prenumerata redakcyjna:
Cena prenumeraty 2013 r.:
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł

Zamówienie na prenumeratę należy
składać e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl

Dodatkowe informacje
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

Prenumerata kółporterska
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803
lub 22 693 70 00 – telefoniczne Biuro

Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,
www.prenumerata.ruch.com.pl,
urzędy pocztowe

Prenumerata Elektroniczna
(e-wydanie, wydanie na tablet):
tel. 801 15 15 15, e-mail:
serwis@przekroj.pl

www.przekroj.pl
www.sklep.rp.pl
www.e-kiosk.pl
www.e-gazety.pl

Zdjęcie na okładce:
Dawid Ryski/Illo.pl

RACZKOWSKI



W tym tygodniu nie piszemy...

...o niedoszłym samobójcy z Torunia. Nieborak wspiął się na most,
żeby pozbawić się życia, a zgromadzony w szybko powstałym korku
tłum zagrzewał go do akcji. Niestety – nie ratunkowej.

...o pozwie sądowym przeciwko Herodowi. Nie, to nie jest
krytyka żadnego rapera. Chodzi o biblijnego Heroda, którego
przed Trybunałem w Hadze Dola Indidis, były rzecznik kenijskiego
sądownictwa, chce pociągnąć do odpowiedzialności za śmierć
Jezusa. Razem z Tyberiuszem i Poncjuszem Piłatem. Dowód? Biblia.
Nieźla szopka.

...o procesie Katarzyny W. Wciąż przekonujecie nas na Facebooku,
żebyśmy tego nie robili. Spokojnie, nie mamy najmniejszego zamiaru.

...o tym, czy papież Franciszek czuje się upoważniony, żeby oce-
niać homoseksualistów. A tym bardziej – jak dalece Tomasz Terli-
kowski czuje się upoważniony, by wskazywać nam „prawdziwe prze-
słanie” słów papieża.

...o legalizacji marihuany w Urugwaju. Bo nie zdążyliśmy.

A Wy nie chcecie czytać...

...o tym, że padł w Polsce rekord ciepła i że w koń-
cu mamy być z czego dumni.
(Katarzyna Marta Małgorzata)

...o rzeczach, które się dzieją tylko w Warszawie.
(Łukasz Hendzel)

...o długu publicznym.
(Anastazja Łozowska)

...o spodniach pana Gowina.
(Anowi Kesil)

...o (Snow)denie, w końcu jest lato...
(Rafał Jankowski)

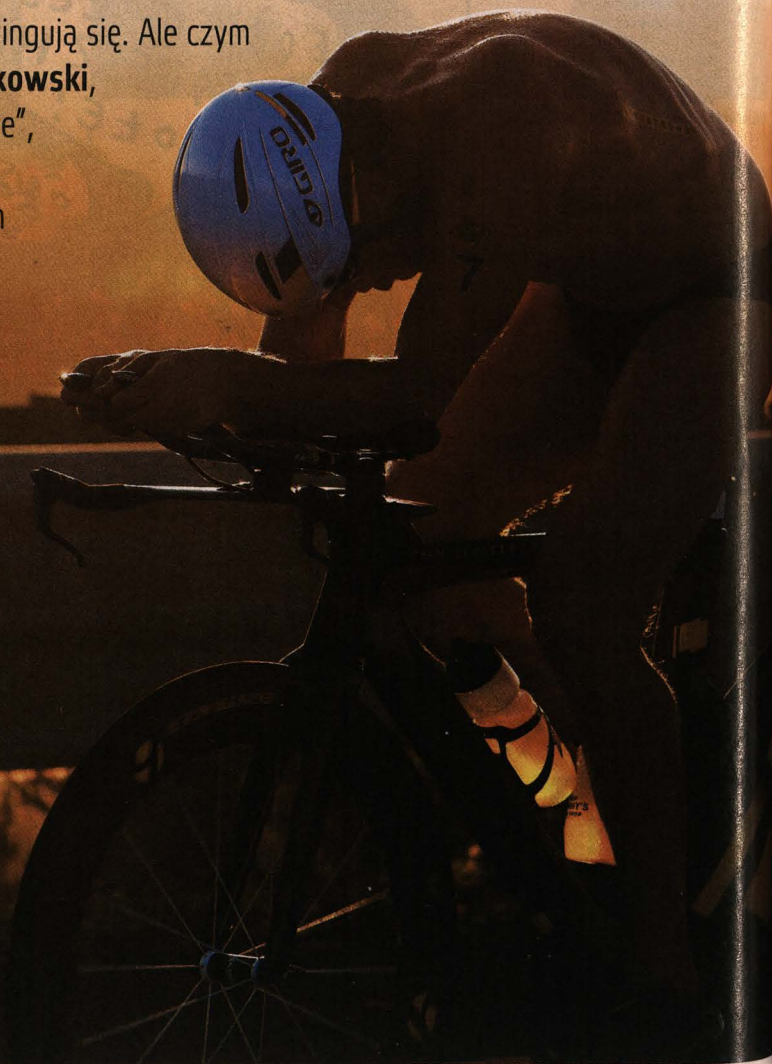
W środy pytamy Was na Facebooku,
jakie sprawy umieścilibyście w tej
rubryce. Wybrane odpowiedzi publi-
kujemy w wydaniu papierowym!



ROZMAWIA PAWEŁ WILKOWICZ

Sport jest na zawsze

Tak, sportowcy czasem nas irytują, oszukują, dopingują się. Ale czym zastąpimy te emocje? – mówi **Krzysztof Wyrzykowski**, komentator Eurosportu, były dziennikarz „L'Equipe”, największej sportowej gazety na świecie. Rozmawiamy o dopingu, celebrytach-katorżnikach oraz o przyjaźni z Lance'em Armstrongiem.



kłóciła się na korcie z ojcem. Mam trzy córki i nie wyobrażam sobie, żeby któraś tak do mnie wystartowała. Ze wstydu bym się pod ziemię zapadł. Tych niewinnych aktów nawet z takim zachowaniem nie chcę porównywać. Ale, jak widać, wiele u nas ujdzie, byle to cielesności nie dotyczyło. Czytam teraz książkę Marii Nurowskiej „Sergiusz, Czesław, Jadwiga”, bo mnie zafascynowała postać Sergiusza Piaseckiego, wątek Czesława Miłosza, tej ich miłości Jadwigi, która ich poróżniła. I tam też ta cielesna zaściankowość ciągle wychodzi. Nieważne, lata 20., 30., 60., to w nas jest. I jeszcze ta nasza niepewność, czy wypada, czy nie, czy my w Europie jesteśmy na pełnych prawach, czy jednak jako jakaś przybudówka. A przecież mamy tu Europę pełną gębą. Dlaczego się ciągle usprawiedliwiamy, patrzymy, co robią inni? Niech inni na nas popatrzą. Warto. I mówię to z własnej, 30-letniej paryskiej perspektywy.

Ale my się lubimy wstydzić. Na przykład za piłkarza Roberta Lewandowskiego, bo walczył bez sentymentów o swoje przejście z Borussii Dortmund do Bayernu Monachium. I kiedy niemieckie gazety go za to krytykowały, nasze powtarzały to jak echo, nie zastanawiając się nawet, czy może nie zdarzyło się coś, co go do Borussia zniechęciło. Ja bym Roberta brał w obronę, mniej jego menedżera Cezarego Kucharskiego, bo chyba wyskakiwał w tej sprawie za bardzo przed szereg i Borussia rozjuszył tak, że na złość Lewandowskiego nie puściła do Monachium. Robert to światowiec pełną gębą, żadnych kompleksów, zna języki, umie się sprzedawać. Jak kiedyś Zbyszek Boniek. Lewandowski to jedna z twarzy tego pokolenia, dla którego przestało być oczywiste, że jeśli Polak jedzie do Niemiec, to do gorszych prac, za gorszą pensję. Więc walczył o swoje. Świetnie pracował, chciał świetnie zarabiać. Wielu Polaków za granicą doskonale pracuje, ale nie mają tej odwagi, by walczyć o równe traktowanie. Jak ten przysłowiowy polski hydraulik

we Francji, który zagroził miejscowym nie dlatego przecież, że był tani. On był po prostu wspaniałym fachowcem. Ale brał, co mu dawali. Świetnie, że nowe pokolenie już tak nie chce. Bo nas te kompleksy ograniczały również w wielkim sporcie. Wielu naszych sportowców po prostu nie miało bezczelności i odwagi, których trzeba, by zrobić karierę.

Przeżywamy uniesienia podczas wielkich imprez, igrzysk czy mundialu, a potem sport jest znów trochę niczyj.

A teraz ci młodzi i bez kompleksów idą całą grupą: tenisiści, piłkarze, kolarze, narciarze. Mamy Justynę Kowalczyk i Kamila Stocha ze złotymi medalami, mamy tenisistkę i tenisistę w czołówkach światowych rankingów, mieliśmy Polaka w Formule 1. Trochę się zmieniło w porównaniu z czasami, gdy wszystko brał na siebie Adam Małysz. Polska krajem sportu?

Małysz to fascynująca historia. On wziął na siebie cały okres przejściowy między naszą dawną sportową wielkością a dzisiejszymi sukcesami. I udźwignął, poradził sobie, rozwinął się pod każdym względem. W biegu nauczył się języków, kontaktów z mediami, sponsorami. Pamiętam dawnego Adama, choćby z igrzysk w Nagano w 1998 r., gdy lądował na ostatnich miejscach. Stał sobie na dole, patrzył na skocznię i chyba mu się łzy w oczach kręciły. Miał już wtedy za sobą zwycięstwa w Pucharze Świata, ale tak się wstydził odzywać publicznie, że złożenie dwóch zdań przychodziło mu z trudem. Jakby wywiady sprawiały mu fizyczny ból, uciekał. A teraz? Zwierzę medialne, Ignie do ludzi. Gdy przychodzi do nas do Eurosportu komentować skoki, mówimy: o, redaktor Małysz przyszedł.

„Uważam, że było dwóch Lance'ów. Przed chorobą i po chorobie” – mówi o słynnym kolarzu Krzysztof Wyrzykowski. Armstronga poznał w 1993 r. przy okazji Tour de France.

akcji i pozowanie dla „ESPN” się wykluczają. Więc wykluczyła Agnieszka. Ich akcja, ich prawo? Może tak, tylko trochę mnie dziwi, że wstydziła się odrobiny golizny, a nie na przykład tego, że po ostatniej porażce w Wimbledonie Agnieszka podała rękę zwyciężczyni, Sabine Lisicki, odwracając się do niej tyłem. Albo tego, że kiedyś, nie przebiegając w słowach,

Wstydzi się pan Agnieszki Radwańskiej? Jej sesji w magazynie „ESPN”? Gdy słucham opinii na ten temat, to chciałbym wierzyć, że to jednak jakieś nieporozumienie. Ludzie widzieli zdjęcia w Internecie, ale pewnie nie widzieli całego magazynu i może nie do końca się orientują, jaki był zamiar. Że chodziło, jak zresztą sama Agnieszka tłumaczy, o pokazanie piękna ludzkiego ciała. Są

na tych zdjęciach i młode sportsmenki, i bardzo dojrzały golfiści, jak 78-letni Gary Player. Nie mówimy o rozbieranej sesji dla podniecy, tylko o wysmakowanych aktach. Nie przyszłoby mi nawet do głowy, że można to uznać za nieobyczajne. Przecież Agnieszka niczego właściwie nie pokazała, dziecko wysłane po gazetę do byle kiosku napastryczy się na sto razy gorsze rzeczy. Była

cała masa odważniejszych kalendarzy ze sportsmenkami i sportowcami, bo to taka nowa moda, że się rozbiera, a dochód ze sprzedaży kalendarza przeznaczają na cele charytatywne albo na ratowanie klubu, w którym grają.

Tak naprawdę to największy rozgłos sesji zapewniła młodzież z ruchu „Nie wstydź się Jezusa”, która uznała, że bycie twarzą tej

Polscy sportowcy dobrze nas reklamują w świecie?

Różnie bywa. Myślę, że oni czasami sobie po prostu nie zdają sprawy, ile tracą, kiedy ustawiają się bokiem do mediów. Nie do końca wiedzą, co mówić, żeby budować spójny wizerunek. Traktują dziennikarzy jak zło konieczne, nie wiedząc, że można ustalić warunki gry, a przy tym nie zrażać nikogo do siebie. To już nie są tylko sportowcy, to są celebryci. Media to ich naturalne środowisko. Muszą umieć je oswoić. Dziś mamy i takie historie, że sportowiec może nawet niewiele umieć, a zostać gwiazdą medialną, jak ta oszczepniczka z Paragwaju, która pokazała ładną buzię na ceremonii otwarcia igrzysk w Pekinie w 2008 r. Internet się rozgrzał, posypały się propozycje reklam i sesji, ale ile pani Leryn Franco rzuciła tym oszczepem, pewnie mało kto pamięta. Jest spora grupa sportowców znanych z tego, że są znani. Nie dają tego oczywiście jako wzór do naśladowania, ale dobrze się sprzedają to też żaden wstyd.

Wybuchy złości na korcie w wykonaniu Jerzego Janowicza to jeszcze dobrze się sprzedająca spontaniczność młodej strzelby tenisa czy już przekroczenie granic?

Trudna sprawa, bo pamiętam sprzed lat Amerykanina Johna McEnroe, jego karczemne awantury z sędziami i trochę mniej mnie to wtedy drażniło. Może działa sentyment do tego, co było, może chodziło o to, że McEnroe był w tym bardziej czarujący, oko przymrużył, albo że jednak wygrał więcej niż Janowicz. Ale nie chcę przez to powiedzieć, że Jerzy mnie jakoś odpycha. Nie, on ma swój wdzięk i ludziom się to podoba. Francuzi go bardzo lubią, bo to ich turniej w hali Bercy był tym, w którym Janowicz przedstawił się światu. A francuscy kibice mają jedną piękną cechę: są wierni. Będą go hołubić przez wiele lat, nieważne, jak mu się będzie wiodło. Jak Gugę Kuertena, kolorowego Brazylijczyka, który kiedyś niespodziewanie wygrał turniej Wielkiego Szlema na Roland Garros w Paryżu. Nawet gdy

Wiemy, że przebiec 100 m poniżej 9,80 s to bez dopingu właściwie niemożliwe. A jednak wierzymy tym, którzy tak biegają, dopóki ich nie złapią.

już Guga seriami przegrywał, jak ledwo plecy prostował, to dalej był oblegany we Francji, zapraszany do telewizji. To jest szczęście Janowicza.

A Polacy są wiernymi kibicami?

Nasz problem to kibice kanapowi, ludzie, którzy sportu nie dotknęli, ale mają na jego temat wiele do powiedzenia. Oni biegną do sukcesu, a jak sukces się kończy, nie umieją sobie tego wytłumaczyć i odreagowują przesadną frustracją. Jest ich nadal większość. Widzę tę naszą wiosnę sportu, to, że parki się zapęliły biegaczami, celebryci męczą się w triathlonach i maratonach albo chudną brani w obroty przez prywatnych instruktorów fitnessu, to, że miliony ludzi wyjeżdżają na narty i nawet coraz więcej osób na tych nartach biega, a nie tylko zjeżdża. Ale jest ich ciągle za mało. Przeżywamy uniesienia podczas wielkich imprez, igrzysk czy mundialu, a potem sport jest znów trochę niczyj.

Polacy wracają do sportu, ale mniej jako do sposobu na przeżycie czegoś wspólnie, bardziej jako indywidualnego wyzwania. Właśny program treningowy, słuchawki w uszy i poszli w las. Najtrudniejsza dziś rzecz podczas biegania to powiedzieć „dzień dobry” i usłyszeć odpowiedź. To minie z czasem?

Tak jest z modami i snobizmami, a przecież ten nagły wysyp celebrytów-katorżników tak właśnie można wytłumaczyć. Im już byle maraton w Polsce nie wystarczy, trzeba wystartować w Nowym Jorku czy Rotterdamie, żeby zrobić wrażenie. Napomknąć w mediach, że się skończyło nowojorski maraton, podać wynik, przeliczyć innego celebrytę – to jest element promocji.

Ale dzięki temu moda schodzi w dół i parki się zapęliają, nasze lokalne maratony biją

rekordy popularności, a prywatne akademie triathlonu okazują się świetnym biznesem. Nie ma w tym przecież nic złego?

Każda moda ma swój kontrowersyjny rewers. Sporty wytrzymałościowe też nie muszą być bezwarunkowo dobre dla organizmu. Nie jest to przecież pierwsze u nas biegowe szaleństwo, pod koniec lat 70. mój telewizyjny kolega Tomasz Hopfer rozpropagował je w Polsce na bezprecedensową skalę. Tak było również na Zachodzie, ale i wątpliwości się pojawiały. Akcja Tomka Hopfera nazywała się „Bieg po zdrowie”, a w pewnym momencie lekarze zaczęli ostrzegać, żeby z tymi najtrudniejszymi sportami uważać, przygotowywać się teoretycznie, nie zrobić sobie krzywdy.

Moda na katorżnictwo podbiła cały świat: kolarze zapaleńcy mierzą się z górami, które znają z Tour de France, narciarze amatorzy ze Skandynawii płacą fortuny za numery startowe w maratonach narciarskich, w których wolne miejsca znikają chwilę po otwarciu zapisów. Ludzie sukcesu zaczynają sobie wieszać w biurach te numery oprawione w ramy. Może to wszystko dopiero przed nami?

Być może. My nigdy masowo nie Igniełszy do sportu, nawet w czasach komunizmu, gdy łatwo się było wszędzie zapisać i można było od rana do nocy być na jakimś treningu. A potem, po upadku komunizmu, po degrengoladzie klubów sportowych, było już całkiem źle. Zrobiła się wielka wyrwa i dobrze, że jest teraz zapełniana. Długa droga jeszcze przed nami. Kanapowcy są w każdym kraju, a jednak np. przeciętnego francuskiego kibica nigdy bym kanapowym nie nazwał. Francuzi sami sport bardzo mocno uprawiają. Moje córki, które wychowywały się we Francji, miały doskonałe warunki, by trenować w ramach zajęć szkolnych. Kinga trenowała siatkówkę, Klara szermierkę, którą Francja kocha ze względu na ogromne tradycje, na awanturników z powieści płaszcza i szpady itp. We Francji, w Anglii widzę coś, czego mi u nas jeszcze brakuje: zainteresowanie i wierność sportom, które może są niszowe, jeśli się je porówna z futbolem, ale uświęca je tradycja. Choćby tradycja olimpijska:

szermierkę, wioślarstwo. U nas szermierze byli kiedyś bohaterami, a teraz poszli w zapomnienie. Mamy wielkich wioślarzy, ale niewielu chętnych, by się amatorsko brać za wiosła.

Wioślarstwo w Anglii przeżywa boom, bo okazało się, że niewiele sportów tak znakomicie kształtuje figurę, o innych pożytkach dla zdrowia nie wspominając. Panie ćwiczą w siłowni na ergometrach wioślarskich, w Londynie można zobaczyć 40- czy 50-latkę, które o świecie znoszą łódź na przystań. A jak jest w Paryżu?

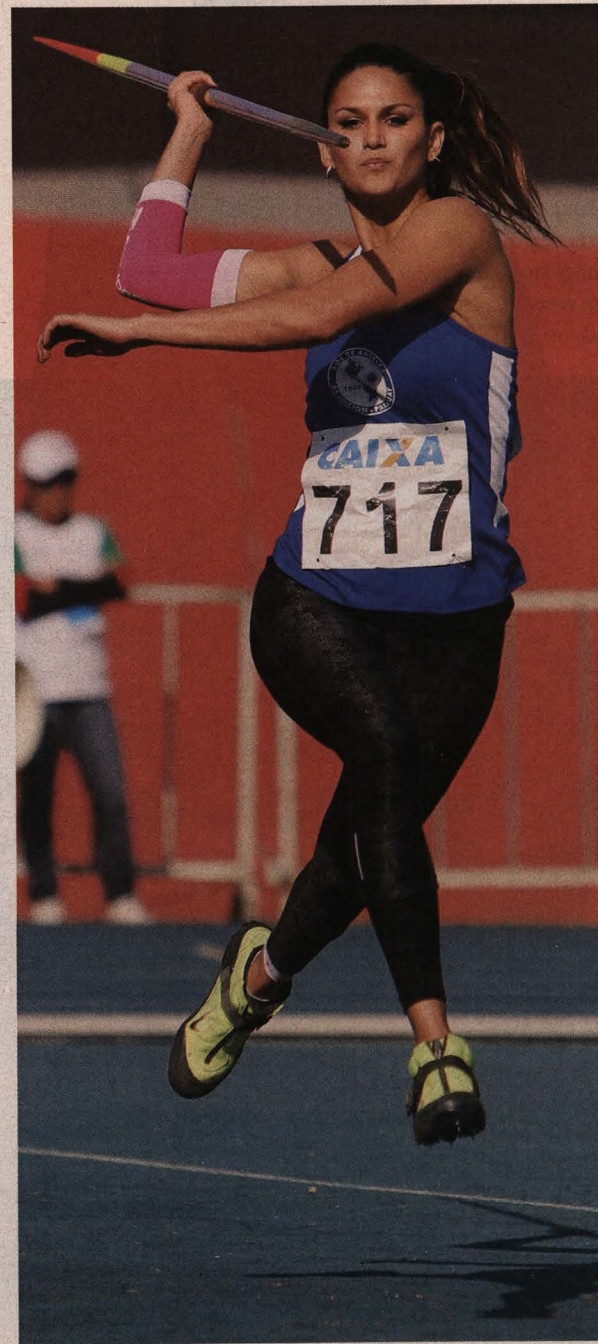
Tam o świecie dostrzeżesz biegaczy, ludzi na rolkach, na rowerze, gimnastyków wyczyniających jakieś dziwne figury na trawnikach. Ludzie ćwiczą we wszystkich paryskich laskach, z Bułgarskim na czele. Ale na prowincji też. Codziennie, choć oczywiście w weekendy są szczególnie widoczni. Można powiedzieć: no tak, mają warunki, wojny się z nimi obchodziły nie tak jak z nami, są zamożni, mają czas. Ale przecież nie trzeba tego wszystkiego mieć, żeby kochać sport, wystarczy spojrzeć na Bałkany.

Dlaczego Francuzi kochają? Bo ich baron Pierre de Coubertin wymyślił kiedyś nowożytnie igrzyska olimpijskie i oni je nadal w jakimś sensie uważają za swoje?

Myślę, że to raczej wpływ wychowania, jakie odebrali od „L'Equipe”, największej sportowej gazety świata. Jeśli sport jest we Francji jak świecka religia, to „L'Equipe” od dziesięcioleci daje Francuzom dzień w dzień kazania, jak kibicować. Trudno dziś ocenić, czy większa w tym usportowieniu Francji zasługa barona de Coubertina czy właśnie kolejnych redaktorów naczelnych „L'Equipe”, którzy, jak tradycja kazała, wywodzili się ze świata igrzysk olimpijskich, a nie futbolu.

Jaki nakład ma „L'Equipe”?

Teraz im spada, jak wszystkim. Mam to szczęście, że pracowałem tam wtedy, gdy padł rekord sprzedaży: milion, kiedy Francja zdobywała w 1998 r. piłkarskie mistrzostwo świata. Gdy odchodziłem, byli na poziomie 400 tys.



Leryn Franco, oszczepniczka z Paragwaju, która została gwiazdą po igrzyskach w Pekinie w 2008 r. Raczej nie ze względu na wyniki sportowe. Wyrzykowski: „Dobrze się sprzedać to żaden wstyd”.

W Polsce „Przegląd Sportowy” jest już poniżej granicy 40, a nie 400 tys. Gazeta z pięknymi tradycjami, której naczelnym był kiedyś poeta Kazimierz Wierzyński. Dlaczego?

„PS” miał swoje czasy świetności wtedy, kiedy Polacy byli wielcy w sporcie. A byli wielcy. Nawet jeśli czasami brakowało wybitnych jednostek, to grupa była siłą. Mecze lekkoatletyczne z lat 50. i 60., dziś już zarzucone, to były gigantyczne wydarzenia. Na mecz z USA

w 1958 r. przyszło po 100 tys. widzów, na oba dni zawodów. Dziś, nawet gdybyśmy mieli w drużynie samych mistrzów olimpijskich, samych Tomaszków Majewskich, tyłu by nie przyszło. Pamiętam, jak to było, bo siedziałem w tym 1958 r. na trybunach Stadionu Dziesięciolecia i chłonałem wszystko, jak to dziecko. Wszedłem już o 10 rano, bo mimo że miałem bilet, bałem się, że ktoś mi zajmie miejsce. Nie do wiary: 13 lat po wojnie Polska była największą potęgą lekkoatletyczną w Europie. Dla mnie ten mecz na długo pozostał największym wydarzeniem sportowym, jakiego mi się udało dotknąć. A przecież na lekkiej atletyce to się nie kończyło. Były wielkie mecze bokserów, Wyścig Pokoju.

Wyścig pełen politycznych podtekstów.

Ale jednak tylko podtekstów. Tymczasem niektórzy próbują nam wmówić, że polityka była tam najważniejsza. Bzdura. Przecież nikt tych milionów ludzi nie zmuszał, żeby się gromadzili przy radiu i słuchali transmisji, a potem dyskutowali o tym, jak Polak pokonał Czecha czy Niemca. Na pochody pierwszomajowe się ludzie goniło, a na Wyścig Pokoju szli sami. Całe miasta wylegały na ulice. To było nasze Tour de France, Giro d'Italia. A potem to padło. Upadł Wyścig Pokoju, podupadły Ludowe Zespoły Sportowe, gdzie rodziły się kariery kolarskie. Tak jakbyśmy się zaczęli trochę wstydzić tego wiejskiego sportu, a przecież tak kolarstwo wygląda na całym świecie: kolarze to bohaterowie z ludu, często chłopci, po prostu. Przecież intelektualista z Dzielnicy Łacińskiej nie próbuje robić kariery na rowerze. Dlatego kolarze są tak lubiani: nie są upozowani, nie są przepłacani, można się z nimi identyfikować. Porywają się na mordercze wyzwania. Na tym się też opiera szaleństwo Tour de France. Nigdy Francja nie czuje się tak bardzo wspólnotą jak wtedy, gdy w lipcowe dni kolarski peleton jedzie 3,5 tys. kilometrów dookoła tego kraju.

A potem dowiaduje się, że to wszystko było oszustwem dopingowym. Nie wstyd panu

GETTY IMAGES

czasami, że się związał właśnie z kolarstwem?

To dziwne uczucie. Jednego dnia się wstydzę: 40 lat siedzę w kolarstwie i ci, którym zaufałem, sprawili, że wyszedłem na głupka. Od 10 lat w Eurosporcie razem z moim druhem Tomkiem Jarońskim komentujemy Tour de France. To 100 godzin transmisji rocznie, czyli już się zebrał łącznie 1000. I okazało się podczas śledztwa przeciw Lance'owi

puszczał, że prawda była aż tak brutalna i że trudno znaleźć w ostatnich latach czystego zwycięzcę Touru.

Dlaczego ci swojcy bohaterowie tak nas oszukują?

Może wiedzą, że ludzie łatwo ich rozgrzeszą? Domyślają się, że ich bohater mógł się szprycować, ale z czasem jest im wszystko jedno. Mówią: pamiętacie, jak on jechał? Nikt tak szybko pod tę

Wyścig Pokoju to było u nas prawdziwe święto. Na pochody pierwszomajowe trzeba było ludzi gonić. Kibicować sportowcom Polacy chcieli sami z siebie.

Brytyjczyk Tom Simpson ma pomnik na Mont Ventoux, górze, na której zmarł w 1967 r. podczas jazdy w Tour de France na mieszance amfetaminy i alkoholu. To był może najgłośniejszy przypadek dopingu w historii, cios dla sportu, sygnał do walki z niedozwolonym wspomaganiem. A dziś Simpson jest już przedstawiany jako ofiara dopingu, właściwie rozgrzeszona, a nie jeden ze sprawców. A u nas w Euro-

Armstrong nie tylko nie będzie miał pomnika, on nawet nie ma prawa do rozgrzeszenia. Wierzy pan, że rzeczywiście był gorszy od innych? Czy tylko najślawniejszy, i dlatego najmocniej obrywa?

Z nim jest inna historia. Francuzi od lat na niego polowali, bo wydawało im się niemożliwe, żeby ich wyścig, ich dobro narodowe mógł zdominować jankes, który przecież leżał już na łożu śmierci. Powiedziano mu, że ma raka jąder z przerzutami, a on po dwóch latach zaczął wygrywać Tour i zrobił to siedem razy z rzędu.

Znał pan dobrze tego Armstronga sprzed choroby. Jaki był?

Uroczy. Nie ja jeden uważam, że było dwóch Lance'ów. Przed chorobą i po chorobie. Jednego trudno w drugim rozpoznać. Tego pierwszego Lance'a odwiedzałem z całą rodziną w jego domu nad jeziorem Como, a z drugim nigdy dłużej nie porozmawiałem. On nie szukał kontaktu, ja akurat trochę oddaliłem się od kolarstwa. Spotkaliśmy się, gdy w 1998 r. po chorobie pierwszy raz startował w wyścigu Paryż – Nicea. Ruszali 100 m od mojego domu, więc wyszedłem się przywitać. Lance siedział w samochodzie swojej drużyny. Ja się uśmiecham, witam, pytam, co słyhać. A on tylko: „Cześć, Chris” i zakręcił szybę. Ponoć był bardzo przejęty startem. Potem koledzy z „L'Equipe” zajmujący się Armstrongiem przekazywali mi po zdrowieniu od niego i zapowiedzi, że na pewno zadzwoni. Nawet się upewniał, czy dalej mam ten sam numer. Nie odezwał się. Może zamknął pewien okres w życiu i chciał odkreślić tych, którzy z tym okresem byli związani.

Jak się poznaliście?

W 1993 r., gdy pierwszy raz wygrał etap w Tour de France i „L'Equipe” odde-



PIOTR NOWAK

gowała mnie do zrobienia z nim wywiadu. Przyjechałem do hotelu grupy Motorola, wchodzę do pokoju: Lance leży rozparty na kanapie, ogląda telewizję, a tam jakieś myszki, małpki, program dla dzieci. Nawet wzroku od telewizora nie odrywa, rzuca tylko: „Sit down”. Rzecznik Motoroli mówi: „Lance, to pan z »L'Equipe«”. A on na to: „Ta gazeta to shit”. I macha na mnie paluchem. Okazało się, że się obraził, bo za mało napisaliśmy o tym, że dwa dni wcześniej jego Motorola była trzecia w drużynowej jeździe na czas.

Odjechał pan bez wywiadu?

Nie, bo Lance nagle spojrzał na moją blachę z akredytacją i pyta: „Wyrzykowski? Polish?”. I zaczął opowiadać, że ma w Boulder w Kolorado, gdzie trenował, całą grupę polskich kumpli. „Ty jesteś swój, ja ci wszystko opowiem”. Gdy w tym samym roku został w Oslo mistrzem świata i wchodził na konferencję prasową, stałem przy drzwiach, machnąłem mu, a on na całą salę krzyknął: „Christopher, I won! Kurwa mać!”. Ci jego Polacy z Boulder przecież bez przerwy bluzgami rzucał, więc się nauczył. Piękne czasy, ale choroba wszystko zmieniła. On został seryjnym zwycięzcą i jednym z najbogatszych sportowców w dziejach Ameryki, dawne znajomości nie były mu już potrzebne.

KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

(ur. w 1944 r. w Warszawie). Jeden z najpopularniejszych komentatorów sportowych, zwłaszcza w duecie z Tomaszem Jarońskim, z którym razem komentują w Eurosporcie kolarstwo i biathlon. W latach 70. dziennikarz TVP i „Sportowca”, od 1974 r. polski korespondent „L'Equipe”. Zwolniony z telewizji w stanie wojennym, razem z Maciejem Wierzyńskim, późniejszym szefem m.in. polskiej sekcji Głosu Ameryki i nowojorskiego „Nowego Dziennika”, założył przedsiębiorstwo taksówkowe, ale już po roku skorzystał z propozycji „L'Equipe” i przeprowadził się do Paryża. Dziś dzieli czas między Polskę i Francję. Z żoną, również romanistką, mają trzy córki, wszystkie skończyły studia we Francji. Od prezydenta Bronisława Komorowskiego dostał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Teraz żartuje, że czeka jeszcze na francuską Legię Honorową – za zasługi dla promocji kraju przy komentowaniu Tour de France.

Co pan dziś o nim myśli?

Jak na niego patrzę, to się zastanawiam, czy walka z dopingiem ma sens. 10 lat na niego polowali, zrobili setki kontroli dopingowych i nic. A agenci federalni załatwili go od razu. Może wybraliśmy w tej walce z dopingiem zły cel? Mnie już chyba naprawdę tylko młodzież w tym wszystkim interesuje, żeby ją ochronić przed dopingiem. Bo dorosli i tak będą brali, jak zechcą, w końcu słynny amerykański anonimowy sondaż wśród sportowców pokazał, jak wielu z nich akceptuje pogoń za sukcesem, również za cenę śmierci. Nawet w wyścigach zapaleńców amatorów aż kurzy się od dopingu. Ich dorosły wybór. Płakać trzeba raczej nad chłopczkami, którzy się faszeringują koksem w osiedlowych siłowniach. Nie wiem, jestem rozdarty między świadomością, że nasz wysiłek antydopingowy jest tak jałowy, a przekonaniem, że jednak jakoś to ścigać trzeba. A może pewnego dnia, po kolejnym wielkim skandalu, zupełnie przestaniemy się przejmować dopingiem?

Albo sportem.

To nam raczej nie grozi. Sport jest na zawsze. Czym zastąpimy te emocje, co nas jeszcze może spotkać gorszego? Ludzie będą patrzyli na sport, bo to nas ciągle zachwyca, chcemy nowych rekordów, choć wiemy, że przebiec 100 m poniżej 9,80 s to bez dopingu właściwie niemożliwe. A jednak wierzymy tym, którzy tak biegają, dopóki ich nie złapią. Może ta naiwność wcale nie jest zła, może to o nas dobrze świadczy. Trzeba umieć marzyć.

Kiedys sport był lepszy? Przecież doping był w nim od zawsze, pazerność też. Teraz już przynajmniej doping nie zmienia kobiet w mężczyzn, jak w latach 80.

Sport nie jest dziś gorszy niż ten dawny, a gwiazdy bardziej zepsute niż kiedyś, bo każdy czas ma swoich wielkich i małych ludzi. Po prostu wszystkie grzeszki są dziś bardziej widoczne. Nie ma już zmowy milczenia, która była kiedyś. A wciąż największą satysfakcję sprawia znalezienie w sporcie wspaniałego człowieka. I to się nigdy nie zmieni.

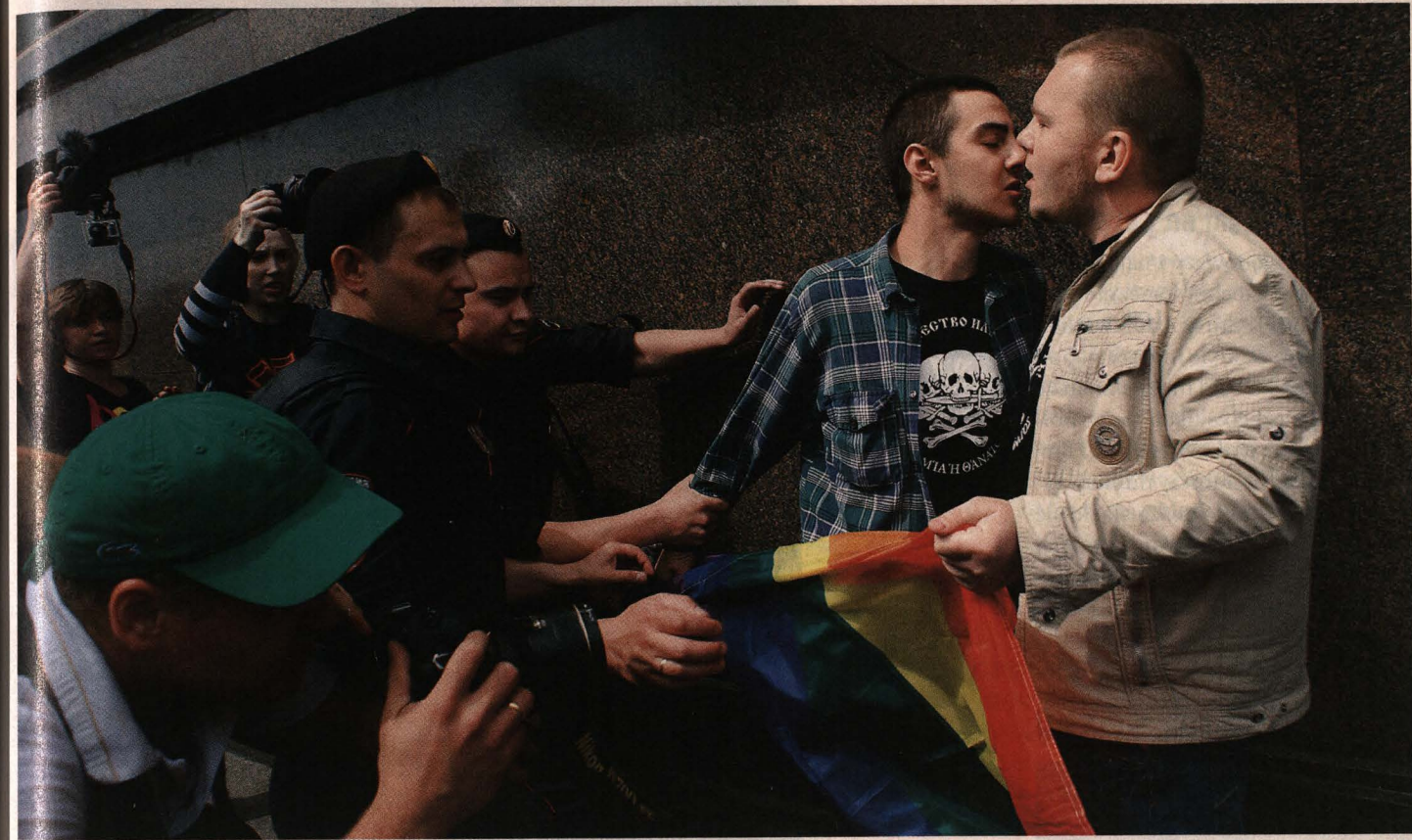


Armstrongowi, siedmiokrotnemu zwycięzcy Touru, że był drugi, równoległy wyścig, gdzieś za kotarą, gdzie był doping, torebki z krwią do transfuzji. Oczywiście podejrzenia były od lat, jakieś sugestie się przemycalo, również w „L'Equipe”, która organizuje wyścig, ale trudno było podczas transmisji uderzyć między oczy, bo takie sprawy kończyły się czasami w sądach. Poza tym nikt nie przy-

górec nie jechał. Gdy go złapią, tłumaczą: no ale wszyscy byli na doping, więc on i tak musiał być najmocniejszy. Wielu z tych, którzy się dopingowali, właśnie dlatego dalej brnie w kłamstwa, licząc, że ich nigdy nie dopadną, a mit przetrwa. Marco Pantani ma przecież pomnik we Włoszech, choć to, że brał, było wiadomo jeszcze przed jego tragiczną śmiercią z przedawkowania.

sporcie ekspertem podczas Touru był skompromitowany dopingiem Richard Virenque. I gdy po wyścigu spisywałem uwagi dla naszej centrali z myślą o przyszłych wyścigach, wspominałem o Virenque: skąd pomysł, żeby go brać? To tylko czekać, aż weźmiemy Lance'a Armstronga. Dostałem odpowiedź, że Virenque przyznał się i wszystkich przeprosił, więc w czym problem?

40 lat siedzę w kolarstwie i ci, którym zaufałem, sprawili, że wyszedłem na głupka.



EDYTA BORKOWSKA

Płonie tęcza na Wschodzie

Wprowadzenie w czerwcu **sankcji prawnych wobec środowisk LGBT** w Rosji zachęciło ekstremistów do ataków na mniejszości seksualne. Sytuacja jest dramatyczna. Na portalach społecznościowych bandyci udają gejów, by zwabić homoseksualistów na randki, po czym katują swoje ofiary. Co na to świat?

Głównym prowodyrem ataków jest Maxim Martsinkevich, prawicowy ekstremista, który rozpoczął krucjatę przeciwko pedofilom. A że – jak twierdzi – praktycznie każdy gej to pedofil, aktywnie zwalcza homoseksualistów.

O sprawie napisał „Huffington Post”, ale doniesień mediów zachodnich o przemocy wobec mniejszości seksualnych w Rosji nie brakuje.

Na początku czerwca Reuters donosił o morderstwie na Kamczatce – mężczyzna został zabity za to, że był gejem. Pytanie, czy bandyci wierzą w swoją bezkarność, czy może naprawdę są bezkarni, ponieważ w Rosji istnieje odgórne przyzwolenie:

– Niestety, sytuacja osób LGBT w Rosji jest dramatyczna, od kilku lat coraz gorsza. Zakazane parady w Moskwie, zamieszki, ataki neonazistów, brutal-

ne pobicia ludzi na ulicy, a wszystko to za przyzwoleniem władzy – mówi Yga Kostrzewa ze Stowarzyszenia Lambda Warszawa.

– Od 30 czerwca, gdy prezydent Władimir Putin podpisał ustawę, która za publiczne „propagowanie nietradycyjnych stosunków seksualnych wśród nieletnich” karze grzywnami, pojawiają się kolejne doniesienia. Skrajni neonaziści i samozwańczy obrońcy moral-

ności mogą znęcać się lub wykorzystywać sytuację osób LGBT, bo wiedzą, że w oczach władzy działają właściwie. Ludzie ze środowiska LGBT stają się więc kozłami ofiarnymi – kimś, kogo można poniżyć, pobić, okraść, upodlić. Taka sytuacja nie mieści się w pojęciu systemu demokratycznego. Podczas gdy w wielu krajach można obserwować poprawę sytuacji ludzi LGBT, choćby w Polsce, na wschodzie Europy (Rosja, Ukraina, a teraz jeszcze Mołdawia) ta sytuacja się pogarsza – opowiada Kostrzewa.

A Radek Oliwa, wydawca portalu Queer.pl, fundator Równość.org.pl, dodaje: – Homofobia nie jest w Rosji nowym zjawiskiem. Przyjęty przez Dumę zakaz „propagowania nietradycyjnych związków seksualnych” tylko wprowadził ją na salony. Mamy do czynienia z pierwszymi owocami tej polityki. Wspólnota międzynarodowa powinna zająć w tej kwestii ostre stanowisko. Zwróciliśmy się już do polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z sugestią wystosowania odpowiedniego ostrzeżenia dla polskich obywateli, którzy wybierają się

do Rosji. Być może nie do wszystkich jeszcze dotarło, że mogą być prześladowani przez radykalne grupy narodowców, a od niedawna przez organy ścigania.

Za propagatorów homoseksualizmu uznano Eltona Johna oraz Madonnę. Gwiazda muzyki pop w czasie zeszłorocznego koncertu w Petersburgu poparła Pussy Riot i mniejszości seksualne, a na plecach umieściła hasło „No Fear” – nie bójcie się. Za to zachowanie została zaocznie postawiona przed sądem, który ostatecznie ją uniewinnił. Tylko dlatego, że wówczas prawo zakazujące propagowania nietradycyjnych relacji seksualnych wśród nieletnich funkcjonowało lokalnie.

Mniej szczęścia mieli Holendrzy, którzy przyjechali do Rosji na obóz poświęcony ochronie praw człowieka. Na jednym ze spotkań opowiadali o swobodach obywatelskich, jakimi mogą cieszyć się geje w Holandii. Traf chciał, że na spotkaniu znalazła się osoba niepełnoletnia. Po doniesieniu Holendrzy zostali deportowani.

Za deprowanie nieletnich obywatel może zapłacić karę w wysokości

W Rosji brutalność służb mundurowych nikogo nie dziwi. Ale dziś ramię w ramię z policją za gnębienie mniejszości seksualnych wzięli się radykalni nacjonalisci.

ok. 500 zł, a obcokrajowiec, oprócz deportacji, może zostać aresztowany na 15 dni.

– Ustawa, którą prezydent Putin podpisał kilka tygodni temu, powoduje, że każda publiczna wypowiedź, w której homoseksualizm traktowany jest po prostu jako orientacja seksualna, może być nielegalna. Przepis w swej istocie nie jest jasny, ale „z góry” płynie przekaz, że homoseksualistów nie należy akceptować – zauważa Mariusz Kurc, redaktor naczelny „Repliki”, magazynu LGBT.

Kibice i sportowcy martwią się o zimowe Igrzyska Olimpijskie w Soczi w 2014 r. Komentator Alan Klein uważa, że MKOl nie jest w stanie zagwarantować im bezpieczeństwa. „USA Today” poinformowało o bojkocie igrzysk i rosyjskiej wódki pod hasłem „Olej rosyjską wódkę”. Stacja NBC zapowiedziała, że będzie wracać do tematu dyskryminacji mniejszości seksualnych w Rosji i pokazywać jej przejawy telewizjom. A prezydent Władimir Putin obiecał, że prawo ograniczające wolność homoseksualistów w czasie igrzysk zostanie zawieszona. Łaskawca.

MULTIMEDIA

Kultura gratis

Ninateka to najnowszy i najbardziej zaawansowany technologicznie projekt Instytutu Kultury Audiowizualnej. To pierwsze takie miejsce w polskiej sieci, w którym można znaleźć wszystko, z czego składa się współczesna kultura audiowizualna. Film, teatr, sztuka, literatura, publicystyka, media i technologie. Znalazło się tu ponad 2 tys. filmów oraz audycji i – co ważne – w 98 proc. są to materiały bezpłatne i bez reklam, a dostęp do nich nie wymaga logowania się. W zbiorach są animacje z lat 60., dzieła Giersza, Antonisza, Szwakopfa, nieznane etiudy filmowe Agnieszki Osieckiej, filmy Skolimowskiego czy Titkova. Obejrzeć tu można w całości także głośne spektakle m.in. Jarzyny, Warlikowskiego, Grzegorzewskiego, Klaty. A z każdym dniem materiałów przybywa. Zajrzyjcie koniecznie! Więcej na www.ninateka.pl → eb



TEMAT TYGODNIA: Ruszyła nowa NINATEKA!



REDAKCJA



ALBERT ZAWADA/AGENCIA GAZETA

ARCHITEKTURA

Miasto moje, a w nim...

Nowym naczelnikiem Wydziału Estetyki Przestrzeni Publicznej w stołecznym ratuszu został Grzegorz Piątek. Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej jest znanym społecznikiem, krytykiem architektury, znawcą modernizmu, który stara się, jak może, by rozbudzić uśpio-ny w Polakach gust. Mówi się, że Hanna Gronkiewicz-Waltz tą nominacją chciała poprawić swój wizerunek. Czy tak było, nie jest ważne, zwłaszcza w kontekście realnej szansy, by stolica w końcu stała się ładniejsza. Młody architekt ma już na koncie prestiżowe nagrody, m.in. Złotego Lwa zdobytego wspólnie z Jarosławem Trybusiem, Nicolasem Grospierrem i Kobasem Laksą w 2008 r. na XI Biennale Architektury w Wenecji, za wystawę „Hotel Polonia. The After-

life of Buildings”. Rok później otrzymał od ministra spraw zagranicznych dyplom za promocję Polski na świecie. Jego ostatnim osiągnięciem jest stworzona razem z Agnieszką Rasmus-Zgorzelską i Aleksandrą Stępniewską fundacja Centrum Architektury. Niestety, Piątek będzie musiał się z fundacją pożegnać. – Nie chodzi tylko o ewentualne konflikty interesów, ale i o to, że praca na tym stanowisku będzie wymagała pełnego zaangażowania, które zostawi niewiele miejsca w kalendarzu na inne zajęcia – mówi „Przekrojowi”.

Jakie ma plany? – Zamierzam czuć nad jakością zagospodarowania najważniejszych przestrzeni publicznych w mieście. Pierwsza szansa to tereny nad drugą linią metra. Kilka kilometrów ulic i placów, które można wy-

myślić od nowa – zapowiada. Grzegorz Piątek marzy też o uporządkowaniu placu Defilad. – Przed nami jeszcze kilka lat bez wielkich inwestycji w otoczeniu Pałacu Kultury, więc niech ta prownizorka wygląda tak, byśmy nie musieli się jej już wstydzić – mówi.

Nowy naczelnik uważa, że konieczna jest dobra współpraca z innymi biurami i instytucjami miejskimi. – Jeśli nie będzie się układać, Wydział Estetyki sam niewiele zdziała. Musimy przyciągnąć najlepszych ekspertów, organizację pozarządową. Wreszcie należy częściej pytać warszawiaków, czego oczekują od nowych i modernizowanych przestrzeni – dodaje.

Ostatnio prezydent Warszawy ogłosiła również na Twitterze konkurs na stanowisko dyrektora Biu-

ra Kultury m.st. Warszawy. Jako jeden z kandydatów wymieniany był Grzegorz Lewandowski, działacz kulturalny, założyciel znanej w stolicy klubokawiarni Chłodna 25, który dzisiaj m.in. prowadzi Bar Studio. – Byłem poproszony o konsultacje w tej sprawie – mówi „Przekrojowi”. – Gdybym nie uczestniczył w wieloletnich dyskusjach i spotkaniach, gdybym nie obserwował warszawskiej „reformy w procesie” od 2008 r., pomyślałbym, że to wyłącznie PR. Dziś widać, że odświeżony zarząd miasta wsłuchuje się w głos środowisk kulturalnych i chce wieloletnią debatę przekuć w czyn. A wybór Grzegorza Piątka na stanowisko naczelnika Wydziału Estetyki jest tego najlepszym dowodem – stwierdza. → eb

LITERATURA

Z książką na molo

Ci, którzy zaczytują się w kryminałach, szczególnie skandynawskich i islandzkich, znajdą coś dla siebie na Międzynarodowym Festiwalu Literackim Sopot, jego druga edycja odbędzie się w dniach 16–20 sierpnia. Na Wybrzeże przyjadą Asa Lind, Moni Nilsson, Yrsa Sigurdardottir, Christer Maset oraz Mariusz Czubaj i Marek Krajewski. Dzieciom literatki z północy zaproponują książki w duchu Astrid Lindgren. → eb

FESTIWAL

Do Krakowa na Coke

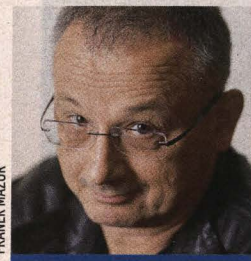


MATERIAŁY PRASOWE

Już 9 sierpnia na terenie Muzeum Lotnictwa w Krakowie rozpocznie się Coke Live Music Festival. Przyjedzie czterech Szkotów, czyli Franz Ferdinand, oraz Florence and the Machine ze swoją magnetyczną wokalistką. Polskę reprezentować będą m.in. Brodka, która udowodniła, że nie jest efemerydą żyjącą tylko w blasku telewizyjnego show, Marika (na zdjęciu) oraz intensywnie ostatnio koncertująca Mela Koteluk. → eb

Mariusz Ziomecki

Detroit safari



FRANEK MAZUR

Jedynymi mieszkańcami dzisiejszego Motown, którzy mogą z optymizmem patrzeć w przyszłość, są detroitckie indyki.

Przez 10 szczęśliwych lat płacono mi pensję za to, bym wierzył w renesans miasta Detroit. Dział komentarzy wielkomiejskiej gazety, w której udało się zatrudnić emigranta z Polski, niezłomnie kibicował miastu. Popieraliśmy wszystkie realistyczne, mało realistyczne i zupełnie nie-realistyczne, ale zawsze kosztowne projekty biznesowe i społeczne, które miały znów postawić na nogi legendarny Motown.

Nic jednak nie działało, miasto leżało jak długie. Kwitły tylko muzyka i przestępczość. Kto mógł, pryskał na bezpieczne, nudne przedmieścia. Aż w Detroit zostali tylko ci, co zostać musieli: opłacani z miejskiej kasy policjanci, nauczyciele i urzędnicy. Handel zanikał, przemysł konsekwentnie przenosił fabryki na południe, do „społecznie zacyfanych” stanów, gdzie związki zawodowe nie windowały kosztów tak stromo jak w postępowej szpicie przemysłowego Midwestu.

Baza podatkowa miasta kurczyła się szybciej niż jego wydatki, aż Detroit zbankrutowało. Choć do końca nie wiadomo, jak z tym będzie, bo największym wierzyicielem Detroit okazały się fundusze emerytalne, które wypłacają emerytury... mieszkańcom Detroit. Jeśli one stracą 90 proc. pożyczonych pieniędzy, w przepaść spadną wszyscy. Miasto pożarło własny ogon.

Prawnicy i politycy głowią się już od dawna, jak to teraz rozwiązać. Tymczasem redaktor naczelna „Przekroju” chce wiedzieć, co będzie dalej, jaka przyszłość czeka Detroit. Szczerze? Moim zdaniem jedynymi mieszkańcami dzisiejszego Motown, którzy mogą z prawdziwym optymizmem, ufnie patrzeć w przyszłość, są detroitckie indyki.

Kiedy za moich czasów, w latach 80., biolodzy próbowali odtworzyć populację dzikich indyków w zalesionej puszczy północnej części stanu Michigan, odkryli, że żadna współczesna, występująca na amerykańskim kontynencie odmiana nie daje rady tam przetrwać. Wilki, lisy i orły szybko robiły z niezdarnymi przybyszami porządek. Powiodła się dopiero ostatnia próba, gdy schwytano – z wielkim trudem! – kilka par spośród ptaszysk, które od dziesięcioleci mnożą się w zrujnowanych, wypalonych, porośniętych chwastami kwartałach Detroit, wśród lumpenproletariatu, prostytutek, handlarzy narko-

tyków i gangsterów. Okazało się, że te zatwardziałe w bójkach, bystre i szybkie indyki dają sobie radę w każdych warunkach.

Atrofia tkanki miejskiej Detroit postępuje szybko. W centrum biurowce mają zajęte zaledwie po kilka pięter i o każdej porze dnia, w dowolnym miejscu, można zaparkować samochód. Natomiast drewniane dzielnice mieszkalne całymi kwartałami są równane z ziemią przez buldożery. A jeśli miastu brakuje forsy w budżecie na rozbiórki, rudery płoną. Wiosną opustoszałe działki się zazieleniają. Chwasty na wysokość człowieka nie cieszą wzroku ludzi, ale dla indyków są okej.

Dawno nie byłem w Detroit, nie wiem, czy mieszkańcy tego smutnego miasta – wciąż rezyduje tam ok. 700 tys. ludzi – jeszcze wierzą w jego renesans, tak jak my kiedyś. W historii Detroit raz już taki cud się zdarzył, pod koniec XIX stulecia, gdy skończył się boom na tarcicę, z której zbudowano Dzikie Zachód i na której wzbogacił się zalesiony stan Michigan. Kiedy Henry Ford i setki innych wynalazców zaczęli klecić terkoczące, smrodliwe „bryczki bez koni”, dawni baronowie drzewni szybko wyłożyli kasę na pierwsze fabryki aut. Dlatego właśnie Detroit, a nie na przykład Nowy Jork lub Los Angeles, zostało światową stolicą tego przemysłu: miejscowy kapitał nie przegapił kolejnej szansy, zaryzykował, postawił na nową technologię.

Tego, niestety, nie da się powtórzyć. Dziś kapitału jest na świecie mnóstwo, zaś atuty Detroit – czyli wolny teren, infrastrukturę, kompetencje techniczne i wykwalifikowaną siłę roboczą – mają też setki innych lokalizacji, od Meksyku do Chin. Globalizacja zakończyła erę przemysłowej monokultury. Dziś kwitnące miasta opierają swój sukces na bardzo wielu czynnikach, wśród których kapitał społeczny, bezpieczeństwo i jakość życia, w tym czystość środowiska, jakość szkół i uczelni, opieki zdrowotnej, a nawet klimat i krajobraz odgrywają kluczowe role.

Oczywiście życzę Detroit jak najlepiej. Jednak gdy rozmyślam, jaki rodzaj działalności gospodarczej realistycznie może tam kwitnąć w roku 2025, przychodzi mi do głowy tylko organizacja miejskich safari – ekskluzywnych polowań na najsprytniejsze indyki świata. ☞

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.

PIENIĄDZE Z UNII – ZACHODNIOPOMORSKIE

TURYSTYKA

„Kajakiem do morza”

„Kajakiem do morza” to inwestycja na rzece Redzie polegająca na stworzeniu nowoczesnych obiektów infrastruktury turystycznej w powiecie gryfickim. Chodzi o kompleksy dla turystów w Płotach, Gryficach, Trzebiatowie i Mrzeżynie. W każdej z miejscowości powstały budynki przystani kajakowych wyposażone w trapy, pomosty i pochylnie do obsługi sprzętu pływającego oraz w magazyny do przechowywania kajaków, sanitariaty, zaplecze kuchenne i kominki. → 05a

Infrastruktura na wyspie łososiowej w Darłowie

Efektem dotowanej przez Unię Europejską inwestycji w Darłowie jest nowy obiekt turystyczny. Dotychczas nieużytkowany teren wyspy w jego centrum zamieniono na park o wielkości 1,8 ha. Na wyspie powstały chodniki i ścieżki rowerowe, a także place zabaw dla dzieci. Ponadto pojawiła się przystań kajakowa przy brzegu Wieprzy. → 05a

KULTURA

Bałtycki Teatr Dramatyczny jak nowy

Dzięki pieniądзом europejskim zmodernizowano Bałtycki Teatr Dramatyczny im. J. Słowackiego w Koszalinie. Budynek przebudowano, co umożliwiło montaż windy dla osób niepełnosprawnych. Zakupiono też nowe wyposażenie (m.in. reflektory i kotary sceniczne,

„Kajakiem do morza” – przystań kajakowa na rzece Redzie.

Więcej o funduszach UE w Zachodniopomorskiem: www.rpo.wzp.pl; www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty; www.mapadotacji.gov.pl



krzesła dla widzów małej sceny, podnośnik sceniczny). Inwestycja objęła również przebudowę placu przed teatrem, podczas której wymieniono oświetlenie terenu, wykonano dwie fontanny i elementy małej architektury: ławki, ogrodzenie, klomby, stojak na rowery, pojemniki na śmieci. → 05a

Regionalne Centrum Kultury w Kołobrzegu

Zamiana byłego kina Kalmar na Regionalne Centrum Kultury w Kołobrzegu była jedną z najbardziej oczekiwanych przez mieszkańców i wezasowiczów inwestycji. Drugi etap przedsięwzięcia dotowanego przez Unię Europejską objął przebudowę budynku dawnego kina na salę teatralną na 300 miejsc z systemem technologii i akustyki sceny teatralnej wraz z zapleczem gospodarczym i technicznym. Zbudowano

też zewnętrzną scenę letnią oraz zagospodarowano teren wokół obiektu (chodniki, drogi, zielen i oświetlenie zewnętrzne). → 05a

ROZRYWKI

Rozbudowa kina w Złocięcu

W Złocięcu (powiat drawski) dotacje z programu regionalnego województwa zachodniopomorskiego wykorzystano m.in. do modernizacji i rozbudowy kina Mewa. Podczas jego odnowy salę przystosowano do przepisów przeciwpożarowych i wymagań akustycznych, zapewniono też widzom wyższy komfort oglądania poprzez odpowiednie ukształtowanie widowni. Obiekt wyposażono w specjalistyczne urządzenia umożliwiające wykorzystywanie go w ramach funkcji: kinowej, estradowej, teatralnej i koncertowej. → 05a



NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI
dla rozwoju Polski



MINISTERSTWO ROZWOJU REGIONALNEGO

UNIA EUROPEJSKA EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO



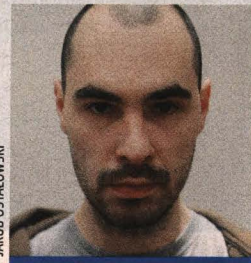
Cykl informacyjny realizowany w ramach konkursu dotacji organizowanego przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Techniczna.

Sięgnij po informacje o Funduszach Europejskich na stronach:
www.funduszeuropejskie.gov.pl

Napisz, zadzwoń lub odwiedź najbliższy Punkt Informacyjny Funduszy Europejskich: **www.funduszeuropejskie.gov.pl/punkty**

Jakub Żulczyk

W hołdzie herosom



JAKUB ŻULCZYK

Jeśli topowi polscy raperzy w najlepszym wypadku zarabiają na płytach równowartość nowego samochodu średniej klasy, to ile na koncertach i płytach zarabia alternatywa?

Jakiś czas temu nową płytę wydał polski zespół UL/KR. Wbrew temu, co na Facebooku napisał mój kolega, że gorzowski duet przypomina Comę łamaną na Mietka Szczecińskiego „z zajawką na późny Coil”, uważam, że jest to jedna z najciekawszych rodzimych formacji ostatnich paru lat. Bartek Król to kapitalny wokalista i tekściarz, który ma rzadką umiejętność wypowiadania 200 proc. treści przy mocnej kondensacji słów. Jego partner w zbrodni, Maurycy Kiebzak-Górski, wtóruje mu muzyką, na którą można byłoby wymyślić dziesiątki szufladek, epitetów i odniesień, ale po co – wystarczy, że jest cholernie oryginalna. Nie wiem, ile UL/KR sprzedali płyt. Nie wiem też, czy na ich koncerty przychodzą tłumy. Jestem natomiast pewien, że trzymając ostatnio w ręku ich winyl, skompilowany z dwóch wydanych do tej pory materiałów, czułem, że trzymam w ręku owoc wielkiej determinacji, potwornej harówki pomimo wielu kopów w dupę.

Naprawdę, szanuję polską alternatywę. Naprawdę. Jednych zespołów słucham, innych nie, większość leży poza obszarem moich zainteresowań, ale gdy pomyślę o tych niezliczonych ilościach kapel, o UL/KR, Afro Kolektywie, Na Pszyklat, Muzyce Końca Lata, Psychocukrze, The Lollipops, Mikrosпокою, ekipie związanej z kapitalnym labellem U Know Me, nieistniejących już Bratach z Rakem i tak dalej, i tak dalej, ogarnia mnie jeden wielki podziw. Chylę czoła, bo grać, jeździć, zdobywać sprzęt, pisać, nagrywać za żadne pieniądze dla garstki ludzi, przy takim nawale otaczającej pogardy i braku zainteresowania to wielki wyczyn. Jeśli topowi polscy raperzy w najlepszym wypadku zarabiają na płytach równowartość nowego samochodu średniej klasy, to ile na koncertach i płytach zarabia alternatywa? Czy odbierane tantiemy i rozliczenia za koncerty – o ile takie w ogóle są, bo przecież bardzo często gra się za zwrot kosztów i wygazowany browar – nie są przypadkiem jak policzek w twarz?

Tak zwana polska scena alternatywna trzyma się twardo niczym przetrzebiony pułk w ostrzeliwanym okopie, chociaż nad Wisłą wszystkie siły są sprzymierzone przeciwko niej. Wciąż jesteśmy krajem postkomunistycznym, w którym panuje przekonanie, że spieniężyć kulturę

Autor jest pisarzem, dziennikarzem i felietonistą. Wydał m.in. „Radio Armageddon” (2008) i „Świątynię” (2011). U nas pisze o kulturze i show-biznesie.

można tylko wtedy, kiedy zrówna się ją do najbardziej przaśnego, spauperyzowanego gustu. Większość nadawców radiowych i telewizyjnych reaguje alergicznie na jakikolwiek element dobrego smaku. Tym, co lata na playlistach, rządzą paneliści, czyli enigmatyczna grupa paru tysięcy rozsianych po Polsce badanych, w większości pochodzących ze wsi i małych miast. To pod nich szyje się kulturę i rozrywkę.

Szeroko pojęte zespoły indie mają do dyspozycji jedynie prowadzone przez zapaleńców portale internetowe, takie jak Screenagers czy Porcys. Ich siła rażenia dotyczy raczej tych już zainteresowanych, którzy chodzą na koncerty, a czasem zaoszczędzą nawet na dwóch paczkach fajek i kupią koszulkę albo płytę. Zostają im klubowe koncerty oraz letnie festiwale, na których służą z reguły jako dzienni wypełniacze bocznych scen. Przebicie się większości tych zespołów do masowej wyobraźni jest niemożliwe, niezależnie od ich potencjału komercyjnego. Większość z nich zostanie tam, gdzie jest; granie muzyki zawsze będzie dla nich kosztownym i męczącym hobby, z którego prędzej czy później trzeba będzie się wymiksować, gdyż najzwyczajniej w świecie nie da się go pogodzić z utrzymaniem samego siebie, nie mówiąc już o rodzinie.

Podziwiam tych chłopaków i te dziewczyny. Szarpanie się z tworzeniem ambitniejszej muzyki w kraju, w którym najpopularniejszym gatunkiem muzycznym są rolnicze przyspiewki, a sprzedanie nędznych 30 tys. nośników jest honorowane Platynową Płytą, to zaiste syzyfowa praca. Rozumiem, że wiele osób po jakimś czasie ma tej pracy dosyć, tym bardziej że każdy młody człowiek zakładający zespół muzyczny ma z tyłu głowy mętną nadzieję na międzynarodowy sukces, forszę i nagranie arcydzieła, które już do końca świata będzie odnotowywane w rankingach płyt wszech czasów. Kochani, harujcie, ile się da. Czasy są ciężkie. Będą jeszcze cięższe. Debilizm i niegościnnosć polskiej rzeczywistości będą tylko rosły. Ceną za ten upór będą, w najlepszym razie, małe satysfakcje. Ale nie przestawajcie. Będzie mi bardzo smutno, gdy wspomniany UL/KR nie nagra już żadnej nowej płyty.

UWAŻAM RZE

HISTORIA

HISTORIA KRÓTKIEGO SUKCESU

Nad stworzeniem polskiej telewizji zaczęliśmy pracować już na 10 lat przed wojną. Pierwszy program na żywo nadano 5 dni przed jej wybuchem.

WOŁYŃ: DLACZEGO

Już kilka pokoleń historyków koncentruje się na udowadnianiu, że do ludobójstwa doszło, bo spowodowała je historia, kultura, polityka i samo istnienie ofiar. To samo od dawna twierdzili sprawcy.

NIEWIDOMA PROROKINI OCALIŁA ZSRS

Stalin niszczył chrześcijaństwo, ale sam był podatny na „religijne zabobony”.

Od ucieczki z Kremla przed Hitlerem w 1941 r.

odwiodła go podobno ułomna staruszka, dziś uznawana przez prawosławnych za świętą.



**NOWY NUMER
W SPRZEDAŻY**



JOANNA ĆWIEK

Zapasy w śmieciach

Miesiąc po wprowadzeniu tzw. **ustawy śmieciowej** zmuszającej gminy do segregowania odpadków znaleźliśmy w nowym systemie kilka irytujących absurdów. Uciążliwych dla ludzi, ale łatwych do naprawienia.

Lódzka dzielnica Bałuty w pierwszych dniach lipca utonęła w śmieciach. Firma, która wygrała przetarg na wywóz, nie opanowała na czas topografii miasta i nie trafiła do worków. W Gdańsku drugiego dnia po postawieniu kontenerów na segregowane odpady aż 400 z nich skradziono. A mieszkańcy jednego z osiedli w Sycewicach (pomorskie) z obawy przed karą wpadli na pomysł, że altana śmietnikowa będzie otwarta tylko przez dwie godziny dziennie. W tym czasie wyznaczony lokator dokonuje wnikliwej rewizji przynoszonych worków, sprawdzając, czy wszyscy sąsiedzi prawidłowo posegregowali śmieci.

Bitwa zatem trwa. Ale są też plusy – Polacy zaczęli oddzielać papier, plastik, szkło i metal. Skąd to wiadomo? Dzięki sieci sklepów Ikea, której przy okazji winszujemy 20-lecia pobytu w Polsce. Otóż katowicka Ikea donosi, że sprzedaż pojemników do segregowania wzrosła w ostatnim miesiącu o 1600 proc. i nadal rośnie lawinowo.

Złe dobrego początki

– Zgodnie z Krajowym Planem Gospodarki Odpadami trzeba do 2020 r. zapewnić przygotowanie do ponownego użycia 50 proc. papieru i tektury,

szkła oraz tworzyw sztucznych i metali z gospodarstw domowych – tłumaczy dr Krystyna Lelicińska-Serafin z Wyższej Szkoły Ekologii i Zarządzania. – Zasoby naturalne się kurczą i trzeba nimi tak gospodarować, aby wystarczyły na jak najdłużej. A poza tym gdy jest czysto, wszystkim nam milej i zdrowiej się żyje – dodaje Kazimierz Borkowski, prezes fundacji PlasticsEurope Polska promującej recykling tworzyw sztucznych.

Jednak zwyczajni ludzie, którzy muszą lawirować pomiędzy doczesną karą i zielonym rajem, są znacznie mniej zachwyceni niż ekolodzy. – Dla mnie to nic innego jak utrudnianie życia. Mam małe dzieci i mnóstwo słoiczków po jedzeniu. Gmina mnie straszy, że jeśli nie będę z nich zdejmować etykietek, to zapłacę 3 tys. zł kary. Całymi dniami moczę więc te słoiczki w misce i nie rozumiem, co to za ekologia, kiedy marnuję tyle wody – irytuje się mieszkanka małej miejscowości niedaleko podwarszawskiego Sulejówka.

I tu jest właśnie problem. Ustawa śmieciowa nie wprowadza jednolitego systemu segregowania odpadów dla całego kraju, tylko nakłada na samorządy obowiązek ich odzyskiwania. Tym samym to gmina i firma, która na jej tere-

nie odbiera odpady, decydują, co jest właściwie posegregowane, a co nie. Czyli w praktyce firma, która chętnie przerzuca na obywatela swoje kaprysy. – Wszystko zależy od tego, jakimi możliwościami technicznymi dysponuje odbiorca odpadów – wyjaśnia Lelicińska-Serafin.

I tak np. w gminie Zagnańsk (świętokrzyskie) znanej z tego, że na jej terenie znajduje się dąb Bartek, zaleca się

z papierowych odpadków „oderwać naklejki, plastikowe okienka kopert, usztywnienia, woskowane wkładki, taśmy samoprzylepne, sznurki, wstążki”. Tu także ze szkła trzeba zerwać papierowe etykiety, a na plastikowych butelkach nakazuje się stanąć. Z kolei w Łomży trzeba dokładnie sprawdzić, czy na skórcie po owocach nie znajduje się papierowa nalepka. Jeśli tam jest, skórka ma trafić do śmieci zmiesza-

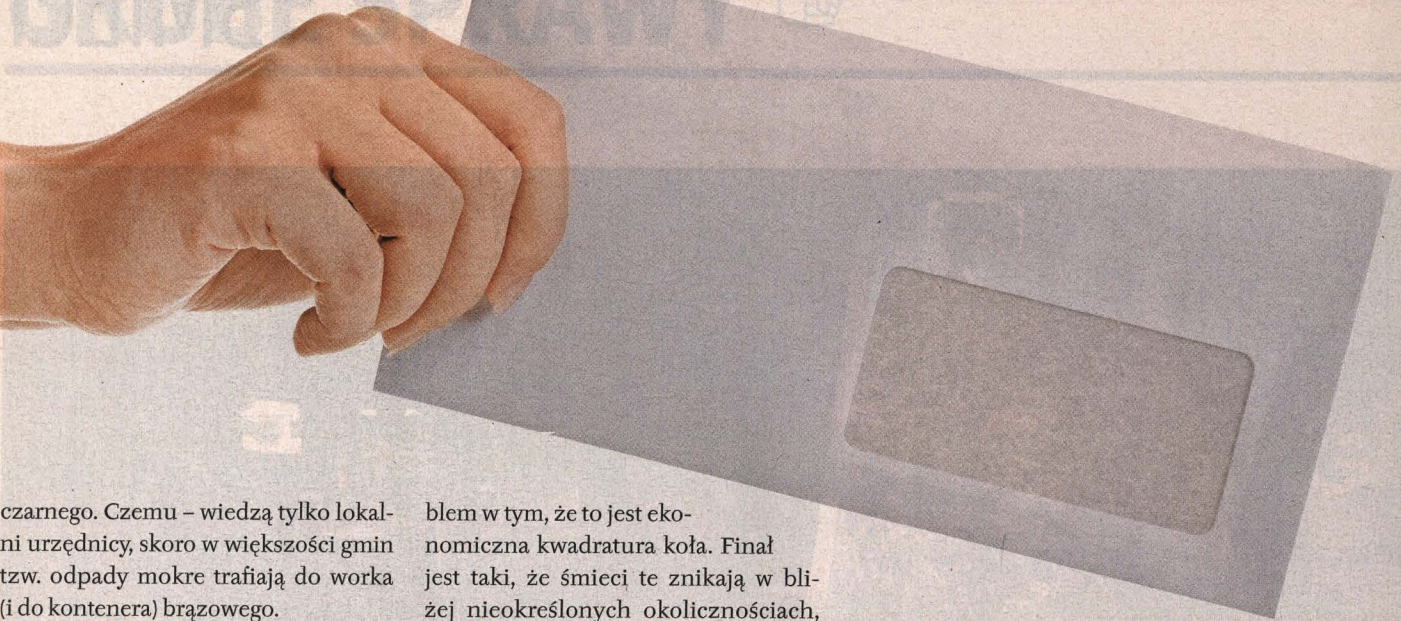
nych zamiast do odpadków organicznych (z przeznaczeniem na kompost). Z kartonów po mleku i sokach trzeba usunąć elementy plastikowe i metalowe. Inaczej natomiast jest w Knurowie, gdzie kartony po tych samych sokach i mleku trafiają do śmieci zmieszanych.

Dodatkowe trudności rodzi fakt, że gminy swobodnie dobierają kolory worków na odpady, co prowadzi do chaosu. W większości gmin papier trafia do wor-

ków niebieskich, tworzywa sztuczne do żółtego, a szkło do zielonego. Ale nie wszędzie. Na przykład w Cieszyźnie szkło białe musi koniecznie trafić do worka białego – takiego samego, do jakiego w Piotrkowie Trybunalskim muszą trafić tekstylia. W Prudniku papier i tworzywa sztuczne trafiają (bez segregacji) do worka żółtego, a w nadmorskiej gminie Krokowa odpady biodegradowalne trzeba wrzucić do worka



HECTOR AMEZCUA / ZUMA PRESS.COM / CORBIS



czarnego. Czemu – wiedzą tylko lokalni urzędnicy, skoro w większości gmin tzw. odpady mokre trafiają do worka (i do kontenera) brązowego.

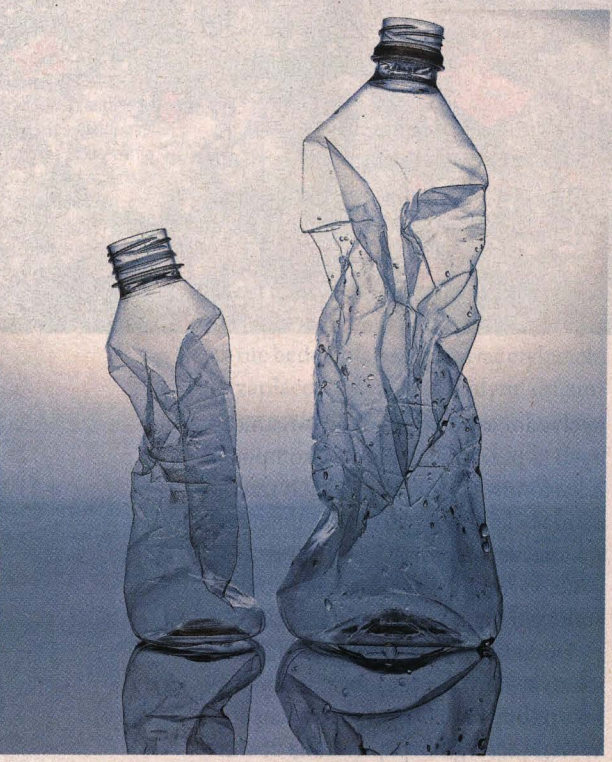
Urlopowicz, który z Przemysła pojedzie nad morze, powinien zacząć wakacje od przestudiowania lokalnych regulaminów, żeby przypadkiem nie narobić sobie kłopotu. – To absurdałne. Śmieci powinny być dzielone intuicyjnie. Nie wymagajmy od ludzi, aby robili to z instrukcją w ręku. I tak zawsze w posortowanych odpadkach znajdzie się około 40 proc. zanieczyszczeń. Tak naprawdę dla nas jest już dobrze, jeśli szkło białe i kolorowe znajdzie się w jednym pojemniku – tłumaczy Grzegorz Czechoński, dyrektor warszawskiego oddziału Remondis, ogólnopolskiej firmy zajmującej się odzyskiwaniem surowców. – Gminy robią niepotrzebną rewolucję – dodaje. A po co? – Bo można na tym dać zarobić znajomym – mówi wprost Czechoński i opowiada, że w rozpisywanych przez gminy przetargach bardzo trudno było wygrać firmom spoza danego terenu.

Takich „miejscowych” firm z najniższą ceną w ofercie i ofertą „dopasowaną” do lokalnych uwarunkowań nie brakuje, bo odkąd zaczął się kryzys, na śmieciarzy masowo przekwalifikowują się dotychczasowi budowlancy. I stąd rozmaite ciekawostki, od których włos z lekka rzednie. Na przykład przeciętna cena dyktowana przez wysypiska za tonę śmieci to ok. 250 zł. Tymczasem z praktyki przetargowej wynika, że firmy podejmują się uprzątnięcia owej statystycznej tony za 150, góra 170 zł, czyli około 3 zł od mieszkańca. – Pro-

blem w tym, że to jest ekonomiczna kwadratura koła. Finał jest taki, że śmieci te znikają w bliżej nieokreślonych okolicznościach, czytają: po prostu nielegalnie trafiają do dołu – tłumaczy Czechoński. I dodaje, że w ostatnich latach w statystykach ubyło ok. 30 proc. śmieci. Gdzie są? Tego się nie dowiemy, dopóki gdzieś nie dojdzie do katastrofy ekologicznej.

Tymczasem ograniczyć koszt można poprzez zmniejszenie częstotliwości wywozu śmieci. Przykładowo w nadmorskiej gminie Krokowa (obejmującej m.in. Dębki, Białogórę i Karwieńskie Błota) odpady zmieszane odbiera

Specjaliści mówią, że zmuszanie ludzi do odrywania plastikowych okienek z kopert i ściągania etykiet ze słoików to irytujący nonsens, z którym trzeba szybko skończyć. System należałoby ujednolicić, żeby takie same zasady obowiązywały w całym kraju.



się dwa razy w miesiącu, a segregowane – raz. Codziennie wywozi się jedynie odpady z knajp, ale tylko w sezonie.

Dlaczego gmina w przetargu wybiera najniższą cenę? Bo zbliżają się wybory samorządowe. W gminie, w której opłata za śmieci pójdzie w górę kilkakrotnie, wójt pierwszy trafi na wysypisko.

Wspólna śmieciara

Jednym z najczęstszych argumentów przytaczanych przez przeciwników segregowania odpadów jest to, że potem i tak wszystkie trafiają do jednej śmieciarki. – Tak się może zdarzyć, ale wiele takich samochodów ma wewnętrznie podzieloną przestrzeń. Odpady trafiają do jednego wozu, ale do innej przegrody – tłumaczy Lelicińska-Serafin. – My wysyłamy na to samo osiedle kilka śmieciarek i każda z nich zbiera oddzielny surowiec. Nikt nie pozwoli sobie na to, aby mieszać przebrane śmieci i potem w sortowni przebierać raz jeszcze. To byłaby strata pieniędzy – zapewnia Czechoński.

Jeśli odpady trafiają do jednego samochodu, to zwykle wtedy, gdy w gminie jest nowoczesna linia sortownicza, która za pomocą specjalnych magnesów i tzw. sit dyskowych oddziela szkło, plastik i metal. Taka sortownia funkcjonuje np. w Warszawie. Po co więc potrzebna jest segregacja w naszych kuchniach? Otóż na linię sortowniczą muszą trafić tylko te surowce, które nadają się

do odzysku. Jeśli przypadkiem będą tam np. odpadki organiczne, cały kontener trafi na wysypisko lub trzeba go przebierać ręcznie. – Niestety, dotyczy to ok. 40 proc. kontenerów. I pół biedy, kiedy ktoś się pomyli i pomiesza szkło i papier. Gorzej, jeśli trafi tam zepsuta żywność – mówi Czechoński. I wspomina, jak zobaczył kiedyś w kontenerze na papier cuchnący łeb szczupaka, wyrzucony przez jakiegoś obywatela bez zahamowań.

Drugie życie butelki

O tym, co się dzieje z naszymi posortowanymi odpadami, decyduje rodzaj surowca. Te, które można odzyskać, są kierowane do przetworzenia. Inne, których nie da się wykręsać drugiego życia, będą wykorzystane jako paliwo alternatywne np. w cementowniach.

– Najłatwiej jest ze szkłem. Huta szkła, do której ten surowiec trafia, myje go a potem przetapia. Przy okazji dodam, że mitem jest przeświadczenie, iż z butelki czy słoika trzeba wcześniej zdjąć etykietę. Huty mają odpowiedni sprzęt, aby zdjąć je bez zbędnego wysiłku – mówi Czechoński. Trzeba tylko koniecznie uważać, aby do stłuczki nie zaplątało się nieodpowiednie szkło (np. okularowe), kawałki porcelany lub szklanka z arcorocu. – Jedna rozbita filiżanka jest w stanie zanieczyścić całą przyczepę ze szkłem – tłumaczy Czechoński. I dodaje, że na wszelki wypadek najlepiej jest do kontenera ze szkłem wrzucać wyłącznie słoiki, szklane butelki itp.

Podobnie jest z papierem i plastikiem: oddajemy tylko to, co jest czyste i niezatłuszczone. Dlatego do posortowanych odpadków nie może trafić papier, w który owinięte było jedzenie czy butelka po oleju. Wbrew zarządzeniom niektórych gmin nonsensem jest usu-



wanie „okienek” z kopert, bo podczas przetwarzania i tak zostaną rozdrobnione. – Zresztą papier powstały na skutek recyklingu i tak nie jest najlepszej jakości, więc odrobina zanieczyszczeń nie będzie za bardzo przeszkadzać – tłumaczy Kazimierz Borkowski, prezes fundacji PlasticsEurope Polska.

Co z pudełkami po jogurtach, czyli obowiązkowym punkcie wszystkich programów dotyczących segregowania śmieci? – Wbrew powszechnemu przekonaniu nie należy ich myć. Takie opakowania i tak idą do spalenia. Jeśli będą zawilgocone, a takie są po umyciu, muszą trafić na wysypisko – tłumaczy Borkowski.

Ekolodzy podkreślają, że szczególnie należy się przyłożyć do tego, aby do recyklingowego obiegu trafiły butelki po napojach typu PET. Są duże i szybko zapełniają kontenery oraz kosze. Przed wyrzuceniem powinny być zgniecione, zwinięte i pozbawione zakrętek oraz pierścieni wokół szyjki. Butelki następnie są prasowane, zwijane w bele, a potem rozdrabniane na pył, z którego powstaje granulata nadająca się do przetworzenia. Powstają z niego np. bluzy z polaru. Aby wyprodukować jedną, potrzeba 35 półtoralitrowych butelek. Czyli tyle, ile przeciętne wody mineralnej wypijemy w ciągu miesiąca.

Jeśli te butelki trafią na wysypisko, będą zatruwały ziemię przez 400 lat. Naukowcy odkryli, że wysoki poziom szkodliwego antymonu w sokach owocowych jest najprawdopodobniej skutkiem pakowania ich w PET-y. I uważajcie na plaży, żeby wiatr nie zwał puste go PET-a do morza, bo ok. 2 milionów ptaków i ssaków wodnych ginie na świecie co rok wskutek połknięcia głupiego kawałka plastiku. ☹

Jak sortują śmieci we Włoszech?

Włosi muszą trzymać się śmieciowego kalendarza. Na przykład mieszkańcy Veneto co roku w grudniu dostają rozpisę dotyczącą odbioru poszczególnych worków z posegregowanymi odpadami. I tak np. pierwszego dnia miesiąca odbierane są odpady biologiczne nadające się do przerobienia na kompost, następnego papier, kolejnego szkło, później tzw. rzeczy suche (np. porcelana, rajstopy, podpaski), potem znów biologiczne, kolejnego plastik, później puszki itd.

Włosi do segregowania podchodzą bardzo poważnie. W kuchni mają kilka pojemników lub worków, które dostają od firmy zajmującej się oczyszczaniem. Na pojemnikach są kody, więc jeśli ktoś nie przykłada się do segregowania, może zostać za to ukarany. → **blik**

Jak segregują w Brukseli?

W Belgii śmieci rozdziela się do kolorowych worków. Białe worki służą odpadkom, które nie nadają się do recyklingu. Do żółtych worków wkłada się papier i kartony, a niebieskie służą do zbierania plastiku oraz kartonów po napojach. Oznakowane są logo poszczególnych miast, a można je kupić w każdym sklepie spożywczym.

Problem jest ze szkłem, którego nie wolno wrzucać do żadnej z wymienionych toreb. Musi trafić do specjalnych pojemników, najczęściej ulokowanych obok supermarketów, osobnych na szkło białe i kolorowe. Zużyte urządzenia elektroniczne odnosi się do wyspecjalizowanych sieci sklepów, a leki do aptek.

Zbiórka śmieci odbywa się dwa razy w tygodniu w przypadku białych worków. W przypadku plastiku i papieru – co dwa tygodnie. Śmieci można wystawiać dopiero po godz. 18 w dniu zbiórki, za przedwczesne wystawienie grozi mandat. → **blik**

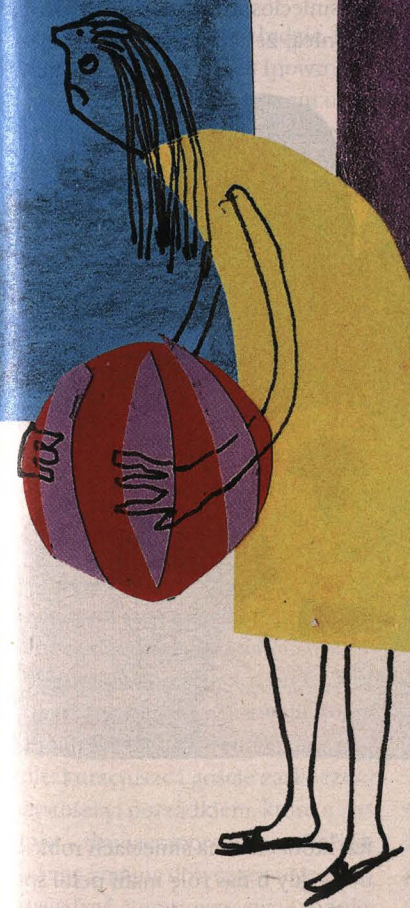
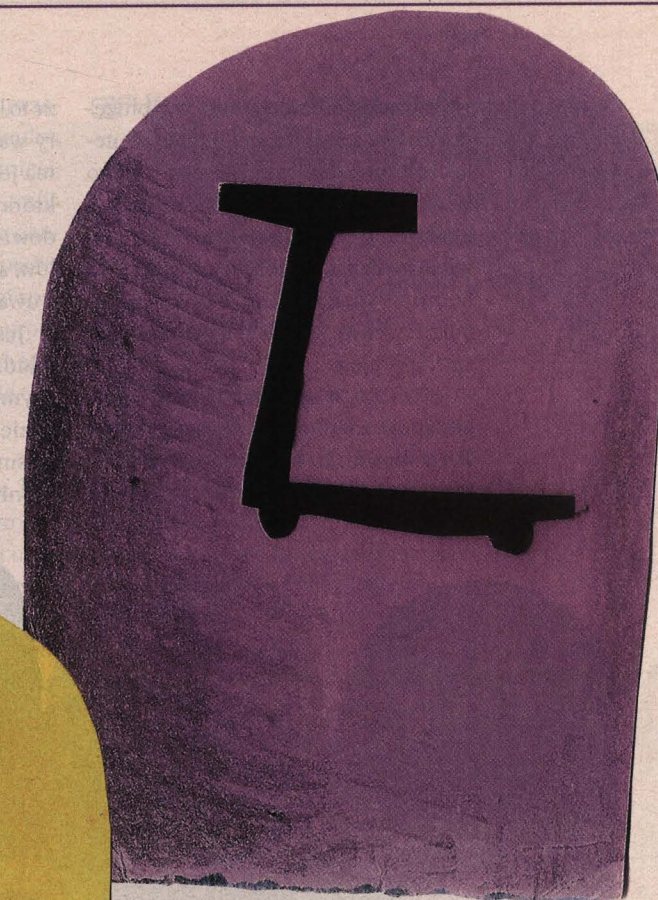
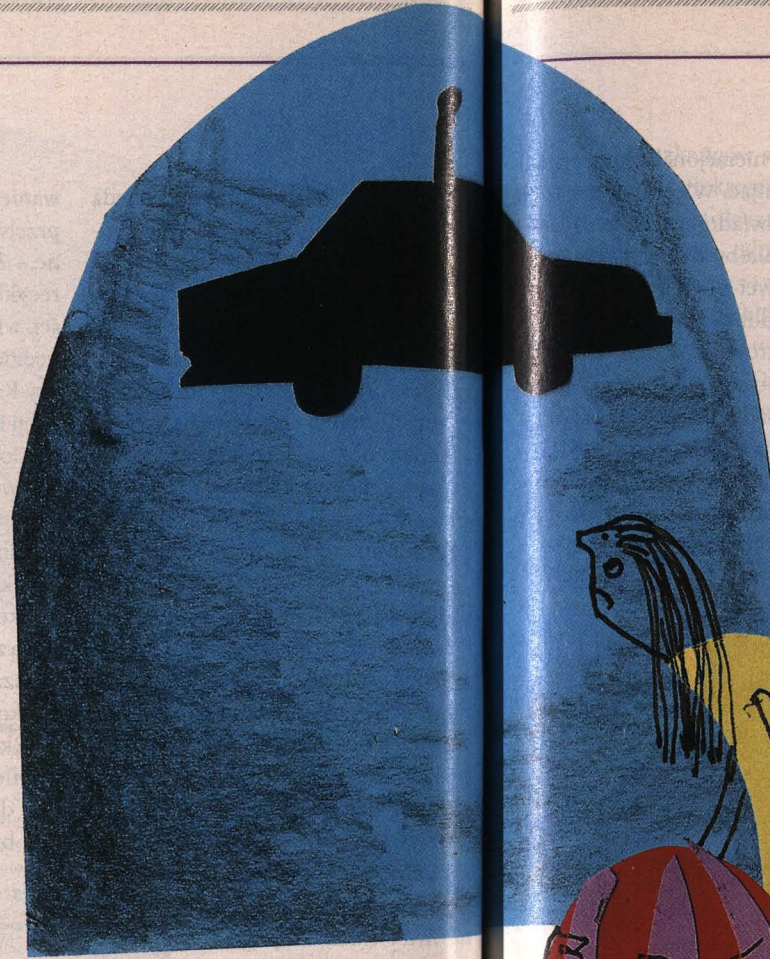
Jak segregują w Bristolu (UK)?

Urząd miasta dostarcza każdemu trzy pojemniki, w których umieszcza się posegregowane odpady. W czarnym ładują (przeczytane!) tygodniki i gazety, szklane butelki i słoiki, włożone w oddzielne worki ubrania (z wyjątkiem butów i pościeli) oraz zużyte baterie w osobnym, plastikowym woreczku.

Do zielonego pojemnika mieszkańcy wrzucają plastikowe butelki po kosmetykach i napojach, kubeczki po jogurtach, plastikowe pojemniki po lodach, puszki i złożone na płasko kartony. Nie mogą tam trafić plastikowe worki ani plastik w czarnym kolorze. Dodatkowo dostaje się mały pojemnik, w którym trzyma się odpady organiczne. → **jcs**

Ile czasu potrzeba, aby rozłożyła się...

→ guma do żucia. 5 lat	→ torba foliowa 300 lat
→ niedopalek papierosa. 5 lat	→ pielucha. 300-400 lat
→ styropianowy kubeczek. 50 lat	→ butelka PET. 400 lat
→ puszka. 50-100 lat	→ słoik 1 mln lat



JERZY ZIEMACKI, ILUSTRACJE KAROLINA KOTOWSKA

Monika wszystko wrzuca do jednego kubła

Nie odróżnia **odpadów organicznych** od **odpadów sztucznych**. Nie zamierza segregować śmieci i nawet nie odkręca nakrętek z plastikowych butelek.

Ostatnio matka zwróciła jej uwagę, że powinna chociaż zgniać pudełka po mleku, ale Monika nawet tego nie robi. Pamięta, jak w szkole podstawowej wymieniała makulaturę na kolorowe karteczki z postaciami z bajek lub (kilka lat wcześniej) na szary papier toaletowy dla całej rodziny. Teraz jest już po prestiżowych

studiach, pracuje w państwowym urzędzie, mieszka na warszawskiej Ochocie. – Nie segreguję i nie zamierzam. Nie ufam ekologom. Nie ufam politykom. Segregacja śmieci w polskich realiach nie ma sensu. Mamy do czynienia z eko-propagandą – twierdzi w rozmowie z „Przekrojem”. Co ludzkość ma uczynić, żeby Ziemia nie zamieniła

się w brunatną kulę syfu sunącą po elipsie przez kosmiczny mrok? Rada Moniki: powinniśmy mniej wyrzucać.

Innego zdania jest Wojtek Kacperski, socjolog miejski, który na spotkanie ze mną przychodzi ubrany w używane ciuchy z torbą firmy HoLo, zrobioną z odpadów po reklamach wielkoformatowych. Wojtek pół nocy może roz-

w handlu są za duże. Trzeba mieć cztery kubły, ale jak je zmieścić w kuchni pod zlewem? – Gdyby pojemniki były mniejsze. Gdyby regulamin był jaśniejszy. Wtedy byłoby łatwiej. I wtedy bym chętnie segregował – mówi Wojtek z zapalem w oczach. I tak sobie nawijamy godzinkę czy dwie, a potem w poczuciu konstruktywnie spędzonego czasu spokojnie rozchodzimy się do domów.

Kontener określa świadomość

Michał Cessanis, podróżnik, kiedyś segregował śmieci. Ale przestał. Na jego osiedlu na Białolecie połowa osób segregowała śmieci sumiennie i umiejętnie, wrzucając odpady do kolorowych kontenerów, a druga połowa psuła ich pracę, dorzucając do tych samych kontenerów wszystko jak leci. Nie warto było się męczyć, skoro na koniec i tak wszystko było pomieszanе. Kiedyś Michał wracał rano z imprezy i zobaczył, jak śmieciarka wywozi odpady z jego osiedla. Bardzo się zdziwił, widząc, że śmieciarze

wrzucają wszystko na jedną przyczepę. Robili zatem to samo co bezmyślni sąsiedzi – mieszała śmieci i psuli wysiłek segregujących. W Internecie znalazł dziesiątki filmików z tym samym motywem: śmieciarka zabiera posegregowane odpady i ładuje je do jednego kontenera, robiąc z nich koktajl alla Polacca pod flagą białą-czerwoną. – Na co dzień używam energooszczędnych żarówek, oszczędzam prąd, używam papieru z recyklingu, a nawet sadzę drzewka. Ale segregować śmieci nie chcę. Zraziłem się – mówi Michał i dodaje: – Dla mnie cała ta rewolucja śmieciowa to przerzucanie odpowiedzialności za czystość komunalną na obywatela.

Aby przełamać opór obywateli, zachęcić ich do zmiany myślenia i nauczyć, jak to się robi, media pokazują wzorowych pionierów segregacji: „Aktor Mariusz Kiljan sortuje śmieci od wielu lat. W domu na wrocławskim Jerzmanowie, gdzie mieszka od lat pięciu, wypracował własną metodę segregacji. Osobne pojemniki na papier, plastik, opakowania, szkło białe i kolorowe ustawił w garażu. W domu nie znalazł odpowiedniego miejsca. Śmieci trafiają do kubła stojącego w kuchni, a gdy ten się zapełnia, gospodarz wkłada ochronne rękawice, bierze worek do garażu i tam rozdziela odpady na kilka części. Szkło, plastik i stare ubrania wrzuca do specjalnych kontenerów stojących przy kościele w Jerzmanowie, a papier wozi do teścia na Maślice, bo ten ma w ogródku specjalny pojemnik”, donoszą lokalne gazety we Wrocławiu.

– Raczej mnie śmieszy, jak ktoś ma taką wczutą w segregowanie śmierdzących odpadów. Nigdy nie segregowałem śmieci. Moi kumple chyba też nie. Uważam, że to jest obciążenie stawiane nad każdym śmieciem, wozić go po całym mieście, aby wyrzucić do odpowiedniego kontenera – komentuje ten artykuł 24-letni Maciek z Łowicza. Razem z rodzicami i babcią mieszka w starym bloku. Tu śmieci od zawsze wyrzuca się do zsypu (stary zsyp był wielokrotnie modernizowany). Matka wyrzuca tam resztki z obia-

du, ojciec puszek po piwie, babcia opakowania po lekach. W kontenerze pod zsympem każdy znajdzie coś dla siebie: – Tampony, kondomy, zdechłe koty – wymienia Maciek. Szczerze wątpi, czy jego sąsiedzi szybko zaczną segregować. Nie potrafią używać nawet torebek foliowych na psie kupy, wiszących przy wyjściu z klatki, więc co dopiero uczyć się selekcji na kilka kategorii. Jego zdaniem większość dobrych obywateli wołałaby, żeby w kwestii śmieci zostało po staremu.

Rewolucja śmieciowa

Według szacunkowych danych jak dotąd nawet do 30 proc. Polaków radziło sobie ze śmieciami na własną rękę. Palono je w piecach, wyrzucano na dzikie wysypiska lub do rzek, zakopywano w lesie. Efekty tej anarchii są fatalne: nasz kraj tylko z lotu ptaka przypomina zielony, kwitnący ogród, w istocie jest jednym z najbardziej zapaskudzonych regionów Europy. Zmiana ustawy o utrzymaniu czystości i porządku w gminach (DzU z 2012 r., poz. 391), której postanowienia w lipcu weszły w życie, jest rewolucją w systemie gospodarki odpadami. Teraz każdy obywatel musi mieć podpisaną umowę dotyczącą odpadów. To oznacza, że (teoretycznie) pod kontrolą państwa znajdzie się 100 proc. wyrzucanych odpadów. Kary za samowolkę zwiększono, a kto będzie segregował, ten za wywózkę wielokolorowych worków zapłaci mniej.

– Jesteśmy skazani na segregację odpadów. Inaczej śmieci nas zasypią – tłumaczy dr Włodzimierz Pessel, antropolog kultury z UW, który zawodowo bada śmieciową polską duszę. – Przeciętny Polak produkuje prawie 320 kg śmieci rocznie. Mieszkańcy wielkich miast wyrzucają nawet 400 kg – wylicza. Pessel przypomina, że w tej kwestii wciąż żyjemy w długim cieniu PRL-u, kiedy w gospodarce ciągłego niedoboru wytworzyliśmy kulturę zbieractwa. Po co topić zepsutą pralkę w nurtach Krutyni, skoro lepiej ją schować na strychu lub wywieźć na działkę? Rządziła filozofia chomikowania. Popularne było również przerabianie: z krzeseł robiło

się zabawki dla dzieci, ze starych bluzetek nowe spodniczki, z pustych butelek kolorowe doniczki. Żywność rzadko się marnowała. Człowiek pierwotny nie miał problemów ze śmieciami, bo niewiele posiadał. Podobnie mieszkaniec komunistycznej Polski. Dopiero kapitalizm wytworzył nadmiar produktów i potop śmieci.

– Zmiany w systemie są konieczne, ale wprowadzono je w niezbyt przemyślany sposób. Ludzi odstrasza dyskusja o pieniądzach, niejasności w regula-

że to kolejny nieracjonalny przepis, który warto omijać. Większość z nas nie ma jeszcze świadomości ekologicznej, która pozwalałaby troszczyć się o środowisko nawet nie dla doraźnych celów, ale dla dobra przyszłych pokoleń – uważa Piotrowski.

Jeśli nie ogarniemy się na spółkę – ludzie i władza – to być może skończymy tak jak południowe Włochy, gdzie w okolicach Neapolu powietrze od śmieciomrodo normalnie drży. Z tą różnicą, że tam z władzą wojuje ma-



minach oraz chaos informacyjny. Gminy mają problemy z podpisywaniem umów. Nieuczciwe firmy nadal wywożą śmieci do lasu – komentuje Filip Piotrowski, socjolog z UW, który od lat prowadzi badania na temat problemów lokowania wysypisk i składowania odpadów komunalnych. Tłumaczy, że stary system był zły, ale jego zmiana w obecnej formie musiała się okazać częściową porażką. Postanowiono zmienić wszystko naraz, zaniedbano edukację i przygotowanie społeczeństwa na tę rewolucję. Stąd wynika obywatelskie nieposłuszeństwo, a nawet bunt. – Większość obywateli nie rozumie sensu segregacji śmieci. Są nieufni wobec władzy. Sądzą,

że to kolejny nieracjonalny przepis, który warto omijać. Większość z nas nie ma jeszcze świadomości ekologicznej, która pozwalałaby troszczyć się o środowisko nawet nie dla doraźnych celów, ale dla dobra przyszłych pokoleń – uważa Piotrowski. Jeśli nie ogarniemy się na spółkę – ludzie i władza – to być może skończymy tak jak południowe Włochy, gdzie w okolicach Neapolu powietrze od śmieciomrodo normalnie drży. Z tą różnicą, że tam z władzą wojuje ma-

dliwy dla mieszkańców sposób przerabia na energię elektryczną i ciepłą zaledwie 5 proc. stołecznych śmieci, podczas gdy 60 proc. odpadów trafia na wysypisko w Łubnej i zmienia okolicę w olfaktoryczne piekło. Więc protestujcie dalej, obywatele: w Szwecji spala się 45 proc. śmieci, w Danii 65 proc., w Szwajcarii 78 proc., a designerska spalarnia to ozdoba centrum Wiednia.

Bunt gmin

U nas buntują się nie tylko ludzie, lecz także całe gminy. Prezydent Inowrocławia podjął decyzję o zaskarżeniu ustawy śmieciowej do Trybunału Konstytucyjnego. – To protest przeciwko narzucenemu w ustawie obowiązkowi wyboru firmy odbierającej odpady w drodze przetargu. Nasz wniosek wsparło w różnej formie 1000 samorządów i rad gmin w całej Polsce – mówi Ryszard Brejza, prezydent Inowrocławia. Uważa, że samorządy same powinny decydować o tym, jak chcą pozbywać się śmieci. W Inowrocławiu (z pieniędzy podatników) stworzono spółkę komunalną, która zajmuje się wywozem i segregacją śmieci. Jeśli urząd musiałby podpisać nowe umowy z obcymi firmami, straciłby monopol nad śmieciami, z którego lokalny budżet czerpie dochód.

– Inowrocław jest w części uzdrowiskiem i nie możemy pozwolić sobie na opinię miasta brudnego. Wręcz przeciwnie: kuracjusze i goście zaskoczeni są czystością i porządkiem, które u nas panują – tłumaczy prezydent Brejza. – Chcemy zmiany dotyczące segregacji wprowadzać stopniowo, ewolucyjnie, a nie hurrarewolucyjnie. Nie ma co straszyć ludzi – dodaje. Na razie nie chce dywagować, jaki będzie wyrok Trybunału Konstytucyjnego, ale nie wyklucza skargi nawet do odpowiednich instytucji Unii Europejskiej. – Niewątpliwie mamy dziś w Polsce do czynienia z ekopropagandą, czasami bardzo drażniącą i męczącą. Tym niemniej podstawowy cel, jakim jest czyste środowisko, jest bardzo szlachetny i ważny – przyznaje w rozmowie z „Przekrojem”, zapewniając, że sam segreguje śmieci na cztery części.

Według szacunkowych danych nawet do 30 proc. Polaków radziło sobie ze śmieciami na własną rękę. Palono je w piecach, wyrzucano na dzikie wysypiska lub do rzek, zakopywano w lesie.

A inowrocławianie się cieszą, bo na razie nie muszą się męczyć z segregacją. Owszem – mogą segregować. W większości miejsc stoją specjalne kontenery. Ale nikt tego nie kontroluje. Chaos trwa i nikt nikogo nie ściga za naruszanie regulaminu, zaiste cokolwiek niejasnego. Zwykły karton po mleku teoretycznie należałoby wyrzucić do papieru, ale zawiera on w sobie również aluminium oraz plastikową zakrętkę. Gdzie go wrzucić? Na to pytanie nie potrafią odpowiedzieć nawet urzędnicy na infolinii telefonicznej. Albo co zrobić z kartonem po pizzy? Można wyrzucić go do papieru, ale najpierw należy dokładnie wyczyścić. Mycie śmieci? Dla wielu to gruba przesada.

Nadzorować i karać

Kiedy w Niemczech w latach 80. wprowadzano podobne reformy, też towarzyszył im bunt. Wrzucano odpadki do kolorowych worków, ale jak leci, jawnie demonstrując niechęć do nowego porządku. Wtedy władza rozpoczęła masowe kontrole śmietników: ustalano, które wspólnoty lub nawet lokatorzy nie segregują śmieci, i wlepiano mandaty na kilkaset marek. Dopiero po kilku latach Niemcy, nauczeni poprzez surowe kary, nauczyli się starannie segregować odpady komunalne. Dziś robią to, obok Skandynawów, najlepiej na świecie. Nasi zachodni sąsiedzi osiągają również najlepsze wyniki w recyklingu, odzyskując do 70 proc. odpadów.

W Polsce szacuje się, że odzyskujemy poniżej 20 proc. surowców wtórnych. – Potrzeba 50 lat, żeby zmienić nawyki Polaków dotyczące segregacji

śmieci. Dopiero kolejnym pokoleniom ekologiczne zachowania wejdą w krew. Będą segregować śmieci naturalnie, niemal automatycznie, bez problemów – mówi dr Włodzimierz Pessel. Przekonuje, że w Skandynawii, Niemczech czy USA segregacja odpadów jest tak oczywista jak mycie zębów czy zmiana bielizny. Oczywiście kiedy pijany Szwed wraca z biby, rzuca puszkę po piwie byle gdzie, tyle że się przy tym rozgląda na wszystkie strony. Bo doskonale wie, że jest palantem o umysłowości panto-felka. – Szwed wie, że robi źle, a Polak wyrzuca bez wyrzutów sumienia – tłumaczy zasadniczą różnicę dr Pessel.

– Sądzę, że sama edukacja nie wystarczy. Ludzie są leniwi, więc należy wprowadzić system kar. Na początku małych, później coraz bardziej dotkliwych. Segregowanie nie jest przyjemne i wygodne, ale musimy to robić. Jeśli kogoś nie przekonują argumenty ekologiczne, powinny go przekonać argumenty ekonomiczne – twierdzi socjolog Filip Piotrowski. Dowodzi, że dzięki segregacji może wzrosnąć nawet PKB kraju, bo im więcej surowców wróci z odzysku, tym mniej będziemy zmuszeni kupować. A że przy segregacji troszkę się pogimnastykujemy? No cóż. Nigdy nie jest za późno, żeby nadrobić zaległości z wuefu.



O to Szklany Dom na warszawskim Żoliborzu według projektu Juliusza Żórawskiego. Modernistyczny „transatlantyk” płynący nad dachami przedwojennej dzielnicy. Odrapana fasada skrywa nowatorską jak na lata 30. konstrukcję oraz pieczołowicie odnowione klatki schodowe, które prowadzą na trzy świeżo wyremontowane tarasy widokowe. Zwiedzam je z Moniką Powalisz i Bartkiem Antosikiem, mieszkańcami „Szklaniaka” i członkami zarządu wspólnoty domu, podziwiając szlachetny minimalizm „mostków kapitańskich” i finezyjne konstrukcje daszków opartych na kolumnach. Ich odzyskany blask to jeden z sukcesów zarządu, odmłodzonego kilka lat temu. Bartek, informatyk i arabista, śmieje się: – Po trzech latach pracy w zarządzie wszyscy jesteśmy już trochę architektami, inżynierami, a na pewno nadajemy się na inspektora budowlanego – mówi.

Jest prezesem zarządu, ale nie przywiązuje do tego wagi. – Działamy w zespole. Dopiero po pół roku ustalił się ostateczny skład grupy i wykształcił się model współpracy. Zintegrowały nas remonty, bo wymagają niesamowitego zaangażowania – trzeba pilnować wykonawców, być gospodarzem tego, co wspólne.

Prawdziwy apartamentowiec

Bartek w Szklanym Domu mieszka od 2007 r. Został aktywistą, kiedy zaniepokoiły go plany wypisania kamienicy z rejestru zabytków i propozycja zamontowania metalowych drzwi wejściowych („jak z więzienia we Wronkach”). Monika mieszka tu od 2004 r. Zastąpiła w zarządzie męża, sfrustrowanego nieudanymi próbami skłonięcia lokatorów do ochrony unikatowej architektury. Nowi, dzięki prezentacji w Power Poincie, przekonali wspólnotę do wzięcia kredytu na remonty. Odnowienie tarasów to kolejny krok ku dawnej świetności: – Założyliśmy kalendarz w Google’u, gdzie każdy sąsiad może rezerwować taras na imprezy – opowiada Monika. – Odbyla się tu już ślubna sesja



ANNA SAŃCZUK

Dom nasz i wasz

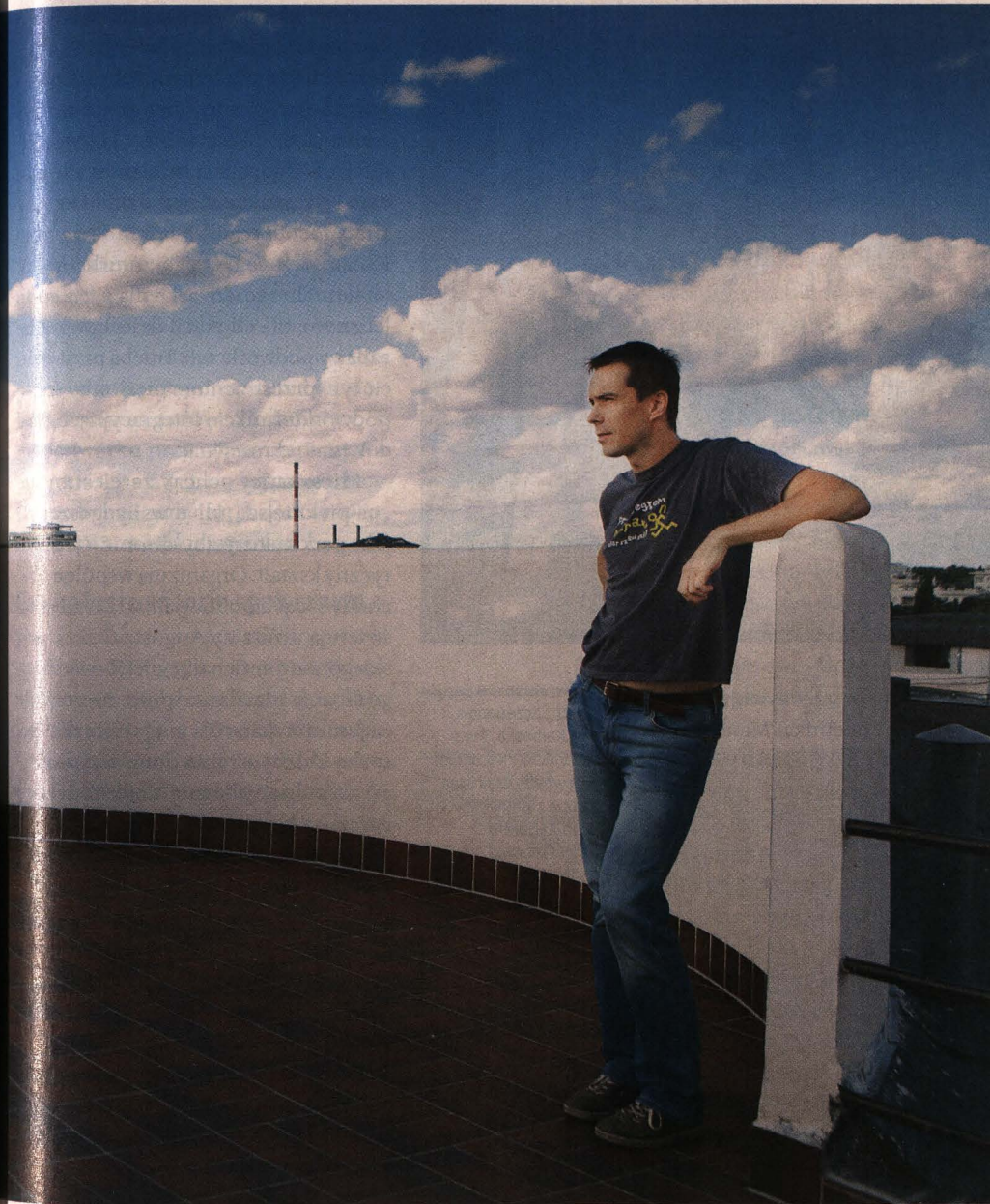
Były sobie trzy stare, sypiące się kamienice. A wyszła z tego opowieść o społeczeństwie obywatelskim, które najlepiej jest budować, zaczynając od własnego domu.

zdjęciowa mieszkańców, sąsiedzi chętnie organizują urodziny i imieniny. Od kilku sezonów co piątek na tarasie działa kino domowe, a kilka sąsiadek zażywa regularnych kąpieli słonecznych.

– Chcemy mieć luksusowy apartamentowiec w stylu lat 30., taki, jakim ten dom był – mówi Bartek. – Odrestaurowane modernizmy, np. w Holandii, to bajka. Ta architektura jest znakomicie wymyślona, pięknie łączy cechy nowoczesnej wygody i starej elegancji. Do-

staje drgawek na myśl o współczesnych domach, w których ręką dotykasz sufitu i walisz głową w lampę (Bartek zalicza się do „dwumetrowców”).

Monika uważa, że to właśnie ich dom jest prawdziwym apartamentowcem. Tutaj już przed wojną były żeliwne wanny, portier, windy i podziemny garaż, mieszkania mają 3 metry wysokości i nawet kawalerki są z oknami na przetrzał. Dlatego wspólnota z czułością dopieszcza każdy szczegół. Mieszkają-



ca tu graficzka Magda Ponagajbo zaprojektowała logo i druki Szklanego Domu, a mieszkańcy pracują nad stroną internetową, prezentującą wczoraj i dziś budynku.

Komunałki w zabytku

O dawnej świetności swojego domu mówią też Iza Karlińska i Piotr Szczepański, działacze z ponadstuletniej warszawskiej kamienicy Pod Zegarem przy Chłodnej 20. – Dostrzeżliśmy tu poten-

Monika Powalisz i Bartek Antosik to mieszkańcy kultowego „Szklaniaka”, czyli Szklanego Domu na warszawskim Żoliborzu. Tutaj prezentują taras budynku, który członkowie wspólnoty rezerwują na imprezy.

cjał na patrycjuszowski zakątek, którym ten dom niegdyś był – mówią. Mieszkania, które kupili, były przestronne, jasne i stosunkowo tanie. Za to stan budynku fatalny, z liszajami odpadającego tynku i rozwaloną bramą. Reprezentacyjne lokale frontowe przerobiono na ciasne klitki-komunałki ze wspólnym korytarzem i toaletą w dawnym szybie windy. Domem zarządzało miasto jako właściciel ok. 70 proc. udziałów (ta liczba stopniowo maleje na korzyść

mieszkańców). – Przedstawiciele władz mówili otwarcie, że traktują kamienicę niczym blok z wielkiej płyty – opowiada Piotr. – Pomijając aspekty estetyczne i historyczne, było jasne, że to wszystko przestanie w ogóle istnieć. Musieliśmy coś zrobić.

W 2004 r., dzięki inicjatywie jednej z sąsiadek, przejęli zarząd nad domem. Zaczęli od ustanowienia funduszu remontowego, co było problemem, bo mieszka tu sporo osób ubogich. – Mieliśmy szczęście, bo choć w zarządzie spotkali się ludzie bardzo różni, to o komplementarnych umiejętnościach i podobnej wrażliwości. Pani Ela, która jest inżynierem, Iza, która jest architektem, ja, humanista pracujący w reklamie, i pani Mira, urzędniczka. Towarzystwo wielopokoleniowe – wspomina Piotr, który co prawda wyprowadził się z Chłodnej, ale mieszkanie zatrzymał i wspiera dawnych towarzyszy broni. Iza dodaje: – Nakręcał nas cel, żeby na stulecie kamienica wyglądała jak w dniu oddania. Został zrealizowany tylko częściowo. Ale ważne, że skłonił nas np. do starań o wpis do rejestru zabytków, by zablokować spontaniczne przeróbki.

Do dziś ze wsparciem urzędu konserwatorskiego udało się m.in. odtworzyć fasadę z rzeźbami i przejazdy bramne ze stiukowymi kolumnami („Po zdarcie tynku odkryliśmy piękne ozdoby i sztukaterie” – cieszy się Piotr) oraz okna na klatkach schodowych. Fundusz remontowy ożywił bramy i klatki schodowe z drzwiami.

W imię historii

Grzebanie w historii przerodziło się w pasję. Piotr wciągnął się w warsawianę, zaczął prowadzić blog o kamienicy. – Okazał się on cennym narzędziem do kontaktu z dawnymi mieszkańcami – mówi. Odezwał się do niego m.in. prawnuk architekta budynku, który przypomniał, że niegdyś mieszkali tu m.in. szef Judenratu Adam Czerniaków (choć wcale nie popełnił tu samobójstwa), a także Marian Kister, współwłaściciel wydawnictwa Rój.



MAGDA STAROWIEJSKA

Także mieszkańcy „Szkłaniaka” odkrywają historię swojego domu. Bartek: – Bawi mnie, że w tych nowoczesnych wnętrzach ukrywała się burżuazyjna kamienica z iście darwinowską hierarchią społeczną. Duże vipowskie mieszkania od frontu z osobnym wejściem dla służby i windą, mniejsze mieszkania dla urzędników niższego szczebla i wreszcie 32-metrowe kawalerki w skrzydle-galeriowcu dla kierowców i obsługi technicznej. Budynek był samowystarczalnym organizmem: miał własną pralnię na poddaszu i kotłownię w piwnicy, którą obsługiwali mieszkający tu na stałe dwaj palacze.

Monika Powalisz, autorka sztuk teatralnych i scenariuszy, znalazła w domu inspirację: – Wspólnie z Tymkiem Jezierskim zrobiliśmy komiks „Ostatni koncert” o perypetiach pana Stefana Lewandowskiego, który mieszka tu od 1941 r. (komiks wygrał w konkursie Muzeum Powstania Warszawskiego – przyp. aut.). W czasie powstania, jako podrostek, dokumentował starszych walczących kolegów, a także sam budynek i płonące Śródmieście.

Monika wymyśliła sąsiedzką akcję „wietrzenie piwnic”, w trakcie której znalazła wielką puszkę po popularnej

kawie Plutos z międzywojnia. – Tyle skarbów ze śmietnika! Mam dwa fotele z lat 30., puszkę po landrynach firmy Fusch i genialną kolekcję polskich plakatów filmowych – wylicza.

Tych rzeczy nie wyrzucają starzy lokatorzy, tylko nowi. Dlatego Monika marzy o stworzeniu muzeum Szklanego Domu. Zaczątek kolekcji stanowią wspaniałe zdjęcia pana Stefana i ilustracje dziecięce Haliny Zakrzewskiej-Zaleskiej, zmarłej w ubiegłym roku.

Odzyskać ulice

Socjolog Grzegorz Kaczmarek z Bydgoszczy, były radny i wiceprezydent miasta, od lat bada i animuje lokalną aktywność w przestrzeni publicznej. – To społeczna terapia po czasach komuny. Uczymy się dbać o najbliższe środowisko, traktować z troską to, co wspólne – mówi. Praktycznym polem działania jest jego dom, secesyjno-eklektyczna kamienica przy ul. Cieszkowskiego, w której funkcjonuje mała wspólnota złożona z pięciu mieszkań. Gospodarze dbają o oryginalne detale, które cudem się tu zachowały: stolarkę, sztukaterie, piece z miśnieńskich kafli, a także udostępniają innym prywatne ogrody na tyłach domu.

Piotr Szczepański, Iza Karlińska, Mira Szanecka i Katarzyna Grzymala, czyli silna grupa z Kamienicy Pod Zegarem przy Chłodnej 20 w Warszawie.

Kilka lat temu ludzie z tutejszych kamienic (24 numery) założyli Stowarzyszenie Mieszkańców Ulicy Cieszkowskiego. Ideą jest integracja wokół zanikającej przestrzeni „klasycznej ulicy”. – Tradycyjna kamienica z ogrodem i z kontaktami sąsiedzkimi to idealny model życia w mieście – twierdzi Kaczmarek. – Trzepaki, murki, ławki to naturalne środowisko dla życia społecznego, dla edukacji dzieci poprzez zabawy podwórkowe. Trzeba przywrócić tym przestrzeniom pierwotny sens: podwórku funkcję integracyjną, ogrodowi zaś rekreacyjną.

Mieszkańcy chcą zarejestrować „najpiękniejszą ulicę w Bydgoszczy” jako park kultury, aby chronić jej historyczny kształt. Organizują wspólne obchody świąt narodowych, a 12 września świętują urodziny Augusta Cieszkowskiego, patrona ich ulicy, XIX-wiecznego filozofa i działacza społecznego. Ulica jest zamykana dla aut, a mieszkańcy pieką chleby i robią domowy smalec do wspólnej ulicznej degustacji, organizują koncerty i spotkania. W zeszłym roku transmitowali swoje święto w Internecie i na żywo łączyli się z dawnymi mieszkańcami Cieszkowskiego, żyjącymi w Brazylii czy Argentynie.

Kawa z sąsiadem, winko z sąsiadką

Takich inicjatyw przybywa. W Warszawie działa Stowarzyszenie Mieszkańców Ulicy Smolnej, w działaniu zbliżone do bydgoszczan. W Toruniu na klimatycznym, ale zaniedbanym osiedlu Bydgoskie Przedmieście od kilku lat odbywa się dzielnicowe święto, tworzone przez dziesiątki obywatelskich organizacji, instytucji i nieformalnych grup. Ewa Głodowska-Morawska, mieszkająca przy ul. Mickiewicza 142, z zawodu urzędniczka, a z zamiłowania aktywistka społeczna, namówiła swoją wspólnotę na włączenie się w organizację tego święta. Od trzech lat wyczarowują na podwórku jednodniową kawiarenkę z domowym ciastem, kawą i herbatą. Nazwali ją „Żandarmeria”, bo w budynku kie-

dyś mieścił się posterunek. Mieszkańcy urządzają recitale i wystawy fotografii, jest też wymiennia książek i urządzone na półpiętrach kąciki czytelnicze z fotelami do lektury, które także na co dzień służą lokatorom. W tym roku goście mogli obejrzeć zabawny 6-minutowy film-sondę „Gdzie jest Mickiewicz?”, nakręcony tu przez niemiecką artystkę Barbarę Standke. – To święto nas zbliżyło – opowiada pani Ewa. – Mieszkam tu 13 lat, a dopiero od kilku mam wrażenie, że dobrze znam sąsiadów. Siadamy sobie na podwórku przy winku, gadamy. Są tacy, którzy nawet po wyprowadzce wciąż do nas zaglądają, bo jak mówią: nigdzie nie ma takiej atmosfery.

Gra na instrumencie społecznym

Jest i ciemna strona wspólnotowych działań. – Kiedy tylko ktoś podejmuje aktywność, budzą się hejterzy i rusza polskie piekielko – mówi Iza Karlińska. – Oskarżano nas o machlojki finansowe, podczas gdy żadnego wynagrodzenia za działalność w zarządzie nie braliśmy i nie bierzemy. Co tym bardziej wydawało się podejrzane! Piotr: – I wcale nie jest tak, że to ci „nieuświadomieni” estetycznie lokatorzy są najtrudniejsi w kontakcie. Elegancka pani z dwoma fakultetami potrafi być znacznie bardziej napastliwa.

Puenta tych bojów jest gorzka: – Entuzjazm opadł i nikt się za bardzo nie pali, by nas wesprzeć – mówi Iza. – A przydałoby się.

Bartek Antosik też przyznaje, że bycie w zarządzie kosztuje go wiele nerwów. – Myślenie w kategoriach społecznych nie jest u nas popularne. Greckie rozumienie polityki jako troski o dobro wspólne jest niezrozumiałe. Ostatnio jako zarząd wysłaliśmy pismo, żeby ludzie, którzy wstawili sobie ekskluzywne, drewniane, ale brązowe okna, pomalowali je na biało. I było wielkie oburzenie – mówi. Jako podsumowanie cytuje Filipa Springera z książki o architekcie Oskarze Hansenie: „Myślałem, że siadam na zwykłej ławce, a usiadłem na instrumencie społecznym”.

– Odpowiedzialności za wspólną przestrzeń trzeba uczyć, bo komuna nas z tego wyprą – dodaje Grzegorz Kaczmarek. – Teraz jesteśmy zachłśnięci własnością prywatną i nastąpiło przegięcie w drugą stronę. Widać to w naszych grodzonych osiedlach i kurczeniu się przestrzeni publicznych. Ale wierzę, że wspólne działania w obrębie sąsiedztwa stopniowo otwierają ludzi. Marzy mi się nowoczesne, uspołecznione mieszczaństwo.

Nie ma onych, jesteśmy my

Wspólnota z wrocławskich Krzyków, przy ulicy Rodzinnej 9–19, gromadzi mieszkańców dwóch współczesnych budynków, które mają siedem lat. To około setki mieszkań. Wszystkie własnościowe, mieszkańcy w zbliżonym wieku, podobny status materialny i potrzeby życiowe. Może to tłumaczy ich aktywność we własnym otocze-

niu? Od regularnych „czynów społecznych”, w wyniku których powstał piękny ogród, przez wspólne biesiadowanie na podwórku, po sąsiedzkie mecze ping-ponga. Stół kupiła wspólnota. – Wiele zależy od osób, które od początku są gotowe robić coś dla wspólnoty. W naszym zarządzie jest dwóch młodych panów, Aleksander i Marcin, którzy od razu się zorientowali, że jak coś trzeba zrobić, to robimy to my, a nie jacyś „oni”. Kupiliśmy więc podkaszarkę, nożyce elektryczne i mieszkańcy sami pielęgnują zieleń, robią drobne remonty i sami założyli monitoring parkingu. Czasem widzę, jak jeden z „naszych” chodzi wokół osiedla i zastanawia się, co by tu jeszcze ulepszyć – opowiada Dagmara Skotarczak-Horoszko, członek zarządu i administrator. I musi kończyć rozmowę, bo na podwórku przy stole ogrodowym zaczyna się właśnie sąsiedzka „posiadówka”. ☞

Socjolog Grzegorz Kaczmarek, były radny i wiceprezydent Bydgoszczy, uważa, że lokalna aktywność jest świetną terapią po czasach komuny. – Uczymy się dbać o najbliższe środowisko – mówi.



ROMAN BOSIACKI

Wyszła pani niemal bez szwanku z ciężkiego wypadku samochodowego. Takie doświadczenia często skłaniają ludzi do życiowych podsumowań. Właśnie od wypadku zaczyna pani narrację książki „Oczy czarne, oczy niebieskie”, ale pisze o nim pani lekko.

To nie był mój pierwszy wypadek. Z mojego doświadczenia wynika, że wypadki zazwyczaj bardziej przeżywają mężczyźni. Przynajmniej ci, którzy jechali ze mną samochodami, które skasowałam, długo dochodzili do siebie. A ja byłam zawsze szczęśliwa, że przeżyłam. Tutaj też miałam taki pierwszy odruch, który zapamiętałam i zapisałam – śmiać mi się chciało. Z tego, że znowu byłam blisko końca, a nadal żyję.

Żadnego płaczu, żadnej hysterii?

Nie. Jeśli z kolejnych wypadków wyciągam coś dla siebie, to dużą ostrożność w jeździe samochodem. Coraz lepiej prowadzę, o ile można powiedzieć, że ostrożni jeżdżą dobrze. Wiem, jak łatwo jest zostać na drzewie albo na bandzie autostrady.

Przeraża pani bliskość śmierci?

Własnej śmierci? Nie.

Dlatego, że nie ceni pani swojego życia?

Wręcz przeciwnie, bardzo je lubię i z niego korzystam. A jeśli czasem jest ono związane z ryzykiem, to niechętnie przyjmuję to do wiadomości. Na nartach i na rowerze jeżdżę bez kasku.

Zawód, który sobie pani wybrała, również dostarcza adrenaliny. Jako korespondentka wojenna mogła się pani poturbować za amen.

Jest mnóstwo sytuacji, w których ludzie ryzykują. Czasem od niebezpieczeństwa gorsza jest fabryczna rutyna. Dla mnie koszmarem byłaby na przykład praca na trawlerze – wielkim statku, który miesiącami łowi ryby na zimnym północnym morzu. Odwalasz codziennie osiem godzin ciężkiej roboty. Potem możesz pójść do kantyny albo rzucić się na koję. Wokół łód, w środku ciasno, spaliny i nie możesz wysiąść. Ryk maszyn, prąd elektryczny, zamknięte pomieszczenie – to wszystko jest jakimś potwornym gwałtem na dzielnym człowieku w nas.

Kiedy pracuje się w mediach, a tym bardziej kiedy opisuje się dla nich konflikty zbrojne, to wydaje się to bardziej spektakularne niż praca w fabryce. Ostatnio pojawiło się sporo książek opisujących przeżycia korespondentów wojennych. Anna Wojtacha i Krzysztof Miller napisali książki z perspektywy dziennikarskiej. Grażyna Jagielska wyznała, że leczy się ze stresu bojowego, chociaż to nie ona jeździła na wojny, tylko jej mąż.

Może ci, którzy na wojny nie jeżdżą, stresują się bardziej, za nas? Jak była wielka powódź w Polsce w 1997 r., to ja podobno brnęłam po pas w wodzie, a dookoła katastrofa. Zupełnie

gatelizować powodzi w Polsce, bo tam się jednak rozegrała tragedia, zginęli ludzie. Wielu Polaków zostało pozbawionych domu, swojego kąta. Ale przecież my tutaj, w Warszawie, prawniki powstańców styczińskich, wnuki warszawskich doskonale wiemy, jak łatwo stracić dach nad głową i grunt pod nogami. W kraju, którym wydarzyło się Auschwitz, Zagłada i zsyłki.

Tyle że ludzie nie myślą o tym na co dzień. Wypierają taką świadomość. Chyba ciężko jest funkcjonować z przekonaniem, że zaraz wszystko można stracić?

ROZMAWIA HANNA RYDLEWSKA

Świeża konserwa

Zbudowana z kontrastów. Niewierząca, która szuka Boga. Propagatorka wolnej miłości, która marzy o monogamii. **Maria Wiernikowska**, wybitna dziennikarka, poszła na pielgrzymkę do Santiago de Compostela, a potem napisała o tym książkę. – To nie jest książeczka do katechezy – mówi autorka. I ma rację.

tego nie pamiętam, poza paroma wyjątkami nie czułam dramatu. To traumatyczne narodowe przeżycie rozegrało się tam, gdzie nie było wody. Niedawno brałam udział w socjologicznym panelu we Wrocławiu, w 16. rocznicę powodzi, gdzie dyskutowano, jak trauma powodzi ukonstytuowała tożsamość wrocławian.

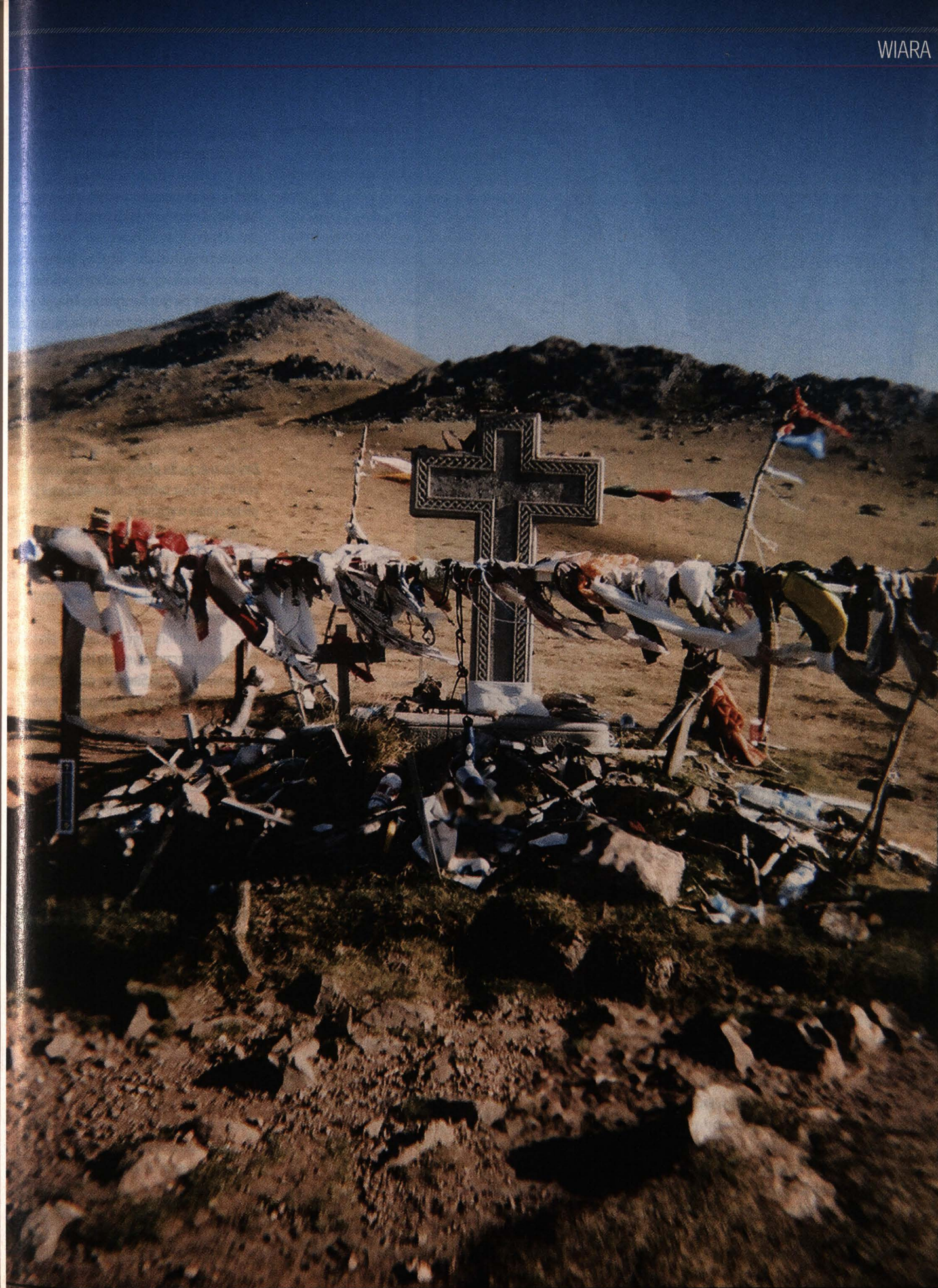
Śmiesz to panią?

Nie, chcę powiedzieć, że z daleka, z dystansu geograficznego i czasowego dramaty zyskują inny wymiar. Nie chcę ba-

żyć osaczeni potencjalnym niebezpieczeństwem, ale jesteśmy ponad to. Na tym chyba polega nasza ludzko-zwierzęca natura. A może to raczej zwycięstwo kultury nad naturą? Nie przeżywamy na okrągło traumy, a zwłaszcza traumy potencjalnej.

Przetrwiała pani wypadek. Powinna pani otworzyć szampana. A pani, osoba niewierząca, poszła pielgrzymować do Santiago de Compostela. Dlaczego?

Przed pielgrzymką był szampan. Nie, właściwie to było dobre czerwone wino.





Wypiła pani, ale potem poszła. W książce argumentuje pani, że to znajomi wypchnęli panią na wyprawę. Nie wydaje się pani kobietą, którą można do czegoś zmusić. Decyzję musiała pani podjąć sama.

To było wyzwanie. Nikt mnie w Polsce dotąd nie namówił na udział w pielgrzymce do Częstochowy, a wiem, że jest to duża sprawa dla wielu ludzi. Pielgrzymka była dla mnie ciekawa, również dziennikarsko. Nie szłam tam z zamiarem pisania, ale mam zawodową ciekawość, której nie da się wyłączyć. Skoro mówimy o Częstochowie, przypomniło mi się, że jeden z moich najlepszych przyjaciół poznał tam swoją przyszłą żonę. Zdaje się, że na pielgrzymce od razu zrobił jej dziecko. Nie

wykluczam, że to wzmogło mój zapał pielgrzymy.

Chciała pani kogoś poznać na szlaku?

Tak. Później okazało się, że przyjacielom, którzy mnie wysłali do Santiago, właśnie o to chodziło, żebym wreszcie „ulożyła sobie życie”. Proszę tak nie patrzeć, żartuję, oni mieli wznioślejsze pobudki.

Znajomi są wierzący?

Tak. Oni wierzą w pielgrzymkę, w to coś, co się podczas pielgrzymki dzieje z człowiekiem. Nie wiem, czy w każdą niedzielę chodzą do kościoła, to nie ma dla mnie znaczenia. Zresztą ta pielgrzymka, ten strumień ludzi, z którymi

się idzie lub jedzie, w ogóle nie sprawia wrażenia imprezki kościelnej.

Bo?

Myślę, że to jest jakaś potrzeba wyższa. Opisuję w książce, że do Santiago maszerują ludzie, którzy nierzadko po raz pierwszy wchodzą do kościoła. A jednak na pielgrzymkę idą. To być może efekt mody na medytację, sposób na wejście w siebie za pomocą rytualnego marszu. Przecież muzułmanie także chodzą na pielgrzymki do Mekki. W wielu religiach pielgrzymka jest narzędziem medytacji.

Czy to znaczy, że osoba niewierząca może coś dla siebie z takiego doświadczenia jak pielgrzymka wycisnąć?

A joga? To jest chyba ten rodzaj ćwiczenia. Przez opanowanie czegoś w swoim ciele, przez zjednoczenie się z ciałem i oddechem wchodzisz w inny stan umysłu.

Czy nie wystarczy w tym celu iść samotnie w wysokie góry? W Santiago de Compostela mimo wszystko obowiązują konkretne chrześcijańskie rytuały, nawet jeśli się je kontestuje.

Nie musiałam ich specjalnie kontestować. Widziałam, że większość uczestników tego marszu nie wchodziła do kościoła, a jeśli tak, to po to, żeby go zwiedzić.

Ale jest to zbiorowe wydarzenie. Pisz pani w książce, że nie lubi ludzi, a zdecydowała się pani na udział w czymś, co ma charakter masowy.

Kiedy lecę do jakiegoś dalekiego kraju, na przykład do Mongolii, to wcześniej muszę przejść przez kilka lotnisk, gdzie kłębią się kolorowe tłumy. Lotniska są fascynujące pod tym względem. To najbardziej różnorodne kulturowo i obyczajowo miejsca.

Może pani za ludźmi nie przepada, ale lubi ich pani obserwować?

Ja różne rzeczy lubię z ludźmi robić.

Na przykład?

Różne. Są jednak takie momenty, kiedy po prostu następuje okropne zmęcze-

Wielu ludzi wybiera się na pielgrzymkę nie po to, żeby się modlić, ale żeby doświadczyć czegoś wzniosłego. Maria Wiernikowska: – To nie przypomina imprezki kościelnej.



Maria Wiernikowska, „Oczy czarne, oczy niebieskie”, Wyd. Zwierciadło 2013, 34,90 zł

nie materiału. Chce się pobyć samemu. To zdanie w książce, do którego pani nawiązuje – jak rozumiem autorkę – służyło do tego, żeby pokazać, że ona chce być sama. Ale to dziwnie zabrzmiało...

O co chodzi?

Ugryzłam się w język, kiedy sama o sobie powiedziałam: autorka. To nie jest tak, że ja sobie wymyśliłam jakąś książkę, siebie jako bohaterkę. Moja książka to, za przeproszeniem, strumień świadomości, doznania spisane na gorąco. Zapytałam jednego kolegę, który jest znawcą branży, jak się właściwie książki robi. Powiedział tak: opowiadasz jakąś historię, wrzucasz pejzaż w tło, dobrą scenę erotyczną i jest książka.

Pejzaże u pani są, scena erotyczna też. W dodatku – pod gołym niebem.

Skorzystałam z recepty kolegi i wyszło, jak wyszło.

I okrasila to pani szczyptą modnej dziś metafizyki.

Poszukiwanie metafizyki jest modne, ale nie drwiłabym z tego. Nawet duchowe wzruszenia à la Coelho są lepsze niż próżna konsumpcja. Chrześcijaństwo w świecie zachodnim zaczyna być pasé. Dlatego każdy sposób poszukiwania wyższych emocji jest chwalebny. Żebyśmy nie gonili tylko za kaską.

Sama nie kwalifikuję się do tych, którzy wierzą, ale mam ogromny szacunek dla tej części człowieka, która wytworzyła duchowość, czyli potrzebę

czegoś większego niż my sami. Oczywiście można się zastanawiać nad siłą sprawczą. Robiliśmy to przez parę ładnych wieków, od czasu racjonalizmu oświeceniowego. Potem mieliśmy leninowski punkt widzenia, wedle którego religia to opium narodu. Niemniej lubimy to opium i chcemy je mieć, żeby się w jakiś sposób wyźwignąć ponad upierdliwą rzeczywistość.

Opowiadasz jakąś historię, wrzucasz pejzaż w tło, dobrą scenę erotyczną i jest książka.

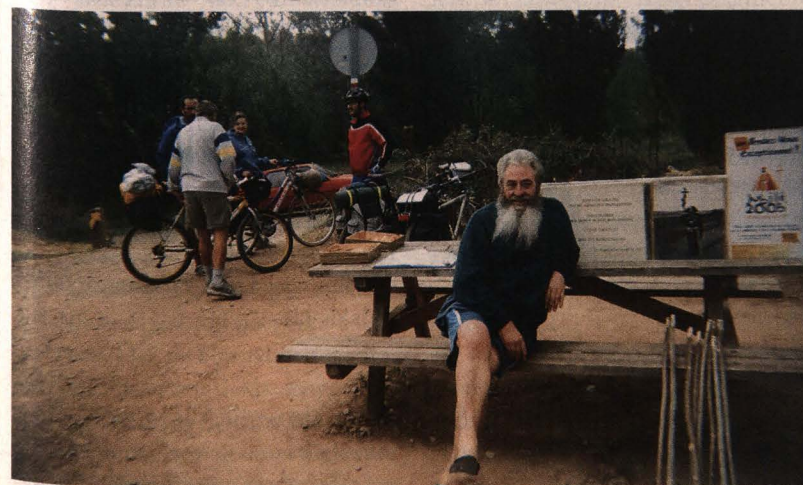
Ze strachu też?

Ze strachu przede wszystkim: przed samotnością, chorobą, piorunem. Przed śmiercią i nieurodzajem. Ponieważ nie bardzo wiemy, skąd te złe rzeczy na nas spadają, a chcielibyśmy ich uniknąć – tworzymy bóstwa. Nie, to nie jest dobre określenie – my je próbujemy nazwać.

Może właśnie je tworzymy? Czemu się pani wycofuje? Jeżeli twierdzi pani, że próbujemy nazwać bóstwa, to znaczy, że one istnieją. Tak.

To może pani wierzy w Boga?

W Boga? Nie. Ale wierzę w potrzebę istnienia czegoś większego.



Na szlaku spotkać można prawdziwych oryginałów. Z nieodzownym dla każdego pielgrzyma kosturem i wieloma barwnymi historiami w rękawie.

Albo Bóg istnieje, albo nie. Tak?

A jaka jest trzecia możliwość?

Że istnieje, kiedy chcemy, żeby istniał.

Czyli go tworzymy, jest wytworem naszej wyobraźni.

To zbyt wielkie uproszczenie. Chryścijanin powiedziałby, że albo pani doznała oświecenia, albo nie.

Pani doznała go podczas pielgrzymki?

Zjawiska przyrody bardzo na mnie działały. Miałam wiele sytuacji, w których nagle się zastanawiałam: o rany, skąd to się wzięło?

Kolor kwiatów?

Na przykład.

Pyta pani na kartach książki o to, dlaczego kwiaty mają kolor. Sugeruje pani, że to może sprawka wyższej siły.

Ostatnio podczas mojego spotkania autorskiego pewna pani wstała i powiedziała, że kwiaty są kolorowe, żeby zwabić owady. Potem przysłała mi link na Facebooku, ale on się nie chce otworzyć. Wyskakuje mi: „Page not found”. Więc ciągle jest tajemnica.

Chciałaby pani, żeby to był Bóg czy siła biologii?

Mnie chyba nie zależy na tym, żeby mieć gotową odpowiedź. Dlatego, że przez wiele lat trwałam w przeświadczeniu, że wszystko jest racjonalne, logiczne i wynika z teorii Darwina. A teraz jestem ciekawa czegoś innego, czegoś więcej. Na razie wiem tylko, że zawsze można znaleźć następny link do głębszej wiedzy. Taki Einstein, który nieźle znał prawa fizyki i kosmosu, był ponoć religijny.

Może pani jest na tej samej drodze co Einstein?

Włosy mam już coraz bielsze.

Mówi pani, że przez lata była pragmatyczką, a teraz pojawiają się u pani inne potrzeby.

Z czego wynika ta przemiana?

Jeżeli będziemy pytać, sięgać coraz głębiej i czasem znajdować odpowiedzi

materialne, a czasem znaki zapytania, to będziemy się rozwijać.

20 lat temu tak pani nie myślała?

Młodzi ludzie są w ogóle dużo bardziej bezczelni, przekonani o swoich racjach. Ja po prostu teraz jestem sceptyczna wobec swojej dawnej pewności, że Boga nie ma i że nie jest mi do czego potrzebny.

Jak mnie już pani tak przyciska, przyznam, że jestem gotowa wierzyć w magię zbiorowej modlitwy. Kiedy wiele osób modli się w jednym miejscu, to powstaje coś podobnego do tego, co wytwarza się na stadionie w czasie meczu. To są jakieś zbiorowe emocje, kula energii.

Niektórzy wierzący mogą się na panią obrazić za takie porównanie: modlitwa jak odlot kibiców.

Nie wierzący, ale Polacy. Bo Polacy to są takie piczki-zasadniczki. Chyba każdy, kto chce mnie wysłuchać, poczuje, że nie zamierzam nikogo obrazić. Właśnie próbuję zgłębić i zaakceptować to, co wierzący chcą mi wcisnąć. Duchowość, kolejny wymiar człowieka. Nie dam się tak łatwo przekonać, że jest tam za chmurką jakiś pan B., który raz rzuca piorunami, a kiedy indziej zsyła nam, kogo tam ma zesłać.

Dzisiaj jest pani bliżej tej chmurki niż kiedyś. Idąc na pielgrzymkę, jest pani bliżej.

Nie, jestem tylko dalej od płaskiego racjonalizmu.

Pielgrzymka może mieć wymiar erotyczny, nie tylko duchowy. Doświadczyla pani tego.

Nie łączyłabym tego z pielgrzymką jako taką. To przywilej wakacji, podróży, oderwania się od codzienności i codziennych partnerów. Jak wiadomo, syndrom delegacyjny, często występujący u mężczyzn, jest przyczyną rozkwitu przemysłu erotycznego. Tam, gdzie tiorowcy, biznesmeni, wędrowcy, tam też kobiety czekające w pogotowiu.

Czy atmosfera pielgrzymki sprzyja przygodom miłosnym?

Na pewno nie. Jeśli ktoś traktuje to jako poważne religijne zajęcie, to od swojej



MARIA WIERNIKOWSKA

dziennikarka, karierę rozpoczęła w 1984 r. w Radio France Internationale. Po powrocie do kraju w 1989 r. pracowała w Polskim Radiu, potem współpracowała z Radiem Zet i „Gazetą Wyborczą”. Uznanie zdobyła jako korespondentka TVP, m.in. w Czeczenii oraz Jugosławii. Relacjonowała również powódź tysiąclecia w Polsce. Laureatka Wiktorów, Kryształowego Zwierciadła oraz Nagrody im. Ksawerego Pruszyńskiego przyznawanej przez Polski PEN Club. Autorka książek: „Zwariowałam, czyli widziałam w Kłewkach” oraz „Oczy czarne, oczy niebieskie”.

cielesności powinien wręcz uciekać. Są być może religie, które z seksu robią rytuał, jednak większość propaguje ascezę. Chrześcijanie nie pielgrzymują dla seksu i chyba nie lubią swoich ciał. Chętniej zastanawiałabym się nad takim wątkiem: dlaczego człowiek w drodze jest bardziej nastawiony na doznania erotyczne?

Pani zdaniem fakt, że opisała pani seks uprawiany podczas pielgrzymki, jest czymś obrazoburczym?

Nie znam takiego słowa. Ja jestem tylko reporterem.

Nie spotkała się pani z takimi opiniami? Nikt nie powiedział pani, że książka jest odważna obyczajowo?

Moja książka nie jest pielgrzymką. Mogę sobie pisać, co chcę. To nie jest książeczka do katechezy. Widziałam, że pojawiła się recenzja na stronie wiara.pl, ale nie zaglądałam, czy są tam jakieś kąśliwe komentarze. A to, jak ludzie religijni podejść do moich przemyśleń, interesuje mnie bardzo. Jak ktoś będzie chciał, zobaczy w tym moje szukanie Boga. Inni, być może, zobaczą obrażanie Boga i wiernych.

Sposób, w jaki pisze pani o mężczyznach, nie wzbudził mocnych reakcji w pani najbliższym otoczeniu?

Najbliższa rodzina udaje, że nic nie wie. A to nie mają czasu przeczytać, a to wykręcają się tym, że znają już wszystkie moje wariactwa.

Jest opisany mężczyzna, który panią zdradza. Czytał to?

Nie wiem.

Jest także mężczyzna, z którym ma pani romans w pracy. Nazywa go pani Fotografem. Czytał to? Na pewno się domyśli, że chodzi o niego. Zostawia pani wiele tropów w książce.

Nie wiem.

Zastanawiała się pani nad tym podczas pisanie „Oczu czarnych, oczu niebieskich”?

Tak, ale to nie był mój cel. Nie pisałam tego do nich. Jeśli do kogoś, to chętnie napisałabym do występującego również w książce architekta. Próbowałabym wyjaśnić nasze wielkie nieporozumienie: ja myślałam, że mnie żegna, a on się witał.

A reakcje kobiet na pani wyznania jakie są? Piszecie pani o tym, że ma romans z żonatym mężczyzną. Kobiety zazwyczaj dosyć bezwzględnie oceniają takie historie.

Uczciwie to wszystkie bezwzględnie oceniać nie mogą, bo w tych historiach udział biorą właśnie kobiety. Wszystko zależy od tego, po której stronie jest dana kobieta w danym momencie.

Przynajmniej oficjalnie wszystkie stoją po tej „moralnie właściwej” stronie.

Mam pomysł: zaczniemy mówić prawdę. Spróbujemy rozwalić system obyczajowy, który opiera się na hipokryzji. W akcie niewierności małżeńskiej udział bierze kilka osób. Raz ktoś jest ofiarą, a w innej konfiguracji – sprawcą. Zmieniają się układy sił i aktorzy, ale mechanizm jest podobny. Więc powiedzmy to sobie szczerze: jesteśmy ludźmi wiarołomnymi. Przestańmy udawać, że jest w ogóle możliwa wierność do grobowej deski. Jeśli godzimy się na to, że facet może mieć kilka kobiet, to ogłosimy poligamię. Przestańmy się łudzić, chociaż złudzenie jest rzeczą piękną. Niech dorośli stworzą dzieciom takie społeczeństwo i takie wychowanie, żeby w przyszłości panna młoda, stając na ślubnym kobiercu, nie miała złudzeń, że będzie ostatnia.

To po co w ogóle na nim stawać?

Dla imprezki. Urodziny robimy raz do roku, więc ślub też można zrobić raz na jakiś czas.

Czy da się budować poważny związek tylko na moment?

A jeżeli przeświadczenie o dozgonnym uczuciu jest fałszywe, to po co w to brnąć?

Pani zdaniem wierność jednemu partnerowi przez całe życie jest niemożliwa?

Znane są takie przypadki.

Wyjątki, które potwierdzają regułę?

Ja znam mniej przypadków wierności dozgonnej niż niewierności czy też związków typu „poli”. Niby to się nie nazywa zdradą, jak się raz na pięć lat zmienia żonę...

A życie w poliamorii, czyli z kilkoma partnerami naraz, jak pani ocenia?

Nawołuję do czegoś takiego w swojej książce. Klub swingersów w każdej gminie. Może znajdzie się na to jakieś środki z funduszy europejskich? W każdej gminie wójt będzie mieć zastępcę do spraw swingersów. Z jednej strony proboszcz, a z drugiej specjalista od doznań cielesnych. Czemu się pani śmieje? No dobrze, poważnie.

Widziałam kiedyś film „Zawiesze czerwone latanie”. Rzecz dzieje się na dworze imperatora Chin, który ma wiele żon. One są gotowe pozabijać się z zazdrości, choć wydawałoby się, że są od wieków wyćwiczone do obowiązyującego systemu.

Czy to nie jest tak, że kobieta, która ma romans z żonatym mężczyzną, doświadcza tej samej zazdrości co żona?

Tak, absolutnie tak. Doświadcza na pewno jego poligamii.

Zazwyczaj mówi się o cierpieniu zdradzanej kobiety. Ale przecież ta, z którą mężczyzna zdradza, także cierpi.

Oczywiście. Ale dziś zazdrość nie jest trendy. Poznałam niedawno kobietę, która ma dziecko z biseksualnym mężczyzną, mieszka w Europie Zachodniej. Nie wiedziała od początku o jego orientacji, a jak się dowiedziała, to dramat. Ona w warstwie deklaratywnej jest za tym, żeby każdy mógł żyć z każdym, żeby ludzie realizowali się na wiele sposobów, pod warunkiem że wszystko bę-



dzie od początku jasne. Moim zdaniem ściemnia. Nie wierzę, że byłaby szczęśliwa w związku jako jedna z wielu ukochanych osób swojego partnera.

Chciałaby go jednak w pewnym momencie zdobyć na wyłączność?

Jest w człowieku takie pragnienie. Albo trzeba nad tym zapanować, nad tą potrzebą wyłączności, posiadania, przywiązania, albo nie działać wbrew swojej naturze. Podobno skłonność do poligamii czy monogamii warunkują jakieś związki chemiczne. Robiono badania na szczurach, wynika z nich, że umiejętność dochowania wierności mamy zapisaną w mózgach. Lub nie. Może trzeba by było wszystkich szczepić na niewierność? Albo odwrotnie: szczepić wszystkich na potrzebę wierności, żeby wykorzenić z nas taki wirus? I konsekwentnie iść na całość: oddzielić seks od miłości.

Maria Wiernikowska nie poszła na pielgrzymkę z założeniem, że efektem wyprawy będzie książka. Dziennikarska ciekawość wzięła jednak górę nad pragnieniem „odłączenia się”.

Ciekawe, że z jednej strony zmierza pani w stronę duchowości, zaczyna pani zadawać pytania o istnienie Boga, a z drugiej – głosi postępowe poglądy, które kompletnie nie mieszczą się w schematach, a już z pewnością nie w tych katolickich.

Religia w ogóle nie musi być powiązana z obyczajowością.

Zdaniem katolików musi. Nie może pani tak myśleć i należeć do Kościoła katolickiego.

Przecież my wszyscy masowo, łącznie z prawodawcami, kiedy pozwalamy na rozwód cywilny, stoimy w sprzeczności z zasadami katolicyzmu.

Są tacy, którzy w związku ze swoimi przekonaniami nigdy nie wzięliby rozwodu.

Kościół im rozwodu nie daje, więc biorą cywilny. A jeśli nie biorą, a żyją z kimś innym, to już w ogóle jest paszтет.

Wszyscy jesteśmy hipokrytami? Tak.

Istnieje taka możliwość, że zaraz odkryje pani w sobie konserwatystkę?

Tak. Moje pomysły – pozwólmymy sobie na wszystko, byle to było szczere i prawdziwe – to prowokacja. Nie dla śmichu, nie dla jaj – to prowokacja intelektualna, namowa do dyskusji. Dla ciekawych – do eksperymentu. Sprawdźcie w klubie swingersów swoją zdolność do dzielenia się swoim partnerem.

A ja? Jeszcze nie wiem. Lubię eksperymenty i wynalazki. Ale coś czuję, że nasza dążność do wszystkoizmu i całkowitej wolności jest ślepym zaufaniem. Myślę, że zawsze trzeba wybierać, że zawsze jest jakieś niespełnienie. Nie możemy mieć wszystkich mężczyzn tego świata i kobiet jednocześnie. Więc chyba już dzisiaj jestem konserwą.

To dziwne. Nie postępuje pani jak konserwatystka.

Do konserwatyzmu się dojrzeza. Zamierzam być wierna, jak już spotkam tego jedyne... Ale dość tych żonkośców. To musi być wdowiec. Szukam wdowca, halo!

PRZEMEK CIOCH

Skandaliczna prawda

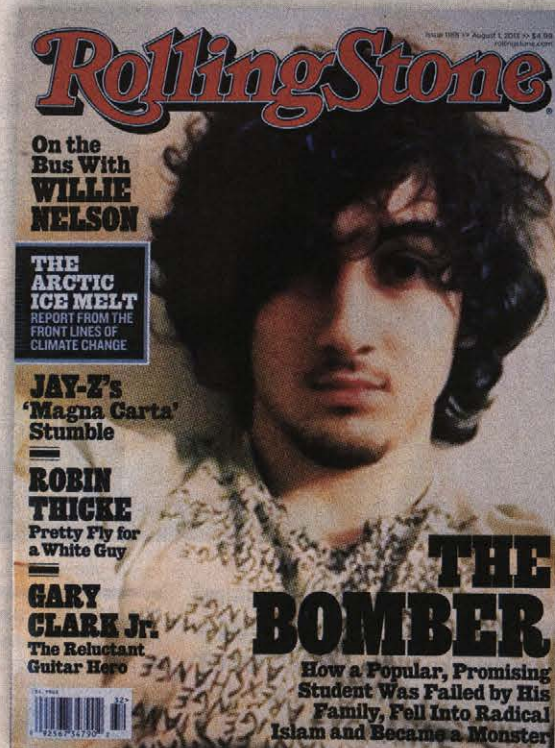
Okładka magazynu „Rolling Stone” z Dżocharem Carnajewem wywołała taką burzę, że jakoś przegapiliśmy sedno sprawy: opublikowany w piśmie artykuł Janet Reitman opowiadający o zamachowcu z Bostonu.

Skierowany do młodych ludzi „Rolling Stone” jest opiniotwórczym pismem kojarzonym głównie z muzyką i celebrytami. Amerykanie nie mogą zrozumieć, dlaczego nastoletni współautor zamachu, w którym zginęły trzy osoby, a 300 odniosło rany przedstawiany jest jak popkulturowe zjawisko. Pod projektem okładki na Facebooku pojawiły się tysiące negatywnych komentarzy, a nawet obelg. Kilka bostońskich firm kolportujących prasę podjęło decyzję o wycofaniu „Rolling Stone’a” z dystrybucji. Policjant Sean Murphy, który brał udział w polowaniu na Carnajewa, wkurzył się do tego stopnia, że podarował redakcji „Boston Magazine” zdjęcia operacyjne z zatrzymania zamachowca. Za karę wyleciał z pracy, ale spełnił obywatelski obowiązek: zakrwawiony nastolatek wygląda na nich jak prawdziwy zabójca, a nie jak bożyszcze z aksamitnymi rękami.

Redakcja „Rolling Stone’a” chciała zbić kokosy. To oczywiste. Telewizja CNN zareagowała na postępek pisma wywodem komentatora Joshua Levsza, że skandal potrafi zwiększyć sprzedaż tytułu nawet o 70 proc., jednak według plotek tym razem może być inaczej. 95 proc. blisko półtoramilionowego nakładu pisma rozchodzi się w prenumeracie, z której rezygnację na forach internetowych zadeklarowało wielu najwierniejszych czytelników „Rolling Stone’a”. Pytanie tylko, czy przed, czy po lekturze okładkowego reportażu.

Szumy na łączach

Reporterską podróż przez krótkie życie Dżochara Carnajewa otwiera Pe-



W zamysle redakcji okładka z Carnajewem miała być zapewne powtórką pomysłu z 1970 r., kiedy pismo opakowano w podobiznę Charlesa Mansona, a wewnątrz opublikowano więzienny wywiad z guru bandy zabójców Sharon Tate.

ter Payack, licealny trener zapasów, który wspomina zamachowca jako „normalnego, spokojnego dziecka”. On także był na mecie maratonu, kiedy nastąpiły eksplozje, i na krótko stracił słuch. Kiedy zaczęło się polowanie na braci Carnajewów, zadzwonił do niego syn. „Tato, to Dżochar”. I to właśnie Payack wystąpił w CNN, by wezwać zamachowca do poddania się, kiedy policja osaczyła go w motorówce stojącej na prywatnej posesji.

Payack widział też zamachowca w sądzie, kiedy ten się uśmiechał, poprawiał rozwichrzoną fryzurę i był zaskakująco

wyluzowany. „Co tu jest grane?”, spytał sam siebie w osłupieniu.

No właśnie. Co tu jest grane?

Dżochar miał osiem lat, kiedy w 2002 r. jego czeczeńska rodzina poprosiła o azyl polityczny w USA. To nie było lądowanie w próżni. Boston to multikulturowe, znane z tolerancji miasto, w którym mieszkają się najróżniejsze narodowości: w licealnej Cambridge Rindge and Latin School, do której później uczęszczał, doliczono się wśród uczniów ponad 50 nacji. Czeczeńska diaspora nie należy do największych, ale – według rozmówców „Rolling Stone’a” – wyróżnia ją wzajemna życzliwość i chęć do pomocy.

Anna Nikajewa wspomina, że w odróżnieniu od większości rodzin z okolic Kaukazu Carnajewowie nie byli tradycjonalistami. Dotyczy to także Zubeidat, matki zamachowców, która miała później zamienić starszego z nich, Tamerlana, w fanatycznego islamistę.

W czasie gdy Anna Nikajewa przyjechała się z Zubeidat, ta ubierała się w dżinsy, zawsze chodziła w szpilkach i dbała o makijaż. Pracowała zresztą w salonie piękności, więc znała się na rzeczy; ojciec chłopaków, z zawodu mechanik samochodowy, był zwykłym facetem zarabiającym grosze w jakimś małym warsztacie.

Rodzina przez pierwszy rok pobytu w USA żyła biednie, ale była szczęśliwa. Muskularny Tamerlan nazywany był przez matkę Herkulesem, na Dżochara mówiło się Jo-Jo, Dzi-dzia, względnie Serduszko. Grzeczniutki, trochę maminsynek. A jednak to on najszybciej przywykł do nowego życia, niemal perfekcyjnie opanował



Amerykańska miłość do bandytów narodziła się wraz z legendą Bonnie i Clyde’a. Tyle że oni byli zli, ale swoi, podczas gdy Carnajew to obcy.

język i w praktyce stał się Amerykaninem.

Wprawdzie Larry Aaronson, licealny nauczyciel historii, jakoś nie mógł zapamiętać jego imienia. Dokar? Jokar? Ale kiedy się dowiedział, że Dżochar jest z Czeczenii, był pełen podziwu. „Jak to przetrwałes?”, spytał.

Opinia kolegów? Dżochar był kapitanem szkolnej drużyny zapaśniczej, chociaż według Sama miał większy talent do boks. „Tylko nie lubił nokautować”, zero brutalności.

Według Alyssy bardzo podobał się dziewczynom, „ale z tego nie korzystał”. I nigdy nie rozmawiał o islamie. Jej zdaniem najbardziej radykalna rzecz, jaką powiedział, to „nie wymawiaj imienia bożego nadaremno”.

O terroryzmie też nie chciał rozmawiać. Chociaż Will pamięta, że raz w pubie zeszło na te sprawy. Dżochar oświadczył, że „terroryzm bywa usprawiedliwiony, a islam to pokojowa religia, błędnie kojarzona z przemocą”.

„Jak to? A 11 września?”, spytał Will. „Amerykańskie bomby też spadają tu czy tam”, odpowiedział wymijająco Dżochar. Co, nawiasem mówiąc, nie różniło się od osądu wielu Amerykanów.

Ale Will pomyślał: „Ups. On ich wspiera”.

I nie chciał dłużej o tym gadać.

Zwykła dziennikarska robota

Tak artykuł wygląda w przekrojowym skrócie. W rzeczywistości jest to potężny, wnikliwy reportaż, jakiego nie znajdziecie w polskiej prasie. Pisanie takich rzeczy trwa tygodniami i kosztuje mnóstwo kasy. Wymaga spotkań z dziesiątkami bohaterów, bo to z ich wypowiedzi powstaje obraz osoby czy zdarzenia. W tym procesie dziennikarz bardziej przypomina dróżnika wysyłającego w ruch kolejne składy cudzych wspomnień i myśli niż bajkopisarza, jak często bywa u nas, w krainie autoryzacji.

I znów powstaje pytanie, które zadał trener Payack: co tu jest grane?

Amerykanie uwielbiają przecież takie opowieści, a przelana krew niewinnych w żadnym razie nie zmniejsza ich fascynacji. Potępią „Rolling Stone’a”,

Issei Sagawa, zabójca i kanibal, uniknął kary i został celebrytą. Zespół Rolling Stones zadedykował mu piosenkę „Too Much Blood”, Stranglersi kawałek „La Folie”, a psychopata świetnie się bawi i cieszy sporą popularnością w rodzimej Japonii.

zapominając, że na ich własnym podwórku przestępcy seryjnie stawiali się ikonami popkultury. Jesse James, John Gotti, John Dillinger czy Pretty Boy Floyd to wielcy antybohaterowie, jednak tytuł największych medialnych łotrów należy się Bonnie Parker i Clyde’owi Barrowowi – zakochanej parze gangsterów z lat 30. XX w., pochodzącej z ubogich dzielnic Dallas. Kradzież samochodów, napady na sklepy, stacje benzynowe i banki czy wreszcie dziewięć morderstw dokonanych na policjantach (plus nieokreślona liczba niewinnych ofiar cywilnych) to ich dorobek na ścieżce zbrodni. Zdesperowane społeczeństwo w czasach wielkiego kryzysu, wegetujące bez nadziei na lepszą przyszłość, darzyło oboje wielką sympatią.

Historyk Jeff Guinn twierdzi, że ich legenda narodziła się dzięki Bonnie, która marzyła o karierze piosenkarki lub aktorki. Uwielbiała pozować do zdjęć i chętnie to robiła podczas krwawego rajdu z kochankiem. W jednej z kryjówek, którą para opuściła w pośpiechu, policja

odnalazła niewywołaną rolkę filmu. Tak do prasy trafiła seria zdjęć, na których Bonnie występuje z rewolwerem w ręku i cygarem w ustach, choć w rzeczywistości nie paliła i najprawdopodobniej nigdy nie użyła broni.

Śmierć pary gangsterów, rozniesionych w policyjnej zasadzce ogniem z karabinów automatycznych, tylko dodała im sławy. Podziurawiony ford V8, w którym zginęli, to marzenie kolekcjonerów, a film o ich zbrodniach nakręcony w 1967 r. przez Arthura Penna bił w kinach rekordy popularności.

Celebryta kanibal

Jeżeli media popełniają grzechy niewybaczalne, to z pewnością jest tak w przypadku Isseia Sagawy. Japończyk dokonał wprawdzie tylko jednej zbrodni, ale nikt nie przejdzie obok niej obojętnie. W czerwcu 1981 r. zaprosił do swojego mieszkania w Paryżu 25-letnią studentkę Renée Hartevelt z Holandii, która spodziewała się miłej pogawędki o literaturze z kolegą z Sorbony. Ten jednak najpierw ją zastrzelił, potem poćwiartował,

następnie zgwałcił i wreszcie zjadł. Został schwytany przez policję, ponieważ nieudolnie usiłował pozbyć się resztek zwłok spakowanych do walizki, jednak po zaledwie dwóch latach francuski wymiar sprawiedliwości wypuścił go z rąk. Sagawa został przewieziony do ojczystej Japonii, gdzie dzięki prawnikom opłaconym przez bogatego ojca sąd zdecydował o orzeczeniu niepoczytalności i wypuszczeniu szaleńca na wolność.

Sagawa błyskawicznie zdobył sławę, w licznych wywiadach opisując swój czyn z aptekarską dokładnością. Historia kanibala zainspirowała zespół Rolling Stones do napisania piosenki „Too Much Blood”, a grupa The Stranglers poświęciła mu utwór „La Folie”. Zbrodniarz jest chętnie zapraszany do rozrywkowych programów w TV, a także napisał modny przewodnik po japońskich knajpach. Otwarcie twierdzi, że przed kolejnymi zabójstwami (oraz konsumpcją) powstrzymuje go jedynie obawa przed więzieniem. I jeżeli ktoś w to wszystko nie wierzy, to zapewniamy, że w Internecie oprócz bogatego dossier Sagawy można znaleźć dobre jakościowo zdjęcia z obdukcji resztek ciała jego ofiary.

Przykłady perfidnej zabawy zbrodni, której dopuszczają się mniej lub bardziej poważne media, można mnożyć w nieskończoność. Nasza prasa opinotwórcza wcale nie jest w tej kwestii święta: dość zerknąć na casus Katarzyny W., bezlitośnie eksploatowanej przez wszystkie możliwe media i tytuły, choć w rozumieniu prawa wciąż pozostaje tylko podsadną. I śmiemy twierdzić, że na tym tle przypadek okładki „Rolling Stone’a” jawi się jako coś dokładnie odwrotnego.

O co więc chodzi?

Kiedy w artykule Janet Reitman pojawia się kwestia islamu i terroryzmu, na scenę wkracza ekspert: emerytowany agent FBI Tom Neer. Tłumaczy, że w trakcie cytowanej rozmowy z kolegą Carnajew w pewnym sensie „dał cynk”. Ze wglądem jak bilardowa kula obrazie przystojnego młodzieńca pojawiło się pęknięcie, w którym złowrogo zamigotała jego

prawdziwa natura. Natura ekstremisty, potencjalnego zbrodniarza.

Trener Payack dodaje, że: „Na zawodach zapaśniczych w szkole kibicowały całe rodziny, a on zawsze był sam. Nawet nie wiedziałem, że ma brata”.

Jeden z kumpli spytał Dżochara, dlaczego zawsze jest sam. „Bo nie chcę, żeby ojciec zobaczył moją przegraną”.

Jego ojciec po prostu ciężko pracował, dodają inni. A matka chciała szybkiej forsy, która wciąż nie nadchodziła. Wtedy skreśliła w stronę islamu i zaczęła nosić hidżab, a znalazłszy podatny grunt w sfrustrowanym starszym synu, pociągnęła go za sobą. Chciała „uratować Tamerlana od złych obyczajów” i nadać nowy sens jego słabo zamerykanizowanemu życiu. Sama w pracy zaczęła się modlić pięć razy dziennie, ale gdy odmówiła ob-

Skoro Amerykanie kochają zabójców i psychopatów, to czemu nie mieliby powspółczuć dzieciakowi, którego do zbrodni popchnęli matka i brat?

śługiwania mężczyzn, wywalono ją z roboty. Próbowwała jeszcze zrealizować własny american dream, otwierając w domu salon kosmetyczny, ale nic z tego nie wyszło.

To wtedy wuj Ruslan kazał Tamerlanowi iść do wojska, żeby nauczył się języka. Ale on tylko się śmiał: „Mam iść zabijać moich braci muzułmanów?”. Pod wpływem matki rzucił nawet boks. „Islam zabrania bić ludzi”.

Matka wyczytała w sieci, że jedenasty września to była wewnętrzna robota Amerykanów. Natychmiast w to uwierzyła, zapadła się w Internet i wtedy do końca odjechała na punkcie religijnym. Jej mąż tego nie wytrzymał, w 2011 r. wyjechał do Europy. I ona też uciekła, kiedy złapano ją w sklepie na próbie kradzieży ubrań wartych 1600 dol. Tymczasem Tamerlan ożenił się z protestantką Katherine (która odmawia kontaktów z prasą), po czym

zmusił ją do przejścia na islam i też zniknęli.

Dżochar został sam. Marzył o dobrych studiach, ale to kosztuje ponad 30 tys. dol. rocznie. „To bez sensu”, mówił kumplom. Szukał, aż znalazł studia w North Dartmouth, tańsze o jedną trzecią. „Najbardziej dołujący kampus na świecie”, ćwierkał smętnie na Twitterze. W przerwach w nauce wracał do domu, ale to już nie był dom.

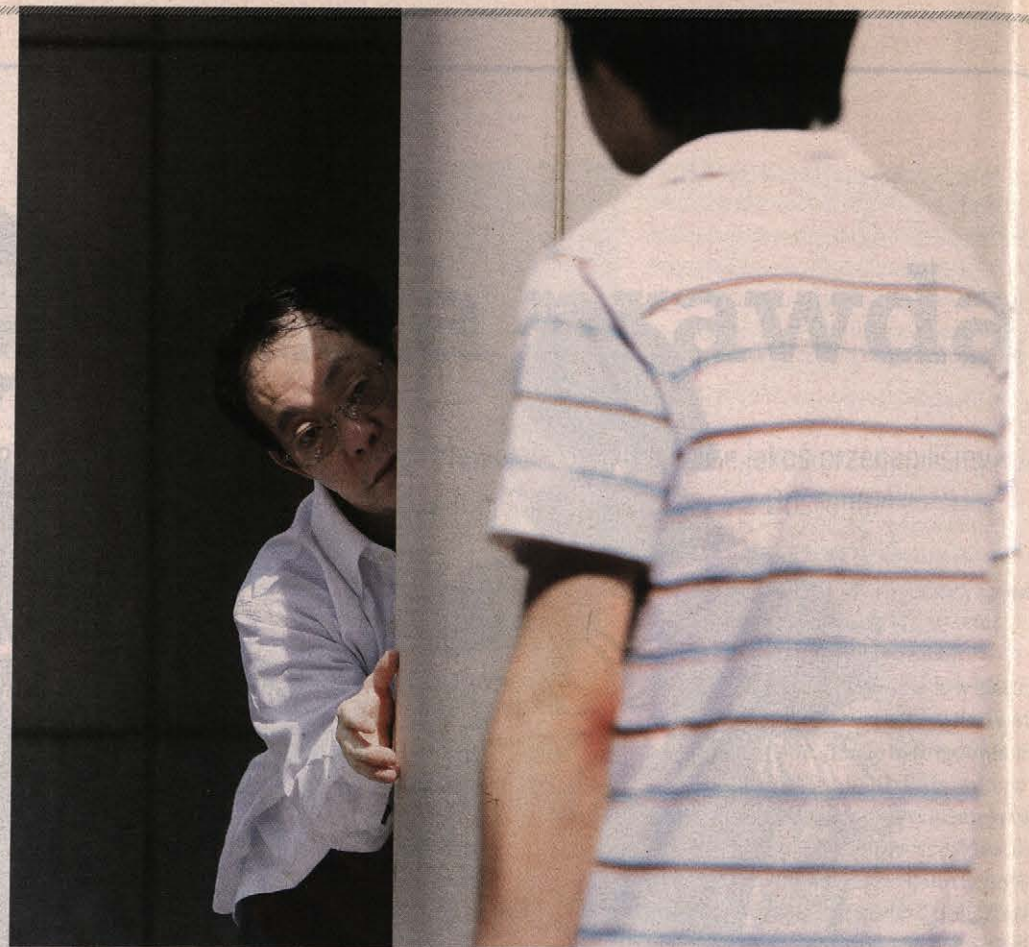
O ostatnich dwóch latach przed zamachem wiadomo niewiele. Wrzucał na Twitter złote myśli, typu „Znajdź miejsce i wymyśl plan na przyszłość”. Na studiach przepadł. Nawet w North Dartmouth nie dał sobie rady, ze studiów inżynierskich przeniósł się na biologię.

Był winny szkole 20 tys. dol. Zawalił prawie wszystkie zajęcia. Will po raz ostatni widział go w marcu, w czarnej beemce kumpla z dowcipną blachą, na której było napisane „Terrorysta”.

Dopadła go chroniczna bezsenność. Chciał odwiedzić ojca, za którym tęsknił, ale wciąż nie miał paszportu i nie mógł pojechać do Rosji. Zaczął się miotać, a z aluzji na Twitterze można przypuszczać, że on także poszedł w ślady matki, tonąc w internetowych faktoidach na temat zamachu na WTC. W grudniu 2012 r. kumple widzieli go, kiedy wpadł na świąteczne ferie do domu. Był już wtedy pod silnym wpływem brata, który nakłaniał go do modlitw. I próbował zapuścić brodę, co wyglądało „dość humorystycznie”.

A co działo się później, nie wie nikt.

I tym bardziej nie wiadomo, o co Amerykanie przyczepili się do „Rolling Stone’a”. Skoro kochają gangsterów i psychopatów, to czemu nie mieliby choćby powspółczuć samotnemu dzieciakowi, który został popchnięty do zbrodni przez zdewociałą matkę i brata-frustrata? Może rozjuszyły ich spiskowe wątki związane z 11 września, które sami przecież tak skwapliwie produkują w Internecie? A może wściekli się po prostu dlatego, że reportaż doszczętnie rujnuje czarno-biały obraz dramatu w Bostonie, z którym było im tak tragicznie smutno, a zarazem wygodnie i łatwo. 



NORBERTO HASHIMOTO/AGF/REUTERS



PATRYK CHILEWICZ, ZDJĘCIA ŁUKA ŁUKASIAK

Gonitwa z czasem

Rewolucyjna architektura, wódeczka sączona między gonitwami, roznamietniona socjeta i szalone emocje na finiszu? Tak na **Służewcu** było kiedyś, ale dziś **zapomniany hipodrom ginie** w natłoku innych miejskich atrakcji.

Kiedy otwierano Tor Wyścigów Konnych na Służewcu, budził dumę, podziw i radość. Naród był zachwycony modernistyczną zabudową, nawiązującą do epoki transatlantyków, i rozmachem obiektu, który nie miał sobie równych na Starym Kontynencie. Tutaj zblazowane arystokratki rzuciły mgliste spojrzenia na wyelegantowanych modniśców, oficerowie dziarsko podkręcali wąsa, a niejeden Dyzma usiłował się zakraść do towarzystwa. I może by to uczynił, ale zabrakło czasu: hipodrom otwarto 3 czerwca 1939 r., więc do wybuchu wojny rozegrano tutaj zaledwie kilkanaście gonitw.

Podczas okupacji armia niemiecka urządziła w budynkach magazyny. Większość czempionów wywieziono w głąb Rzeszy, jednak dzięki oddaleniu od centrum obiekt przetrwał. W 1946 r. Wyścigi odżyły w pełnej krasie: władze PRL-u nie szczędziły dotacji, dzięki czemu tor stał się ekskluzywną zabawką dla części aparatezyków, a zwykli goście nie żalowali pieniędzy na zakłady czy alkohol, który lał się strumieniami na trybunach. Czerwono-złota era skończyła się po transformacji ustrojowej. Po wielu perypetiach tor trafił w ręce Totalizatora Sportowego, który próbuje wskrzesić tradycję weekendowych wycieczek na Służewiec.

Piwo w plastikowych kubkach

Dziś jest spokojniej niż pół wieku temu. Na trybunie dominuje starsze pokolenie, tylko czasem spotyka się młodych mężczyzn w muszce i z whiskey czy wytatuowane dziewczyny z kolorowymi włosami. – Tutaj ekipa nie zmienia się od wielu lat. Młodych prawie nie ma, a ci panowie, co przeżywają najbardziej, niestety już się wykruszają – komentuje pani Jadwiga, kasjerka, która na Wyścigach pracuje już od kilkudziesięciu lat. Gdy proszę ją o rozmowę, krzyczy przez szybkę w kasie, żebym zaczął do rozpoczęcia gonitwy, bo teraz musi przyjmować zakłady.

Ze starymi bywalcami jest po imieniu, niektórzy wielokrotnie splukali

się na jej oczach do ostatniego grosza. – Kiedyś były tutaj takie tłumy, że nie można było się przecisnąć. Ludzie godzinami mogli stać w kolejkach, niektórzy nawet żyli z wyścigów. Dziś to już nie to samo, nie ma nowych pasjonatów – mówi pani Jadwiga. Zarówno ona, jak i inne osoby pamiętające świetność Wyścigów Konnych przypominają o legendarnej Trybunie II, gdzie biło serce całych torów. To właśnie tutaj piło się najwięcej, najgłośniej krzyczało i najwięcej traciło.

Kiedy popularność Wyścigów zaczęła maleć, Trybunę II zamknięto. Dziś Przemysław Stasz, rzecznik prasowy Toru Służewiec, deklaruje, że jest chęć odnowy Trybuny, bo zaniedbana i opuszczona bardziej straszy, niż zachwyca.

Bomba w górę!

„Bomba w górę, proszę państwa, bomba w górę! Tysiąc gardel wkoło krzyczy zgodnym chórem”, śpiewał kiedyś Wojciech Młynarski. Bomba, czyli charakterystyczna czerwona kula z białym paskiem, która wznosząc się na szczyt

masztu, otwiera następną gonitwę, jest tu sakralnym punktem, w który wpadają się wszyscy. Potem oczy publiki zwrócone są na tor albo na jeden z telebimów, na których pokazywany jest wyścig.

Mieszanka pięknych zwierząt, zaangażowanych ludzi i emocji sprawia, że wszyscy szybko koncentrują się na grze. Rozmaitość zakładów i systemów gry sprawia, że trudno jest złapać zasady, a na pomoc starych wyjadaczy trzeba uważać. Tutaj każdy gra na siebie, ma swoje typy i nie dzieli się wiedzą, bo wiedza to zakład, a zakład to pieniądź. Dlatego trzeba się strzec przed rozmaitymi „napustami” (czyli fałszywymi informacjami o faworytach), a pomimo miłej atmosfery powietrze jest naelektryzowane od rywalizacji.

Podobnie w pomieszczeniu, w którym przygotowują się dżokeje. Atmosfera tylko pozornie jest luźna, gdy jeźdźcy wymieniają uwagi o poprzednich gonitwach. Wraz ze zbliżającym się startem zdenerwowanie narasta, aż pod koniec każdy z dżokejów w ciszy





Jak w każdym sporcie, tak też w jeździectwie emocje w szatni bywają większe niż w ogniu walki na torze (powyżej). Z prawej prezentacja koni przed gonitwą, podczas której hazardziści wybierają swoich faworytów.



przebiega się przy swoim boksie, szukając maksymalnej koncentracji.

„o całe moje życie”

Błażej Giedyka ma 18 lat, lecz to już jego trzeci sezon na torze. – Przejąłem pasję po dziadku i ojcu, którzy byli stałymi bywalcami na Służewcu – tłumaczy. Ma to we krwi: jego dziadek był dżokejem, a ojciec trenerem jeździectwa.

Oczy Błażeja błyszczą, gdy zaczyna mówić o koniach. Z sezonu na sezon jest coraz lepszy, dzięki 10. wygranej gonitwie awansował i obecnie ma tytuł starszego ucznia. – Do dżokeja mi jeszcze daleko, musiałbym wygrać co najmniej 100 gonitw – mówi. Drabina awansów w tym zawodzie jest wysoka: uczeń, starszy

uczeń, praktykant, kandydat dżokejski i dopiero wtedy dżokej, ale Błażej jest dobrej myśli. Trud codziennego treningu, doglądania koni i jazd przekłada się na wyniki, a jeździec od każdej wygranej bierze 5 proc. z puli nagrody. Zwiększając swoje doświadczenie, awansując na kolejny szczebel i poprawiając statystyki, zwiększa pulę nagród, co oznacza udział w coraz bardziej prestiżowych gonitwach.

Wszystko jednak okupione jest ciężką pracą. Poza czasem spędzonym na jeździe chłopak musi przechodzić specjalne ćwiczenia służące szybkiej redukcji masy ciała. – Często wiąże się to z odwodnieniem organizmu, trzeba uważać – tłumaczy. Przed każdymi zawodami siada na specjalnej wadze,

Kasjerka Jadwiga opowiada: „Kiedyś tu były takie tłumy, że nie dało się przecisnąć. Ludzie godzinami stali w kolejkach”.

która decyduje o tym, czy może dojechać konia. Jeźdźcy dbają o figurę, choć przecież większość z nich to niscy, szczupli ludzie, którzy z natury są relatywnie niewielkim obciążeniem dla zwierzęcia.

Czy Błażej wyobraża sobie egzystencję bez wyścigów? – Gonitwy to całe moje życie – odpowiada. – Tym zarabiam na siebie i to chyba jedyna rzecz, którą naprawdę potrafię robić.

Nuty pana Tomasza

Znalezienie rozmówcy na Wyścigach to trudna sprawa. Wszyscy są zajęci zakładami, spekulacjami, piciem piwa i jedzeniem golonki oraz obserwowaniem gonitw. Świat cały znika, a wśród starszych panów (grupa do-



minująca) można odnaleźć zarówno tych z wpiętym znaczkiem Radia Maryja, jak i czytelników „Nie” Jerzego Urbana. Hazard łączy wszystkich, tworząc poczucie wspólnoty nawet wśród ludzi o skrajnie odmiennych poglądach.

Jednym z takich bywalców, którzy niecierpliwie rozglądają się za swoim faworytem, jest pan Tomasz. Pierwszy raz na Wyścigi dotarł w 1953 r., gdy miał niespełna 17 lat. W tamtych czasach zainteresowanie torem było tak ogromne, że z placu Defilad na Służewie kursował specjalny autobus. Wyścigi od początku wzbudziły entuzjazm pana Tomasza, lecz na dobre zaczął tu bywać pod koniec lat 70. – Dzieci już podrosły, mogłem się zająć własnymi pasjami – tłumaczy, obracając w dłoniach

Wyścigi czy wesołe miasteczko? Po prostu znak czasu. Dziś trudno wyobrazić sobie weekendową przystań dla całych rodzin bez przestrzeni obmyślonej specjalnie dla dzieci.

„nuty”, jak nazywa się w żargonie program gonitw.

Oczywiście pan Tomasz nie jest nałogowym graczem. – Hazard mi się podoba, lecz staram się myśleć zdroworozsądkowo. Dziś jestem emerytem, więc nie mam specjalnie z czego grać. Czasami postawię kilka złotych, czasem uda mi się nawet coś wygrać – mówi. Wyścigi to dla niego głównie weekendowy wypoczynek na świeżym powietrzu.

Młodziutki koń pani Olkowskiej

Faktycznie, zawody mniej dziś przypominają raut, bardziej zaś piknik z wata cukrową, popcornem czy hot dogiem oraz ze specjalną strefą zabaw dla dzieci. Wszystko, by przyciągnąć chętnych, których ciągle ubywa. – Mam nadzieję, że Wyścigi przetrwają, to przecież nasza praca – wyczuwam w jej głosie obawę,

żyją – mówi Beata Olkowska, właścicielka koni.

Pani Beata wychowała się na Służewcu, tutaj poznała męża (od pięciu lat trenera), tu mieszka i pracuje. Sama jeździ, lecz ostatnio już tylko dla przyjemności. – Widział pan? Tak niewiele brakowało, drugi był – komentuje ostatnią gonitwę pani Beata. – Ale to młodziutka klacz, zaledwie dwa lata ma – usprawiedliwia przegraną.

Sama nie gra, lecz z gier innych się utrzymuje. – Cały czas dopinguję, zresztą razem z rodziną. Nie potrafię się powstrzymać przed głośnymi emocjami – mówi. Co racja, to racja, panią Olkowską słychać na całym pierwszym piętrze budynku. – Mam nadzieję, że Wyścigi przetrwają, to przecież nasza praca – wyczuwam w jej głosie obawę,



Jak grać?

NA JEDNĄ GONITWĘ:

- **Zakład zwyczajny** – obstawia się konia, który zajmie pierwsze miejsce
- **Czwórka** – wskazuje się konie, które dobiegną do mety w określonej kolejności
- **Porządek** – nominuje się konie, które jako dwa pierwsze dobiegną do mety. Kolejność nie ma znaczenia.

NA WIELE GONITW:

- **Tripla** – wskazuje się konie, które będą miały pierwsze miejsce w trzech kolejnych gonitwach
- **Kwinta** – obstawia się konie, które wygrają w kolejnych pięciu wyścigach

która za chwilę zmieni się w pełne napięcia oczekiwanie na kolejną gonitwę.

Wytarty sztandar luksusu

Do leciutko dekadentycznej atmosfery, jaka panuje na Wyścigach, doskonale pasują widywane tu osobistości: Joanna Chmielewska, Wojciech Młynarski i Daniel Olbrychski (z małżonką). W loży honorowej na drugim piętrze bywa szef Parlamentarnego Zespołu ds. Wyścigów Konnych i Jeździectwa poseł Michał Szczerba (PO), delektując się w miłym spokoju winem i przekąskami, a także urzędnicy państwowi (np. szef Kancelarii Prezydenta minister Jacek Michałowski) czy wreszcie reprezentanci świata biznesu. W tym sezonie patronat nad wybranymi gonitwami objęła pani prezydentowa Komorowska oraz

Błażej Giedyka ma zaledwie 18 lat, a zalicza już trzeci sezon na torze. Nim awansuje do stopnia dżokeja, musi wygrać co najmniej sto gonitw.

firma Emporio Armani, znana z dbałości o styl i kojarzona z luksusem.

Ten „luksus” to klucz do zrozumienia dzisiejszych Wyścigów i zarazem powód ich stopniowego regresu. Dziś nie elitarność decyduje o przetrwaniu miejsc rozrywki, lecz demokratyczny dostęp dla mas, a w tym sensie są one skazane na przegraną z cyberprzestrzenią. Pojęcia „stylu” i „klasy”, kiedyś utrwalone tradycją i pochodzeniem, są teraz migotliwe, kruche i nietrwałe, zwłaszcza wśród kapryśnych bogaczy. Jeżeli więc Wyścigi przeżyją rewolucję kulturową, to wcale nie z uwagi na snobizm czy hazard, tylko dzięki zapachowi świeżo skoszonej trawy, grze końskich mięśni i subtelnej muzyce oklasków – nie wirtualnych, lecz prawdziwych. 



ANITA ZUCHORA

Tęsknota za Miłością

Dzieje zespołów muzycznych to historie wielkich i często zawiedzionych miłości. Tak było i tym razem. W filmie **Filipa Dzierżawskiego „Miłość”** o trójmiejskim zespole yassowym z lat 90. znalazło się wszystko: fascynacja, spełnienie, rozstania i nieudana próba powrotu.



Byliśmy skurwysynami, którzy nie mają pytań – mówi Tymon Tymański w filmie, który miał się nazywać „Miłość – toksyczna równowaga”. Tak sam zdefiniował naturę relacji w zespole w przeszłości, ale to określenie równie trafnie oddaje pełną ukrytą napięcie sytuację między nimi dzisiaj. Przez lata, kiedy rzadko mieli ze sobą coś wspólnego, pewnie nie myśleli o sobie zbyt wiele. Kiedy się spotkali, demony intensywnego związku z przeszłości natychmiast wydostały się na zewnątrz. I dlatego film Filipa Dzierżawskiego to iskrząca emocjami, fascynująca opowieść o ludzkiej naturze.

Kiedy Tymański, Trzaska, Możdżer i Sikała ze Staruszkiewiczem na bębnach grają razem podczas próby po latach, już na pierwszy rzut oka widać, że coś ich ze sobą wiąże. To wspomnienia. Pamięć o nieżyjącym Olterze. Radości, sukcesy, żale, rozczarowania. Ale jest jasne, że siłą, która popchnęła ich do ponownego spotkania, była tęsknota za młodością, nieokiełznaną kreatywnością, swobodą. I ciekawość, czy można poczuć się znowu jak wtedy.

Scena ukazująca wspólne granie daje iluzję, że tak. Uśmiechają się, emocjonują, dyskutują. Planują koncerty, może nagranie płyty. Ale szybko się okazuje, że to jednak nie to samo. Trzaska mówi w filmie: – Słyszałem tę muzykę i w niej nie było chemii. Chęć Możdżera, żeby „artystycznie rzygnąć”, gotowość Sikały czy wieczna, nieskończona energia Tymańskiego nie wystarczy, żeby cofnąć czas. Potwierdza to Tymański, mówiąc żartem: – Jesteśmy jak oddalone od siebie wyspy.

Coś w tym jest. Dla Dzierżawskiego najważniejsze jest pokazanie w filmie relacji Tymona Tymańskiego i Mikołaja Trzaski. Ich przyjaźń, której nie boją się nazywać męską miłością, to niemal uzależnienie. Łączy ich wspólne dojrzewanie muzyczne, 13 lat grania, dziesiątki doświadczeń. Ale im więcej pretensji – wypowiedzianych lub prze-milczanych – tym bardziej się wydaje,

że to rodzaj związku fatalnego, którego nie sposób całkowicie zerwać, ale który nie może trwać.

Dzierżawski przygląda się też uważnie pozostałym członkom grupy. Dla każdego grania w Miłości było katalizatorem zmian. Leszek Możdżer, który zrobił największą karierę, o dawnym zespole mówi: – Było tam dużo niebezpiecznej wolności. A potem z goryczą zastanawia się nad własnym sukcesem. Saksofonista Maciej Sikała, najmniej złączony z zespołem, właśnie w czasie grania z Miłością podjął z sukcesem walkę z alkoholizmem. Kiedyś zachowawczy, dzisiaj uczy studentów akademii muzycznych, że w jazzie potrzebna jest odwaga. I Jacek Olter, który w filmie staje się już bardziej figurą symboliczną – uosabia stratę i bolesne zderzenie z brutalną rzeczywistością.

Pomysł na scenariusz dokumentu powstał z idei reaktywacji – w 2009 r. Miłość miała zagrać na OFF Festivalu w Mysłowicach. Wiadomo było, że to nie będzie ten sam zespół. Ale pomysł, żeby po latach stanąć razem na scenie, okazał się niepokojący i kuszący zarazem. Napięcie z tym związane stało się dla reżysera filmu punktem wyjścia: – Nie do końca wiedzieliśmy, co się wydarzy. Ingerencją było jedynie zorganizowanie trzech dni prób. Tymon zaprosił wszystkich na moją prośbę. Potrzebowałem, żeby razem zagrali. W końcu to miał być film muzyczny. Potem wszystko już się działo. Tak się potoczyła ta historia – wspomina Filip Dzierżawski. A Tymański dodaje: – To film trochę o duchach przeszłości, które chcą, żeby coś zostało wypowiedziane.

Miłość czy zwykłe pierdolenie

Ta historia zaczęła się jednak od spotkania. Jak zawsze trochę przypadkowego, ale odmieniającego życie. Mikołaj, student gdańskiej ASP, amatorsko pogrywający na saksofonie, i Ryszard Tymański, znany jako Tymon, student filologii angielskiej na Uniwersytecie Gdańskim, członek Totartu i grupy Sni Sredstvom

za Ukłanianie. Pamiętam, że pierwszy raz spotkałam go właśnie na korytarzu uniwerku, w nieśmiertelnym swetrze w biało-zielone pasy, z kontrabasem na plecach. Został tam niedługo. Pewnego dnia podczas zajęć wstał, wyszedł i nigdy nie wrócił. Na wieść, że syn przerwał studia, jego ojciec westchnął: „Trudno. Będziesz półinteligentem”. Podobną decyzję podjął Mikołaj i pożegnał się ze studiami artystycznymi.

Ale obu nie brakuje błyskotliwości, zainteresowania światem, muzyką, filozofią, duchowością. Wynajmują mieszkanie w trójmiejskiej dzielnicy oddalonej od centrum. Słuchają jazzu z lat 60.: Coltraine’a, Sheppa, Monka. Tymon często przypomina, że ważny był dla nich także Krzysztof Komeda. Impre-

„Miłość” to opowieść o facetach, którzy nie potrafią definitywnie się rozstać, ale też nie umieją się zejść, by znów wspólnie zagrać.

zują, dyskutują, grają. Ich przyjaźń jest totalna, wariacka, choć niepozabawiona elementu rywalizacji. Wszystko robią razem.

Zakładają zespół. Biorąc pod uwagę ich anarchiczny stosunek do słów i humorystyczny do świata, mógłby się nazywać Dupa albo Cycki. Ale nazywają się Miłość. Trochę z powodu Coltraine’a i „Love Supreme”, trochę z powodu fascynacji duchowością Wschodu, a trochę właśnie dlatego, że chodzi o miłość. Potem wszystko ma prędkość światła, a przynajmniej dzieje się z taką energią. Przez jakiś czas w zespole grali Merta, Szmit, Mazzoll, Gwińciński. W końcu trafia do niego nieco młodszy od nich chłopak, który po przyjeździe z Piły spędził chwilę w gdańskiej szkole muzycznej. Zrezygnował, kiedy jeden z nauczycieli poprosił go o wskazówki dotyczące grania. Jacek Olter. To on

Miłość w czasach popkultury, czyli yass kipiący energią. Na zdjęciu od lewej: Jacek Olter, Leszek Możdżer, Mikołaj Trzaska i Tymon Tymański.

wypatrzył kolejnego kandydata, chudego okularnika z Akademii Muzycznej, pianistę o słuchu absolutnym – Leszka Możdżera.

Powstaje, jak ją nazywa Tymon, toksyczna równowaga. Kompozycje rozegrane na jego energię, akademicką wiztruozerię Możdżera, fantazję Oltera i dzikość Trzaski robią piorunujące wrażenie na tych, którzy przychodzą ich słuchać. Bo grają ciągle, na sopockiej ulicy, w klubie Żak, w którym zespół odbywał też próby, i w wielu innych miejscach. Jedną z prób usłyszysz saksofonista Maciek Sikała. „To nie jest miłość, to zwykłe pierdolenie” – skomentuje ich muzykę, jeszcze nie wiedząc, że niedługo stanie się elementem tej układanki. Ich koncerty to zawsze wydarzenia towarzyskie i wspólnotowe doświadczenia. Dzieje się na nich coś, czego nigdy nie udało się oddać na płytach.

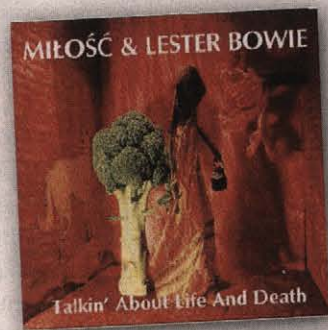
Pierwsza z nich zostaje nagrana na poły nielegalnie. Zespół otrzymuje drugą nagrodę na festiwalu Jazz Juniors w Krakowie (1992). Indywidualnie zostają wyróżnieni Leszek Możdżer i Jacek Olter. Nagrodą jest sesja nagraniowa realizowana w Szczecinie. Dotarli na nią białym maluchem taty Mikołaja. Z bębni na dachu. Sesję udaje się przedłużyć. Nagranie uznają za własne i zanoszą do Marka Winiańskiego, właściciela krakowskiej wytwórni płytowej Gowi. Pierwsza płyta zespołu Miłość zatytułowana „Miłość” z owocami na okładce pojawia się w jeszcze w 1992 r. Swoją muzykę nazywają yassem. Tymon tak tłumaczył różnicę między jazzem a yassem: – Chcieliśmy zaznaczyć naszą odrębność na rynku, tak by nie łączono nas z polskimi wykonawcami rodem z Akwarium. Tam przy standardach granych kozim tonem saksofonu je się kielbasę, w tle pobrzękują sztucce. Yass to podkreślenie powrotu do tradycji.

W tym czasie centrum towarzyskim staje się sopocki strych Anki Lasockiej przy Monte Cassino. Piękne studio z ogromnymi oknami, tarasem i widokiem na morze. Mieszkaliśmy tam z Jackiem Olterem, a potem wspólnie

z Anką i Tymonem. Jak zawsze w komunie było trochę napięć, ale też mnóstwo niezwykłych chwil. Kiedy robiło się za głośno, sąsiad z dołu stawiał się agresywny. Wszyscy żyliśmy z dnia na dzień, nie wiedząc, czy jest zwykły dzień tygodnia czy niedziela. Zresztą przy Monte Cassino to nie było trudne. Nocami po koncertach spacerowaliśmy do baru Delfin na rybę. A jak nie było kasy, jedliśmy zupki chińskie. Czasem z Anką wybierałyśmy się z chłopakami na koncert poza Trójmiasto. W Bydgoszczy, gdzie w autobusie miejskim Tymon podpalił swojego bąka, organizator koncertu otaksował nas wzrokiem: – Aaa, panienki orbitujące.

Miłość gra i ćwiczy w domu rodziców Leszka, gdzie stoi fortepian, Tymon pisze kolejne kompozycje. Ale toksyczna równowaga zaczyna się chwiać. Leszek chce, żeby zespół szedł szybciej do przodu. Nie rozumie i nie wytrzymuje intuicyjnego grania Mikołaja, który nie jest przecież wykształconym muzykiem. Trzaska jest coraz bardziej sfrustrowany presją. Dzisiaj Możdżer w filmie przyznaje, że zamiast słyszeć w jego grze wyraz braku ograniczeń („W tym był potężny przekaz, ale ja go nie słyszałem”), widział tylko nieświadomość i błędy. Tymon ulega. Uznaje, że Mikołaj osłabia zespół. Powstaje pierwsze pęknięcie. W filmie nawet przypomnienie sobie tego momentu jest dla Trzaski tak bolesne, że nie jest w stanie o nim mówić. Choć to także on dokonał wyboru – nie chciał iść w kierunku, w którym podążała Miłość.

Do zespołu dołącza rekomendowany przez Leszka Maciek Sikała. Wnieś swój amerykański, ale uporządkowany styl. Choć Sikała pozostanie w lekkim dystansie, Miłość też go odmieni: ośmieli, otworzy. Obecność sprawnego, lecz



Zdobyc dziś ich płyty (od debiutanckiej „Miłości” po „Talkin' About Love And Death”) nie jest łatwo. I choć to świetne albumy, nie oddają w pełni tego, co potrafiła wykrzesać z siebie Miłość podczas koncertów.

pozbawionego szaleństwa Sikały pozwala Miłości się rozwijać, jednak coraz bardziej w stronę jazzu. Miejsce Mikołaja nigdy nie zostało wypełnione. Propozycja zagrania na Jazz Jamboree staje się okazją, żeby tę decyzję zrewidować. Inicjatorem rozmowy o powrocie Mikołaja do zespołu jest Jacek, dla którego jego brak jest dotkliwy i nie do końca zrozumiały.

Mikołaj wraca, zespół z dwoma saksofonami brzmi bardzo dobrze, a koncert na Jazz Jamboree, gdzie Miłość występuje między Ornettem Colemanem i Donem Cherryem, staje się sukcesem. Miłość trafia na szczyty dorocznego rankingu „Jazz Forum”. Nagrywa kolejne płyty. Stan równowagi i rozwoju trwa do 1996 r., kiedy Jacek Olter zaczyna chorować. Zaczyna się słaba kondycja Jacka. Ale także spotkanie z Lesterem Bowiem. Kiedy stanęli z nim na scenie (w efekcie powstały dwie płyty: „Not Two” i „Talkin' About Life and Death”), wyzwoliła się w nich potrzeba szukania własnej drogi. Każdy zaczął działać solo.

Nie ma Miłości. Jest „Miłość”

Istnienie Miłości skończyło się w chłodny, ale słoneczny dzień, 6 stycznia 2001 r. W dniu śmierci Jacka. Wieczorem tego dnia Tymon ugotował w moim domu

wielki garnek zupy. Nie pamiętam, czy ją zjedliśmy. Pamiętam, że siedzieliśmy zagubieni w świecie, który nagle okazał się inny, niż nam się zdawało. Straciliśmy przekonanie, że nie może się stać nic złego. I bez względu na podejmowane próby w zespole nie udało się już nigdy stworzyć podobnej równowagi. Kilka miesięcy po śmierci Jacka Miłość opuszcza Mikołaj. „Nie ma już tej magii. Po śmierci Oltera przestałem się dobrze czuć w zespole. Wolałbym, żeby to, co było, pozostało czyste” – mówił w 2001 r.

Film „Miłość” wzbudza silne emocje i zainteresowanie osób, które niewiele wiedzą o zespole z lat 90. I choć od ponad dekady Miłość nie istnieje, a jej płyty są właściwie niedostępne, film Dzierżawskiego dostał Złotego Łajkonika na Krakowskim Festiwalu Filmowym. – Chyba dlatego, że w Polsce powstaje mało filmów muzycznych – mówi skromnie Filip Dzierżawski. – A poza tym to bohaterowie niosą ten film. Tymon, Możdżer, Trzaska to inte-

po gongu. Ale będę powtarzał, że Mikołaj, Leszek, Maciek to są moi bracia. Kocham ich i życzę im jak najlepiej.

Trudno nie przyznać mu racji. Bo oceny kolegów wygłoszone ścisłym głosem przez Mikołaja mówią też coś o nim samym. Mikołaj nie zdecydował się komentować filmu. Uznał, że wszystko zostało w nim powiedziane i uważa sprawę za zamkniętą. W filmie mówi: – Nigdy już z tym zespołem nie zagram, bo Miłość nie istnieje. Chłopaki



resujące, silne osobowości. A że Miłość była zespołem trochę zapomnianym? To nawet lepiej. Bo w ten sposób wraca coś, co kiedyś było istotne.

Jednak „Miłość” to po prostu dobry film o ludzkich relacjach. O relacjach w zespole (w czym przypomina nieco „Some Kind of Monster” o grupie Metallica). O tym, jak ludzie nie umieją się pogodzić ze stratą. I jak starania, żeby odzyskać coś, co jest już przeszłością, są skazane na niepowodzenie. Jak Trzaska i Tymański zareagowali na film? – Oglądałem film razem z nimi. Mikołaj był zadowolony. Tymon też, chociaż potem poczuł gorzki smak tej historii – mówi Dzierżawski. Tymon: – Uznałem, że film jest udany, i bardzo mnie to ucieszyło. Choć jednocześnie poczułem się dotknięty. Trochę tak jakbym dostał cios

zrobili ze swoim życiem coś, czego ja nigdy by nie zrobił.

Dzierżawski: – Mikołaj musiał powiedzieć ostro, bo wtedy nie byłoby wyjaśnione, dlaczego postanowił jednak nie zagrać. Wiem, że to było dla niego trudne. Ale przyznał, że chciał to powiedzieć. Chciał się z tym zmierzyć jeszcze raz. No i że to było dla niego oczyszczające.

Szczególnie interesującą postacią jest w filmie Dzierżawskiego Leszek Możdżer. Jego droga od zagubionego w anarchistycznej energii chłopaka z akademii muzycznej do filozoficznie wątpliwego w sens swojej drogi wirtuoza, który odkrywa siłę błędu w muzyce, robi wrażenie głębią. – Jego wypowiedź, kiedy przyznaje rację Mikołajowi i mówi o tym, że teraz często się myli,

mnie też poruszyła. I pokazuje, jak zmieniło się jego rozumienie tej całej sytuacji. Mam nadzieję, że film mu się podoba. Na razie o tym nie rozmawialiśmy, bo z Leszkiem nie jest łatwo się skontaktować. Mi się udało, ale okazuje się, że Leszek jeszcze filmu nie widział – mówi Filip Dzierżawski. A Leszek Możdżer komentuje: – Dopiero co go dostałem. Jestem dość zapracowany, więc jeszcze nie miałem czasu. Mogę jedynie powiedzieć, że bardzo się cieszę, że powstał.

Tym, co sprawia, że film Dzierżawskiego ma takie silne działanie, są autentyczność i szczerość. Czasem bolesna, czasem na granicy obciachu. – Dzięki temu widzowie odbierają ten film osobście. Coś w nich otwiera. Każdy z nas przeżył wojnę z najbliższym przyjacielem czy miłością, która zamienia się w nienawiść. Ale nie chciałem konfrontacji, pyskówki... Chciałem, żeby czytelny był dramat, emocjonalność bohaterów. I dzięki temu ludzie nie przywiązują się do tego, że się nie udało, ale myślą o problemie. Nie oceniają, tylko znajdują własne emocje, kiedy kogoś skrzywdzili albo sami zostali skrzywdzeni. Ten psychologiczny, emocjonalny odbiór był dla mnie najważniejszy.

Reżyser przyznaje, że kręcąc swój dokument, nie chciał rozwiązywać konfliktów między członkami Miłości, ale je zrelacjonować. – Starałem się być obiektywny. Wiadomo, że to artyści, wszyscy mają wielkie ego i nie uniknie się konfliktów. Nie wiem, czy chcieliby film laurkowy, którego nikt nie chciałby oglądać. Starałem się pokazać, kim są i jakie przechodzą transformacje. Zgadając się, zdawali sobie z tego sprawę. Mam dla nich wielki szacunek. Mogli przecież coś blokować czy na coś się nie zgadzać. A ich toksyczna równowaga była potrzebna, żeby na starciu tych wszystkich elementów powstały rzeczy niesamowite. To oczywiście nie może wiecznie trwać. W końcu się wypala.

Mikołaj Trzaska (po prawej) nie zdecydował się skomentować filmu o swym dawnym zespole. Z kolei Tymon Tymański po obejrzeniu dokumentu Dzierżawskiego stwierdził, że poczuł się, jakby „dostał cios po gongu”.

Anita Zuchora, dziennikarka, od 1991 do 1999 r. była w związku z perkusistą Miłości Jackiem Olterem (1972-2001). Ich syn Teodor ma dzisiaj 17 lat.

MIKE URBANIAK

Przypadki Dada von Bzdülów

Jeden z najważniejszych, a może i **najważniejszy polski teatr tańca** skończył w tym roku 20 lat. Jego droga była kręta i fascynująca, a artystyczny bilans imponuje. Ale nie o bilanse tu chodzi, tylko o plany na przyszłość. Bo Dada nieustannie idzie do przodu.

To wręcz niewiarygodne. 20 lat? A jednak. Rzecz w Polsce nie-spotykana, żeby jakaś niezależna grupa artystyczna nie tylko tak długo przetrwała, lecz także była niezmiennie w świetnej formie. Ostrożnie szafując przymiotnikami, można bez ryzyka stwierdzić, że Dada von Bzdülów to legenda, landmark polskiego teatru tańca i – to będzie najtrafniejsze ze względu na lokalizację określenie – latarnia morska. Wielu okrętom pokazała drogę.

Dada to wiele szczęścia. Właściwe osoby we właściwym miejscu i czasie. Mnóstwo ciężkiej pracy, świadome wybory oraz rozliczne przypadki. Podobno wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie dwie dekady, było dziełem przypadku. Ale czy naprawdę ktoś w to uwierzy?

Całował biskupi pierścień

To przez przypadek Leszek Bzdyl (na fot. obok) trafił do Lotniczych Zakładów Naukowych we Wrocławiu (brzmi poważnie, ale było to po prostu technikum). Zawsze czuł się humanistą, dosłownie połykał książki historyczne, ale rodzice chcieli, żeby miał konkretny zawód. Wybrał więc kierunek o najbardziej fikuśnej nazwie i uczył się, by zostać technikiem i mechanikiem osprzętu i urządzeń pokładowych. W trakcie nauki trwała także jego nieustanna fascynacja religią. Leszek był najpierw ministrantem, potem lektorem, całował

biskupi pierścień i poważnie rozważał wstąpienie do seminarium duchownego. – Ceremonie kościelne były moim ówczesnym teatrem – wspomina dzisiaj. – Ale podczas jednej z mszy diabeł mi podszepnął: „Co za marny teatr!”. Czar Kościoła prysł. Straciłem łaskę.

Zatańczyć literaturę? Dada von Bzdülów to potrafi. Od początku istnienia grupa inspirowała się wielkimi dziełami europejskiej prozy, tłumacząc idee na ruch i gest.

Perspektywę stanu duchownego szybko zastąpiła równie posępna perspektywa pójścia w kamasze. Trzeba się było ratować studiami. Leszek rozważał filozofię, polonistykę i historię. Padło na tę ostatnią, bo przecież już kiedyś ślęczał nad książkami historycznymi. Rozpoczął studia na Uniwersytecie Wrocławskim i – mimo rozlicznych pokus – je skończył. Jego kolegą z roku był Grzegorz Schetyna, od lat gruba ryba Platformy Obywatelskiej.

Balet to nie bułka z masłem

Katarzyna Chmielewska jest z serca i duszy gdańszczanką. Z Gdańska pochodzi jej cała rodzina, ale przypadek

sprawił, że jej rodzice wyprowadzili się najpierw do Szczecina, gdzie Kasia się urodziła, a potem przenieśli się do Gryfina. Artystycznie uzdolniony ojciec – malarz i poeta – bardzo wcześnie zauważył talent córki, więc wysłał ją do Szkoły Baletowej w Gdańsku. – To było szybkie i radykalne odcięcie pępownicy – opowiada Kasia. – Początek był trudny, bo miałam dziewięć lat i mieszkalam w internacie. Najgorsze były weekendy, kiedy większość dzieci jechała do domu, a ja nie. Wtedy czym prędzej uciekałam do dziadków w Gdańsku.

Szkoła baletowa to, jak powszechnie wiadomo, nie jest bułka z masłem. Panuje w niej określony rygor i sztywne zasady, ale jakoś poszło. Kasia przetrwała trudne chwile i tuż przed maturą poszła z koleżanką (także tancerką) do Opery Bałtyckiej. Tam pracował Wojciech Misiuro – tancerz, choreograf, reżyser i mim, który pod koniec lat 80. założył na Pomorzu Teatr Ekspresji.

– Weszliśmy do opery, a tam na dużej scenie zajęcia z ekspresji ruchu prowadził Leszek. Wyglądał jak dzikus, miał długie włosy, wspaniałe się ruszał. Szybko dostałam rumieńców. Potem poszliśmy do SPATiF-u w Sopocie i tak się zaczęło – śmieje się Kasia.

Ich związek, zupełnie prywatny, trwał osiem lat. Zawodowy trwa 20, do dzisiaj.



Bzdyl przybywa do Trójmiasta

Jeszcze na studiach, oczywiście przez przypadek, Leszek Bzdyl zdaje egzaminy do Wrocławskiego Teatru Pantomimy prowadzonego przez legendarnego Henryka Tomaszewskiego. – Kolega mim tam zdawał i mówi: „Chodź, spróbujesz”. Ja, że mnie to nie interesuje, a on na to, że przynajmniej poznam mistrza. Poznałem, zdałem i zostałem.

Tomaszewski się zgodził, by Leszek, będąc w jego teatrze, kontynuował studia historyczne, co było nie bez znaczenia, bo rozwój intelektualny był dla niego zawsze tak samo ważny jak fizyczny. W międzyczasie Bzdyl zdał też egzaminy do PWST we Wrocławiu, ale nie rozpoczął studiów. Panująca na uczelni atmosfera go odrzucała.

– I tak to trwało przez trzy lata. Najpierw zajęcia na uczelni, potem teatr: taniec, śpiew, ruch. Bardzo dużo pracy. Czułem jednak, i Tomaszewski też, że nie jestem oddany do końca, że cały czas chcę coś po swojemu. Zwolnił mnie więc bardzo ładnie i puścił w świat, bym robił swoje.

Bzdyl gra trochę na ulicy i – a jakże! – przypadkiem spotyka Wojciecha Misiura, który był akurat we Wrocławiu i zaproponował mu, żeby przyjechał do Gdańska i dołączył jako aktor i nauczyciel do jego Teatru Ekspresji. Tak się stało. Bzdyl przybywa do Trójmiasta.

Dada to wolność

W Teatrze Ekspresji spędził dwa lata. O rok za długo. Znów czuł, że ogranicza go etat, instytucja, regulamin. Zaczynał myśleć, że może najlepszym rozwiązaniem jest uczenie.

I przypadkowo spotkał Elwirę Rewińską, działaczkę kulturalną, pasjonatkę filmu, która prowadziła zajęcia w Pałacu Młodzieży w Gdańsku. Rewińska zaproponowała Bzdylowi, by poprowadził zajęcia dla dzieciaków. Zgodził się od razu, choć nie miał bladego pojęcia, jak z młodzieżą pracować. Właśnie wtedy do Pałacu Młodzieży przyszła 13-letnia wówczas Anna Steller, dzisiaj znakomita tancerka i choreografka, która współreżyserowała najnowszy, jubileuszowy spektakl Dada „Zagraj to,

czyli 17 tańców o czymś”, w którym także występuje, obok Katarzyny Chmielewskiej i Leszka Bzdyla.

– Poszłam do Pałacu Młodzieży jako uduchowiona nastolatka, która chłopakami jeszcze za bardzo się nie interesowała, w szkole nie miała z kim gadać, w domu nie chciała siedzieć. Powiedziano mi na portierni, że bym się zapisała na kółko teatralne, które prowadzi „fajny pan z długimi włosami”. Weszłam do sali i zostałam. To był naprawdę wspaniały okres, który zaważył na moim życiu – opowiada Steller.

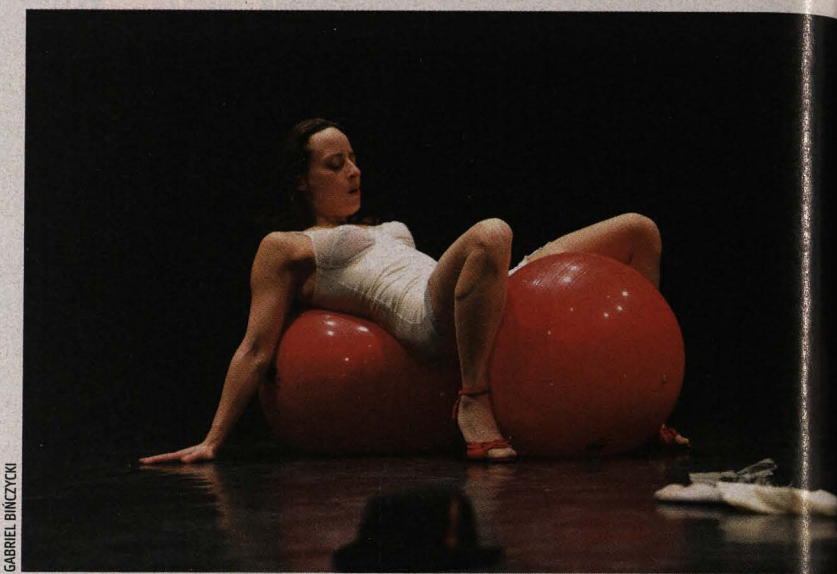
Z czasem uruchomiono kolejną grupę dla 18–19-latków, która po kilku latach połączyła się z młodszymi, a w zasadzie już starszymi przecieź tancerzami i tak się wykrystalizowała grupa Teatru Dada von Bzdülów. Grupa, należy dodać, do której nieustannie przychodzili i z której odchodzili tancerze. Takie było od początku założenie. Nic na siłę.

– To jedna z najważniejszych cech Dada – mówi Joanna Szymajda, wicedyrektorka Instytutu Muzyki i Tańca. – To oni wprowadzili otwarty model współpracy kolektywnej. Nigdy nie byli zamkniętą grupą, która obraża się na osoby decydujące się odejść. Każdy musi przecieź kroczyć własną ścieżką rozwoju i oni to rozumieli. Dzięki temu z Dada wyszło wielu samodzielnych dzisiaj choreografów, jak choćby Rafał Dziemidok, Radek Hewelt czy Filip Szatarski. Oczywiście liderami byli zawsze Kasia Chmielewska i Leszek Bzdyl, ale nie na zasadzie guru, tylko jako zapraszający do wspólnych poszukiwań. Dada to przestrzeń absolutnej wolności.

Ruch ciała i głowy

Jednym z pierwszych widzów oglądających debiutancki spektakl Dada był Maciej Nowak, dziś dyrektor Instytutu Teatralnego w Warszawie. – To, co wówczas zobaczyłem, było niezwykle. A wynikało z tego, że Leszek jest nie tylko wybitnym tancerzem i choreografem, lecz także intelektualistą, który zawsze napięcie między elementami intelektualnymi i cielesnymi. Teatr Dada von

„Faktor T”, spektakl z 2008 r., inspirowany jest twórczością Stefana Themersona. Prace nad nim rozpoczęły się po sukcesie Dady w Nowym Jorku. Na zdjęciu Bethany Formica, filadelfijska tancerka i choreografka.



GABRIEL BINCZYK

W „Uff...!!!” (2000) oglądamy historię toksycznego związku miłosnego. Leszek Bzdyl (na fotografii) wraz z zespołem opowiedział o emocjonalnej walce, w której partnerzy skazani są na przegraną.

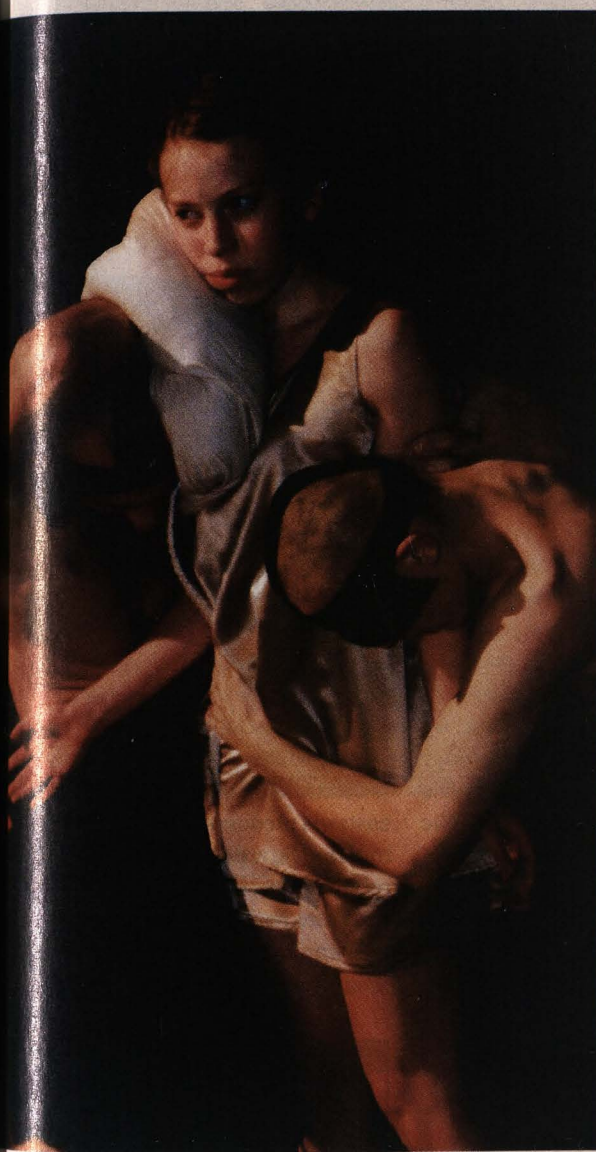


DOROTA WALENTYNOWICZ

Bzdülów nieustannie czerpał z tekstów wielkiej europejskiej literatury i to ich od początku wyróżniało.

Potwierdza to Joanna Szymajda: – Spektakle Dada to zawsze było dużo literatury. Ale na „dada styl” – bo myślę, że taki istnieje – składają się także wyjście od pantomimy podyktowane życiorysem Leszka oraz współpraca na żywo z muzykami, którzy nie są tylko służebnym tłem, lecz pełnoprawnymi performerami, bo w Dada wszyscy są włączani w proces twórczy. Nie można też zapomnieć o charakterystycznej dla nich improwizacji i czymś, co nazywała bym po prostu teatralizacją.

– Pierwsze moje skojarzenie z Dada to oczywiście literatura – błyskawicznie odpowiada Izabela Szymańska, pisząca o teatrze i tańcu dziennikarka „Gazety Wyborczej”. Bardzo często odwołują się do niej w spektaklach. „Kilka błyskotliwych spostrzeżeń...” to inspiracje Witoldem Gombrowiczem, „Faktor T” – Stefanem Themersonem, „Czerwona trawa” – twórczością Borisa Viana. Nawet kiedy wystawiali „Le Sacre”, czyli przełomowe dla XX wieku „Święto wiosny”, nie skupiali się na muzyce Strawińskiego ani choreografii Niżyńskiego, tylko na korespondencji między kompozytorem a autorem libretta



JACEK BALK

i oprawy plastycznej Mikołajem Roerichem, w której artyści opisywali pierwotną wersję baletu. Oczywiście w spektaklach Dada nie zobaczymy ruchowej interpretacji fabuły, przygód bohaterów książek, lecz raczej idee z lektur, które najmocniej wpłynęły na członków zespołu.

Nie jesteśmy offem

– Naszą działalność można podzielić na pierwsze trzy lata wzajemnej edukacji – mówi Leszek Bzdyl. – Potem kolejne trzy lata wchodzenia na rynek zawodowców, branie udziału w rozlicznych festiwalach. W 1999 r. nadszedł kryzys

„Pawana na cześć miłości” (1998). Radek Hewelt, Anna Nowek i Wojciech Kolesiński opowiadają o tym, jak nieustannie dążymy do bliskości i jak z każdą próbą stajemy się bardziej osobni i samotni.

formuły teatru – parę osób odeszło, parę trzeba było kopnąć, żeby same poszły dalej. I w roku 2000 ruszyliśmy w zmienionej formule. Wtedy zniknęła edukacja zespołowa, a zaczął się czysty teatr robiony w najrozmaitszych konfiguracjach.

Koniec lat 90. to czas, kiedy Katarzyna Chmielewska wyjeżdża do słynnej szkoły P.A.R.T.S. (The Performing Arts Research and Training Studios) w Brukseli, gdzie ma styczność z wybitnymi choreografami, nowymi stylami i technikami tanecznymi. Swoją wiedzę i doświadczenie przywoziła do Polski, co nie pozostało bez wpływu na teatr.

W połowie lat 90. Dada przytuła się po raz pierwszy do teatru instytucjonalnego. Trochę przypadkiem współpracę zaproponowała grupie Julia Wernio, która kierowała Teatrem Miejskim w Gdyni. Okazało się, że w Trójmieście jest wielkie zainteresowanie teatrem tańca. Grali tam spektakle przy pełnej widowni.

Anna Steller: – To było bardzo ciekawe, bo dla wielu ludzi byliśmy offową grupą, która występuje na zupełnie nieoffowej scenie. Leszek Bzdyl dodaje: – A ja zawsze powtarzałem, że nie jesteśmy żadnym offem, tylko grupą zawodową. Wierzyłem od początku w profesjonalne granie, dobrze zbudowany repertuar. Każdego roku produkowaliśmy dwa – trzy spektakle. Naprawdę ciężko pracowaliśmy. Nie byliśmy komuną, która po zagraniu spektaklu siedzi razem i pali kaczidłkę.

Potem rozpoczęła się intensywna współpraca Leszka Bzdyla z Piotrem Cieplakiem. Trochę przez przypadek. Cieplak zobaczył na Łódzkich Spotkaniach Teatralnych spektakl Dada „Człowiek, który kłamał, na przykład Heiner Müller” i się nim zachwycił. Był krótki rozdział Gdańskiego Teatru Tańca założonego wspólnie z Melissą Monteros i Wojciechem Mochniejem. Potem powstanie Bałtyckiego Uniwersytetu Tańca, a następnie Trójmiejskiej Korporacji Tańca (jeden i drugi twór to były po prostu festiwale). Był ferment i dużo się działo. Tak na Pomorzu rozkwitł teatr tańca.

Leszek kopie w drzwi

Bzdyl: – To był jakiś szalony czas. Po komunistycznej zamrażarce musieliśmy sami wszystko nadrabiać. Byliśmy spóźnieni wobec świata. Ale to dało nam wolność, bo nie mieliśmy nad sobą żadnej czapy, nie byliśmy uwikłani w taneczny świat i mogliśmy robić, co nam się podobalo. Byliśmy pionierami, do wszystkiego dochodziliśmy sami. I nie technika była dla nas istotą sprawy, ale budowanie szczerego dialogu z widzami.

Dzisiaj Dada, po krótkim romansie z Teatrem Nowym w Łodzi za dyrekcji Zbigniewa Brzozy (chwilowa zdrada Pomorza), działa przy Teatrze Wybrzeże w Gdańsku. To teatralny dom grupy. Ale pozostaje ona wciąż niezależnym przedsięwzięciem, któremu ton nadają Leszek i Kasia.

Katarzyna Chmielewska: – Trochę razem przeszliśmy, nie da się ukryć. Były awantury, raz nawet Leszek zwichnął nogę, kiedy kopnął w drzwi, ale szybko wracaliśmy do równowagi. Okazało się jednak, że tyle czasu poświęcaliśmy teatrowi, że zaniedbaliśmy nasz związek. Teatr był dla nas zawsze najważniejszy.

Na pytanie, co Dada wniosła do polskiego teatru tańca, Kasia szybko odpowiada: – Myślę, że nasza konsekwencja pomogła wielu artystom, którzy zobaczyli, że można. Wszyscy narzekają nieustannie, że jest ciężko, a nam się jednak udało. A artystycznie? Połączyliśmy z sukcesem taniec i teatr. Ja ciągnęłam zawsze w stronę tańca, Leszek w stronę teatru i tak wykuwała się tożsamość Dada.

A skąd ta dziwaczna nazwa? Leszek: – Musiała być absurdalna. Kiedy mnie ktoś o nią pyta, zawsze wymyślam inną historię albo wymyśla ją życie. Kiedyś na festiwalu w Bytomiu ogarniam coś na scenie i mówię do panów technicznych: to dajmy tu, światło będzie tak. Nagle jeden z nich podchodzi do mnie i mówi:

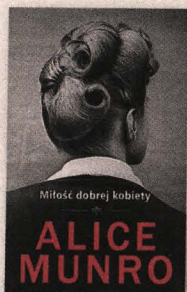
– Niech pan tu nic nie ustawia, szkoła fatygi. Zaraz ma tu przyjść ten Niemiec i to wszystko panu pozmieniam. – Jaki Niemiec? – pytam zdziwiony. Na co on: – No ten, von Bzdülów.

MARCIN KUBE

Prosto, elegancko

Popularność **Alice Munro** w Polsce sprawiła, że literatura kanadyjska ma dziś jej oblicze.

W ostatnim czasie w polskiej prasie napisano o Alice Munro tyle, że nieprawdopodobne wydaje się, by ktoś w minimalnym stopniu zainteresowany literaturą nie słyszał o szeroko uśmiechniętej, siwej starszej pani, co roku typowanej na faworyta w gonitwie o Nagrodę Nobla. Zamiast zwiększać tempo Munro powiedziała jednak „dość” i ogłosiła przejście na literacką emeryturę. Zrobiła to w chwili, gdy odniosła pisarski sukces (który już raz?), gdyż na jej ostatni zbiór opowiadań z 2012 r. „Drogie życie” posypał się deszcz świetnych recenzji i nagród. W Polsce popularność Kanadyjki odczuwamy podwójnie, ponieważ wydawcy z zawrotną prędkością nadrabiają stracony czas



Alice Munro „Miłość dobrej kobiety”, przeł. Agnieszka Pokojaska; W.A.B., Warszawa 2013; Cena 39,90 zł

i drukują Munro jak szaleni. Dopiero co głośno było o „Drogim życiu”, a już dostajemy kolejny przekład jej prozy. „Miłość dobrej kobiety” to tomik pochodzący z 1998 r., a zawarte w nim opowiadania nie będą niespodzianką dla wiernych czytelników Munro. Znowu jesteśmy na kanadyjskiej prowincji i po raz kolejny wracamy na początek lat 60. XX w., do świata surowych norm, gdzie bohaterki i mniej liczni mężczyźni (m.in. młodzi chłopcy i ludzie wypchnięci na aut) zmagają się z narzuconymi sobie rolami. Nie chcą bądź nie mogą sprostać narzuconym przez innych lub samych siebie oczekiwaniom. Próbuje diametralnie zmienić swoje życie bez podniosłych deklaracji i wielkich gestów. Ich walka

jest cicha, dokonuje się bez rozgłosu i brawury. Zupełnie jak styl Munro, prosty i elegancki, stroniący od egzaltacji.

Kto zna twórczość Kanadyjki, gdy sięgnie po „Miłość dobrej kobiety”, może się poczuć, jakby oglądał najlepszy serial – klimat jest dobrze znany, ale w szczegółach wciąż potrafi zaskakiwać i dawać chwile olśnień oraz intelektualnego wyzwania. To nie są opowiadania z dosadną puentą w ostatnim akapicie. Czasem Munro zostawia niedomknięte drzwi. Zatrzymujemy się w pół kroku z przemilczaną tajemnicą, zdarzeniem z przeszłości, które na zawsze pozostanie dwuznaczne, nieoczywiste. Jak w historii „Dzieci zostają” – czy to była prawdzi-

wa miłość czy jej złudzenie zrodzone z głębokiej potrzeby?

Popularność Munro w Polsce sprawiła, że literatura kanadyjska ma dziś jej oblicze. Bez szans wydaje się przy-

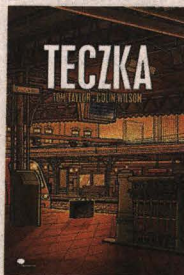
niej Margaret Atwood, a wspomnienie Lucy Maud Montgomery leży zakurzone na strychu w innej epoce. Do końca 2014 r. ukażą się w Polsce jeszcze przynajmniej trzy nietłumaczone wcze-

śniejszej książki pisarki. Warto się delektować każdą z nich i uważać, by przyspieszona edycja jej dzieł nie sprawiła, że tak wielkiej klasy literatura nam pospieszniej i przestanie poruszać.



Komiksowa (jedno) aktówka

Co wystarczy do stworzenia ciekawej nowelki graficznej? Okazuje się, że niewiele – ot, peron kolejowy, spóźniony pociąg, jeden rekwizyt i dwoje nieznanymi. Z początku niezobowiązująca rozmowa Sam i Chrisa staje się punktem wyjścia do ciekawych dywagacji na temat współczesności. Ona, tajemnicza młoda kobieta ukrywająca twarz w cieniu czapki z daszkiem, jest prowokatorką. Podrzuca tropy i sokratejskimi pytaniami zasiewa ziarno niepewności. On, przeciętny facet w prochowcu, od dywagacji woli działanie. W miarę jak prowadzą między sobą dialog, na-



„Teczka” Tom Taylor, Colin Wilson, Wydawnictwo Komiksowe 2013; Cena 8 zł

rosta napięcie. I chociaż „Teczka” jest w zasadzie rysunkową adaptacją teatralnej jednoaktówki Toma Taylora, której esencją jest błyskotliwa wymiana zdań, komiks nie sprawia wrażenia przegadanego. W kompozycji plansz przygotowanych przez Colina Wilsona czuć wciągający rytm. Dużą rolę odgrywa tutaj dynamiczne przeskakiwanie między zbliżeniami na detale, twarze, wreszcie na tytułową teczkę. Ten rekwizyt od momentu, w którym zostaje zauważony, staje się centralnym punktem nie tylko rozmowy, ale i każdej ze stron komiksu. Całość zaś – choć kreślona



w czerni i bieli – jest ciekawym, choć skromnym studium lęków społecznych XXI wieku. ➔ Dominika Węctawek

Dolnośląski Hannibal

Popkulturę z tabu kanibalizmu wyzwoliło „Milczenie owiec” i pamiętna kreacja Anthony’ego Hopkinsa. W przeciwieństwie do Hannibala Lectera Karl Denke to postać historyczna (21 ofiar), która zainspirowała Izabelę Szolc do napisania „Żony rzeźnika”. Denke nie jest egoistycznym koneserem ludzkiego mięsa. On chce się nim dzielić, nakarmić cały przedwojenny Dolny Śląsk. Wraz z tytułową żoną, która wprowadza nas w krwawą historię z pierwszych dekad XX w., wspierają ubogich i podróżników. Robią to pomimo powszechnej

walki władz z wółczęgostwem, przez co budzą zaniepokojenie sąsiadów. Istny filantrop ten „Ojczulek Denke”. „Żona rzeźnika” to powieść tylko pozornie historyczna, bowiem ironizujący narrator (a ściślej narratorka) na bohaterów i kwestie historyczne patrzy ze współczesnego punktu widzenia. Z wrażliwością obserwuje i komentuje status kobiet i obcego. Polemizuje z męską narracją. W pakiecie dostajemy też, niestety, garść stereotypów na temat przedwojennej kultury miejskiej, a Munsterberg, czyli Ziębice, opi-



„Żona rzeźnika” Izabela Szolc, Wyd. Anea, Łiszki 2013; Cena 32,90 zł

sywany jest w duchu średniowiecznej surowości.

Język powieści jest niezwykle rozbuchany. Chwilami staje się to uciążliwe, roszadując opowieść od środka i przytłaczając słowotokiem. Te słabości łagodzi przechodzenie przez perspektywę kolejnych bohaterów, poznawanie ich różnego punktu widzenia.

Książka intrygująca, choć z widocznymi słabościami. Trzeba także powiedzieć wprost – miejscami wyjątkowo obleśna. A najciekawsze wydaje się to, że autorka jest wegetarianką. ➔ Marcin Kube

ALEK HUDZIK

Kadry i symbole

Od sztuki w dużym banku po swastykę w obrazie Pawła Dunala. Tym razem propozycje Artvolver.com **przypominają dwa bieguny artystyczne**. Pomiedzy nimi rozciąga się zwykłe życie PRL-u, uchwycone przez reportażystów, których wystawę możemy niebawem zobaczyć w warszawskiej Zachęcie.



ROMUALD BRONIAREK/MATERIAŁY PRASOWE ZACHĘTA



TASZCZAK, INST. ME/MATERIAŁY PRASOWE ZACHĘTA

Wczasy propagandowe

Wakacje w Ciechocinku, augustowskie noce, wyjazdy do Chałup, Biały Miś na Krupówkach i, jeśli budżet pozwolił, wczasy na zaprzyjaźnionych plażach Bułgarii. W PRL-u też potrafiliśmy się bawić i może nawet lepiej niż dziś gospodarować czasem wolnym. Za plecami wczasowiczów ustawiał się wtedy nie tylko nieodzwonny urzędnik bezpieczeństwa, ale też fotograf. Reporterzy z czasów PRL-u fotografowali zarówno jego oficjalną stronę, jak i momenty, w których ideologia ustroju schodziła na dalszy plan. Dziś Tadeusz Rolke, Aleksander Jałosiński, Wojciech Plewiński czy Romuald Broniarek to klasyka polskiej fotografii. Kiedyś ich fotoreportaże ilustrowały łamy magazynów, od liberalnego „Przekroju” po „Przyjaźń” – organ Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Przypomni o tym obszerna wystawa, która otwiera się niebawem w sto-

łecznej Zachęcie. Wśród prezentowanych prac wakacyjne kadry przetasowane są z takimi, na których czas jest tylko pozornie wolny, bo spędzany na manifestacjach, pochodach i wiecach, uchodzących za szczyt rozrywki w PRL-u. Na jednym ze zdjęć wykonanym w 1957 r. Tadeusz Rolke kieruje obiektyw na ludzi wspinających się na przymię ziemi. Gdzieś po drugiej stronie stoi trybuna, za nią stadion, my widzimy tylko plecy i czapki, a pośród nich dziesiątki mundurowych, którzy nie tylko strzegli porządku, ale uzupełniali tłum, by żadne ważne wydarzenie nie świeciło pustkami. Na wystawie „Czas Wolny. Fotografie” odnajdziemy więcej archaicznych dziwactw PRL, ale może też na nowo zakochamy się w uroku augustowskich nocy. „Czas wolny. Fotografie”, 13.08–22.09, Narodowa Galeria Sztuki Zachęta, Warszawa

Nacjonalistyczny młyn

Swastyka to – wbrew temu, co chciałyby nam zasugerować władze Białegostoku – nie tylko symbol solarny. Historia tego symbolu w poprzednim stuleciu jest burzliwa, tak jak dyskusja o frakcji, która użyła jej jako swojego emblematu. „Hakenkreuz”, jednoznacznie kojarzony z hitlerowskimi Niemcami, był znakiem zakazanym na każdym polu i w każdej postaci. Dziś faszystowski orzeł jest używany w logo jednej z najpopularniejszych „hipsterskich” marek odzieżowych Boy. W Polsce popularność zdobyła grafika Wilhelma Sasnała parodiująca swastykę i wprost piętnująca zgromadzonych pod tym symbolem (jedną krzywą zamienił na wymownie obwisły penis). Podobnie można odczytać swastykę na płótnie Pawła Dunala z 2012 r. Artysta ubiera jej cztery ramiona w maski teatralne, rękawice i pochodnie i zamienia ją w karnawałowe koło młyńskie rodem z ekspresjonistycznego kabaretu, którego źródło tkwi także w Niemczech z pierwszej połowy XX wieku. – Praca jest moim komentarzem do ostatnich sytuacji. Niekoniecznie wykorzystywania swastyk, ale nasilającego się szowinizmu. Boję się, że nacjonalizm zaczyna kusić nie tylko łysych chłopaków w brunatnych koszulkach, ale też inteligentnych ludzi – mówi Dunal. Artysta w dalszym ciągu tworzy cykl prac nawiązujący do symboliki hitlerowskich Niemiec. Ucieka jednak od jakichkolwiek humorystycznych skojarzeń, na które w dzisiejszej sytuacji nie ma już miejsca. – Chciałbym, żeby ten klaun i karnawał



DZIĘKI UPRIĘŻNOŚCI GALERII M2

mimo wszystko wyglądały bardziej strasznie niż śmiesznie. Ten symbol wciąż powinien być odczytywany jednoznacznie i negatywnie – podsumowuje artysta.

Pani od kultury

Krótką historię Marii Rubersz trzeba zacząć od pisma, o które otarła się większość krytyków i kuratorów z jej pokolenia – „Sekcji” działającej przy Wydziale Historii Sztuki UW. To tam Rubersz dyskutowała i pisała pierwsze teksty krytyczne. Dzisiaj bez złudzeń dodaje, że pismo dało jej dużo więcej niż pięć lat wykładów, nauka dat i przeglądanie tysięcy slajdów.

Potem pracowała w Instytucie Adama Mickiewicza. Od dwóch lat działa w Fundacji Sztuki Polskiej ING. Poza działaniami merytorycznymi zajmuje się przybliżaniem zjawisk artystycznych pracownikom ING. – Kultura współczesna jest gettem, ważne są wszystkie działania, które stopniowo zmieniają tę fatalną sytuację. 141 prac, w tej liczbie zamyka się 13 lat budowania kolekcji – opowiada Rubersz.



MARTA GOLĄBEK

– Fundacja wypracowała własny profil, różni się od instytucji publicznych, choć w kręgu naszych zainteresowań są ci sami artyści. Nie jest to inwestycja kapitału, lecz działania na rzecz młodych twórców – dodaje.

W ubiegłym roku wraz z Muzeum Sztuki w Łodzi fundacja zainaugurowała „Wspólny projekt”.

Konkurs dla młodych artystów nie jest jednak ani inkubatorem, ani pucharem dla zwycięzcy. – Chodzi nam o rozwijanie projektu i obserwowanie świadomych decyzji artysty, który sam rozwija swój pomysł, a my mu w nim pomagamy, nie tylko finansowo. Może to mało spektakularne, ale wierzymy, że to bardziej owocne dla twórców przed trzydziestką – deklaruje Maria Rubersz. O drugiej odsłonie „Wspólnego projektu” usłyszymy już jesienią!

SPROSTOWANIE

W rubryce Artvolver z numeru 22.06 podaliśmy nieprawdziwą informację o zwolnieniu się Katarzyny Boruckiej z pracy na rzecz założenia Lookout Gallery. Katarzyna Borucka łączy pracę w międzynarodowej firmie i galerii Lookout. Katarzynę Borucką serdecznie przepraszamy.

ANGELIKA KUCIŃSKA

Na początku był blues

Mówi, że nie jest muzykiem, i nie lubi, gdy wpisują mu hobbystyczną profesję w życiorys. Mimo to **David Lynch** wziął urlop od kina i właśnie wydał drugi w pełni autorski album.

I choć to kino przyniosło mu największą popularność, dziś woli malować, robić zdjęcia, rzeźbić, nagrywać. Nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w filmie, choć przyznaje, że pomysły, które chciałby przenieść na ekran, nijak nie przystają do trendów narzucanych przez współczesne kino. Zawsze był nadaktywny, a muzyka nie pojawiła się znikąd. Lynch komponował dla innych, pisał piosenki na ścieżki dźwiękowe swoich filmów, angażował się w projekty innych muzyków, a kilka lat temu jego fotografie towarzyszyły albumowi „Dark Night of the Soul” stworzonemu przez nieżyjącego już Marka Linkousa (Sparklehorse) i Danger Mouse’a (producenta współpracującego m.in. z Norah Jones). „Dark Night of the Soul” było multimedialnym przedsięwzięciem w gwiazdorskiej obsadzie, bo na płycie można usłyszeć i czołówkę alternatywy, i reprezentację list przebojów – od Iggy’ego Popa przez Suzanne Vega po wokalistę The Flaming Lips. Pierwsza właściwa płyta Davida Lyncha ukazała się jednak dopiero dwa lata temu.

I tak jak na debiutanckim „Crazy Clown Time”, tak i na „The Big Dream” punktem wyjścia jest blues. To album klasyczny – bo nawiązuje do organicznej, surowej prostoty tradycyjnej muzyki z amerykańskiej prowincji. Ale i nowoczesny – autorską interpretacją założeń gatunku i elektronicznie uwspółcześnioną produkcją. Zdecydowanie lepszy od debiutu – słysząc, że Lynch muzyk nabrał pewności siebie, nawet jeśli wciąż opiera swoje nagrania na spontanicznie wygenerowanych gitarowych chwytach jednorazowego

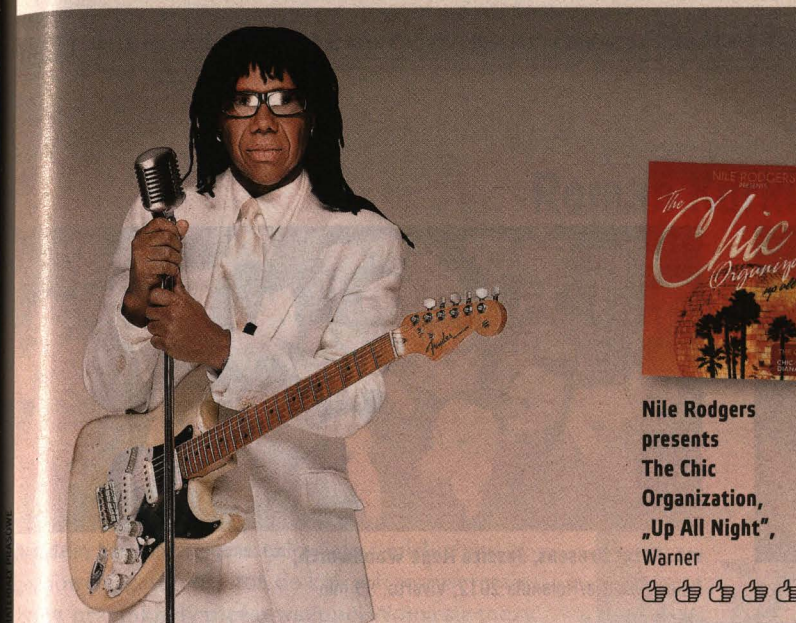


BLUES/ROCK
David Lynch,
„The Big Dream”,
Sunday Best
👍👍👍👍

użytku – jednorazowego, bo większości z nich nie potrafi powtórzyć po zarejestrowaniu. To zresztą właśnie dlatego konsekwentnie deklaruje, że nigdy nie wystąpi ze swoją muzyką na scenie. Zrobił to raz, 11 lat temu, i do tej pory wspomina koncert w paryskiej Olympii jako jedną z największych traum w życiu.

Muzyka Lyncha nie jest tak surrealistyczna jak jego najbardziej znane filmy, choć

jest filmowo plastyczna, prosta w narracji, ale stymulująca wyobraźnię wyczułonym na detal i emocje brzmieniem. „The Big Dream” to album romantyczny i fizyczny jednocześnie, konkretny i brudny – pisany szczerem sentymentalnym afektem do amerykańskiej muzyki z połowy ubiegłego wieku. Nawet jeśli nie do końca rekompensuje brak Lyncha w kinie. 📺



Nile Rodgers presents The Chic Organization, „Up All Night”, Warner
👍👍👍👍

DISCO Mr Lucky

Bez Nile’a Rodgersa nie byłoby Daft Punk? Na pewno nie byłoby kilku największych hitów w historii disco.

Nile Rodgers? Tak, to ten gość od „Get Lucky”. Ale też od połowy setki innych równie wielkich przebojów. To on wyprodukował „Let’s Dance” Davida Bowiego i „Like a Virgin” Madonny. On napisał dla Sister Sledge „We Are Family”, a Dianie Ross dał „Upside Down” i „I’m Coming Out”. Poza tym – jako kompozytor, producent, aranżer lub po prostu muzyk – pracował z m.in. Duran Duran, Debbie Harry, Mickiem Jaggerem i Michaeliem Jacksonem. Nie

byłoby jednak tego wszystkiego, gdyby nie dowiodzona przez Rodgersa grupa Chic. Byli jednym z najważniejszych zespołów ery disco, na przełomie lat 70. i 80. wyczarowywali hit za hitem. „Le Freak”, „I Want Your Love”, „Good Times”, „Everybody Dance” – te i wiele innych nieśmiertelnych tanecznych szlagierów to właśnie ich robota, którą na fali współpracy Rodgersa z Daft Punk odświeża ta dwupłytkowa kolekcja jego dawnych prac. Warto je poznać, aby w pełni docenić geniusz 60-letniego dziś nowojorczyka. Inna sprawa, że bez nich ani rusz, gdy w planach mamy prywatkę w stylu disco. ➔ Bartek Winczewski

POP Drzwi donikąd

Kiedyś chciał być jak herosi soulu sprzed pół wieku, teraz próbuje wejść w buty Justina Timberlake’a. Justinie, jesteś bezpieczny. Sympatyczny debiut z 2009 r. ustawił go w jednym rzędzie z Jamiem Lidellem, Raphaellem Saadiem i innymi wskrzesicielami dawnego soulu spod znaku Motown. Wydana dwa lata później druga płyta Mayera odkryła też jego słabość do soft rocka z lat 70. – i to głównie z tego powodu kalifornijski wokalista nie udało się rozkochać w sobie milionów. Niezrażony, że wciąż nie jest pierwszoligową gwiazdą, nie ustaje w staraniach o wymarzony sukces. Odnieść go mają

mu pomóc gorące nazwiska Pharrella Williamsa, Jessie Ware i Kendricka Lamara. To mogłoby się udać, gdyby Mayer oszczędził cokolwiek ze swojego pierwotnego wcielenia. Niestety, na nieszczęście swoje i dawnych fanów definitywnie porzucił retro soul na rzecz wycieczek w stronę Steely Dan. Dodawszy do tego współczesne elementy, stracił dużo z poczucia humoru, lekkości i wdzięku uroczego niezdary. Chce być jak Justin Timberlake – i jest, ale co najwyżej jak ten z muzycznych skeczy w „Saturday Night Live”. ➔ Bartek Winczewski



Mayer Hawthorne, „Where Does This Door Go”, Universal
👍👍

KONCERT

Bohaterowie drugiego planu

Na festiwalowych billboardach przegrywają z teoretycznie popularniejszymi, ale to ich występ będzie najważniejszym wydarzeniem tegorocznej edycji Coke Live Music Festival. W Krakowie zagrają Wu-Tang Clan.

Gdyby zliczyć dyskografię kolektywu i solowe wydawnictwa poszczególnych członków składu, pewnie wyszłoby, że raperzy związani z klanem podpisali się pod co najmniej połową kluczowych albumów w historii amerykańskiego rapu. Wu-Tang Clan to wyjątkowa supergrupa – demokratyczny zespół złożony z gwiazd gatunku (lider RZA, Raekwon, Method Man, Ghostface Killah), mocno aktywnych poza



Coke Live Music Festival, 9-10.08, Lotnisko – Muzeum Lotnictwa, Kraków

macierzystym sztyldem. Debiutowali w 1993 r. znakomitą, intensywną „Enter the Wu-Tang (36 Chambers)”, który dzięki zaskakująco ciężkim, agresywnym beatom sprzedał się w milionowym nakładzie i zyskał status platynowej płyty. Cztery lata później zdobyli szczyt notowania „Billboardu” nominowaną do Grammy płytą „Wu-Tang Forever”. Na Coke Live wystąpią przed premierą nowego, pierwszego od sześciu lat wydawnictwa. „A Better Tomorrow” początkowo miało ukazać się w lipcu, album przesunięto jednak na listopad – tym samym ukaże się w 20. rocznicę premiery pierwszej płyty składu. Obok Wu-Tang Clan na festiwalu zagrają m.in. Franz Ferdinand, Florence And The Machine oraz Regina Spektor. ➔ Angelika Kucińska

Dorota Chrobak o filmach



reż. Helena Třeštková, Czechy 2012, Against Gravity, 83 min
👍👍👍

DOKUMENTALNY

Prywatny wszechświat

Legenda czeskiego dokumentu, Helena Třeštková, specjalistka od projektów powstających przez lata czy wręcz dekady, tym razem opowiada kameralną historię małżeństwa swoich przyjaciół – od 1974 r., gdy wzięli ślub, aż do dziś. Choć „Prywatny wszechświat” nie jest takim ciosem w żołądek jak „Rene” czy „Katka” (wieloletnie raporty z życia notorycznego przestępcy i narkomanki), i tak pozostawia spore wrażenie. Dlaczego ukochany syn się stoczył? Cemu większość życia upływa nam na użeraniu się z codziennością? I dlaczego czas biegnie tak szybko? Třeštková nawet nie próbuje odpowiadać na te pytania, a dzięki temu jej unikatowa kronika nabiera uniwersalnego, acz mocno melancholijnego charakteru. 🍷

Katarzyna Nowakowska o serialach

Rodzinka.us

Wakacje to ciężki czas w serialowie – nie wiele premier, królują powtórki, oczekiwanie na początek nowego sezonu ulubionych tytułów dłuży się w nieskończoność. Tym bardziej cieszy, gdy w ręce wpadnie coś tak dobrego jak „Ray Donovan”.

Do premiery ostatniego sezonu „Breaking Bad” wciąż daleko, samym „Newsroomem” człowiek się nie napasie, a nowa produkcja Netflixu „Orange is new black”, choć wszędzie zbiera świetne recenzje, nie przypadła mi do gustu. Może za mało widziałam – wróć do tego. Aż tu pewnego dnia koleżanka pyta, czy oglądam tę nową serię Showtime z Lievem Schreiberem i Jonem Voightem w obsadzie. Nie oglądałam, ale te dwa nazwiska wystarczyły za rekomendację. I nie żałuję. Tytułowy bohater „Raya Donovan” (Schreiber) jest człowiekiem do specjalnych poruczeń na usługach potężnej kancelarii prawnej z Los Angeles. Zdobyć dowody zdrady męża gwiazdy filmowej, by rozwód nie



uszczuplił z nadto jej majątku, zatuszować gejowskie skłonności idola nastolatków, grającego w wysokobudżetowych filmach akcji, kogoś zastraszyć, innego zaszantażować, innemu zwyczajnie dać w mordę. Ot, robota. A Ray jest w niej świetny – zawsze opanowany, planujący pięć kroków w przód, niewzruszony jak skała. Jednak, jak każdy heros, ma swoją piętę achillesową. Jest nią rodzina. Zwłaszcza tatuś, stary kanciarz, morderca i ładaco (Voight), który po 20-letniej odsiadce wychodzi właśnie z paki. I nie ma dobrych intencji, a manipulować potrafi jak mało kto (nie mówcie Angelinie, ale lubię jej tatusia bardziej niż ją). Jego synowie zaś: Ray, cierpiący na parkinsona Terry (Eddie Marsan – ten brytyjski aktor to kolejny powód, by oglądać Showtime!) i borykający się ze sobą, molestowany w dzieciństwie przez księdza Bunchy (Dash Mihok), różnie sobie radzą z ojcowym dziedzictwem – i wcale nie chodzi tu wyłącznie o rodzinną szkołę bokserską (czyim innym mogłaby się zajmować irlandzka rodzinka?). 🍷



reż. Peter Brosens, Jessica Hope Woodworth, Belgia/Francja/Holandia 2012, Vivarto, 93 min
👍👍👍

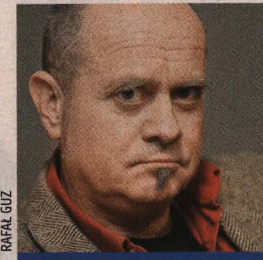
DRAMAT

Anomalia

Małą społeczność rolniczą nawiedza tajemnicza plaga – po zimie nie nadchodzi wiosna, krowy nie dają mleka, nawet ogień nie chce się palić. W wiosce narasta apatia, która z czasem przekształca się w kompulsywną potrzebę znalezienia kozła ofiarnego. Mniej film, bardziej eksperyment, bo od fabuły istotniejsze jest tu ekologiczne przesłanie oraz warstwa wizualna, bazująca na licznych odniesieniach – od malarstwa flamandzkiego po twórczość Andrieja Tarkowskiego czy Beli Tarra („Koł turyński”). Problem w tym, że wysmakowana forma dominuje nad emocjami i sprawia, że treść, zwłaszcza w drugiej połowie filmu, schodzi na dalszy plan. Rzecz intrygująca, ale niestety nie do końca spełniona. 🍷

Roman Kurkiewicz

Teraz jest wojn@!



Wszyscy, którzy mamy telefony, korzystamy z Internetu, płacimy kartą – jesteśmy podejrzani.

Narodziny homo interrogans, człowieka podsłuchiwanego, nowego gatunku istot, do których wszyscy należymy, przemknęły niezauważone. Wojna się toczy, bramy więzienia zatrzaśnięte w cyfrowej ciszy, idziemy, jak barany 3.0, na cyfrową rzeź.

Rozmowa czterech dysydentów nowej ery, hakerów, wileksowców, cyfrowych punków, buntowniczków jest książką równie zadziwiająco ważną i przełomową, jak źle napisana (może nie najlepiej przetłumaczona?). Ale to bez znaczenia. Tu liczą się postaci. Julian Assange (możecie pamiętać jego nazwisko z dni pościgu za Snowdenem), założyciel WikiLeaks, autor jej oryginalnego kodu, laureat wielu nagród organizacji praw człowieka. Assange przebywa w Ambasadzie Ekwadoru w Londynie, nie mogąc wyjechać do Ekwadoru, który udzielił mu azylu politycznego. Jest Jacob Appelbaum, założyciel Noisebridge w San Francisco, członek Chaos Computer Club w Berlinie, programista, badacz projektu TOR. Jest i Andy Müller-Maguhn, członek zarządu i rzecznik CCC w Berlinie oraz aktywista praw człowieka w erze cyfrowej. Jest wreszcie Jérémie Zimmermann, współzałożyciel grupy La Quadrature du Net, działacz na rzecz prawa do anonimowości w sieci. Ich rozmowa miała miejsce w Ambasadzie Ekwadoru, gdzie schronił się Assange.

Zanim Edward Snowden ogłosił rewelacje na temat PRISM, form współpracy koncernów informatyczno-komputerowo-komunikacyjnych z agencjami rządu USA, polegającymi na przekazywaniu wszystkich danych zapisanych cyfrowo na nasz temat, oni wiedzieli to już od dawna. Byli na pierwszej linii walki. Byli i są jej pierwszymi ofiarami, choć nie są przedstawicielami tzw. czterech Jeźdźców Apokalipsy (pranie brudnych pieniędzy, handel narkotykami, terroryzm, pedofilia), które legitymizują ingerencje prawne i pozaprawne (prawo zaczyna tracić znaczenie) w naszą cyfrową prywatność, czyli treść rozmów telefonicznych, SMS-ów, e-maili, historii przeglądanych stron WWW, transakcji finansowych.

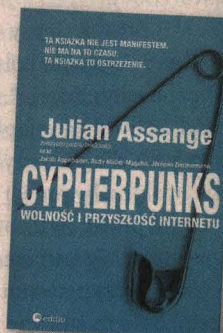
Autor jest dziennikarzem i publicystą od lat związanym z „Przekrojem”.
Pisze o książkach, które mają znaczenie.

Fenomen dzisiejszego Internetu nie zamyka się w określaniu dostępu do edukacji, nowej komunikacji, kontaktu, uproszczenia wielu działań. Internet dzisiaj to narzędzie władzy, instrument wojenny, niewyczerpywalny magazyn wiedzy na temat naszych działań. To magazyn w pełni kontrolowany i uzupełniany na bieżąco poza naszą wiedzą i jakkolwiek kontrolą. Kiedyś podsłuchiowano podejrzanych o konkretne przestępstwa czy zbrodnie przeciwników politycznych, dzisiaj podsłuchiwanie jesteśmy wszyscy. To tylko kwestia czasu, decyzji (nie wiadomo czyje), kiedy i jak ta wiedza zostanie przeciw nam użyta. Wszyscy, którzy mamy telefony, korzystamy z Internetu, płacimy kartą – jesteśmy podejrzani. Wszyscy jesteśmy pod nadzorem rządów, służb, korporacji, które tworzą jeden nierozszczepialny organizm Wielkiego Brata. Niektóre mają swoje imiona (Facebook, Google, NSA, Siemens), inne pozostaną dla nas przesłonięte formułami umów prawnych (ACTA, PIPA, SOPA etc.).

Możemy się bronić. Możemy tworzyć samoobronę cyfrową, możemy uczyć się korzystać z kryptografii, szyfrowania, zaprzęgniętej jak nigdy wcześniej w sprawę obrony naszej wolności, możemy odmówić zgody na naszą cyfrową bezbronność, walcząc o wolne oprogramowanie, jawność standardów ingerencji w gromadzenie danych na nasz temat. To się dzieje. To jest prawdziwa władza, realna wojna, konkretna przemoc. To nie jest kwestia przyszłości. To jest dzisiaj. Wszyscy musimy stawić czoła tej straszliwej, niewidzialnej mocy.

Do broni! Na ramię: TOR! 🍷

Julian Assange, Jacob Appelbaum, Andy Müller-Maguhn, Jérémie Zimmermann „Cypherpunks. Wolność i przyszłość Internetu”, Editio 2013, 34,90 zł



ANGELIKA KUŹNIAK

Między swoimi i obcymi

Książka „Papusza” o romskiej poetce Bronisławie Wajs ukaże się nakładem wydawnictwa Czarne 14 sierpnia. Już dziś publikujemy jej fragment wraz ze wstępem autorki dla naszych czytelników.

Na co mi wierszy moje? Na co mi to wszystko? Gdybym ja głupia nie nauczyła się pisać, byłabym szczęśliwa – skarżyła się przed śmiercią.

Ale do końca opowiadała o dniu, w którym pierwszy raz kijem na piasku napisała swoje imię: Papusza, co po cygańsku znaczy „lalka”.

Za naukę płaciła kradzionymi kurami. Najpierw dzieciakom w szkole, potem Żydówce, sklepikarce.

Matce Papuszy ta nauka się nie podobala. Ojczym bił dziewczynkę. Cyganie w taborze pluli na nią, śmiali się, że będzie nauczycielką.

Do dramatu Papuszy przyczynili się swoi i obcy.

W 1953 r. Jerzy Ficowski wydał książkę „Cyganie Polscy. Szkice historyczno-obyczajowe”. Po latach tłumaczył, że tę książkę napisał „z rozmaitym okupem dla cenzury”, bo inaczej nie pozwolono by mu jej wydać. To Julian Tuwim protegował go do Państwowego Instytutu Wydawniczego i powiedział, „jakimi przyprawami trzeba posypać, żeby było to strawne dla polityki kul-



turalnej”. Ficowski przyznawał, że miał dwa wyjścia: albo książkę schować, nie drukując, albo wydać ją ze wspomnianym okupem dla cenzury.

Dlatego znalazło się w niej kilka propagandowych tekstów, parę stron o Papuszy i słownik cygańsko-polski. Około 700 słów. A język u Cyganów jest najbardziej strzeżoną tajemnicą. Przez ten słownik mógł przestać nią być. W taborach zawrzało. Cyganie chcieli nie tylko spalić wszystkie egzemplarze książki, przyjechali nawet do siedziby Związku Literatów Polskich w Warszawie, ale mieli zamiar przywiązać Papu-

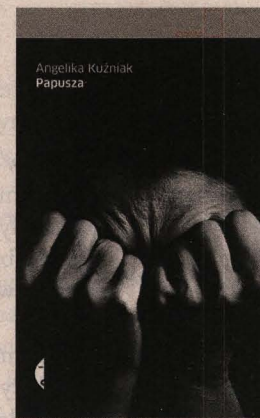
szę do koni i wlec. Według nich to ona zdradziła.

I to oskarżenie złamało jej życie.

Lidia Ostałowska, autorka znakomych książek o Cyganach („Farby wodne”, „Cygan to Cygan”), pyta: „Czy dziś, gdy wspólnie z Romami korzystamy z demokracji, cenimy wolność i szanujemy przyrodę, udałoby się ochronić jej talent?”.

Cygance, która „w listkach dębu widziała złote kolczyki i zapłaciła życiem za ten dar”.

A może znów musiałaby powiedzieć: „Nigdzie nie należę”?



Papusza

Angelika Kuźniak

Tamte dni wracają do niej nocą.

Kiedy Papusza nie może spać (a często nie może), idzie do kuchni. Z gwoździa na ścianie zdejmuje lampę. Dolewa nafty, czyści szkło, bo z wczoraj okopcone. Podkręca, rzadko na cały knot. Prąd w domu jest, ale ona ciągle boi się „słońca w żarówce”.

Cicho. Czasem tylko słycać, jak sąsiad na piętrze (nie-Cygan) tłucze swoją żonę. Kłóca się. Niech się kłóca, nie jej sprawa.

Papusza przysypia obok pieca.

Czeka.

– Nocą przychodzą do mnie gila, piosenki – mówi. – Z lasu przychodzą. Zlatują się wesołe jak stado wróbli. Dręczą, dzwonią, wołają. Raz śpią ze mną, a raz spać nie dają. Między jedną a drugą słyszę cygańską muzykę, skrzypki, arfy, gitary, kastalety. I ja wtedy tańczę. Tańczy Cyganka jak liść na wietrze, jak dym z ogniska, jak słońca promyk wesoły, gorący. I nagle wszystko przepada w ciszy, a ja płaczę i tu mnie boli, pulsę... Doktor powiedział, ażeby ja nigdy już wierszy nie pisała. Zabronił mi przyjmować te piosenki w domu, bo mnie zabijają. Tylko gdzie się przed nimi schowam? Prawdę powiedzieć, ja jestem zadowolniona, jak przychodzą. Od razu cały tabor stoi mi przed oczami.

Widzi wozy i ogniska na polanie. Palą się byle jak, gałęzie namokły od deszczu. Matka mówiła Papuszy, że tak płonie cygańska bieda.

Jest lato. 1918 rok. A może to był 1920? Papusza już nie pamięta. Okolice Grodna („moje ulubione miasto. Mieszkaliśmy tam pięć lat”).

Wszędzie dzieci. Biegają wokół namiotów, bawią się w berka na smolanki. Temu, kto przegra, smarują twarz sadzą. Albo w żebranie. Wyciągają przed siebie ręce i zawodzą: „Daj, pani, chleba, daj”. Mała Cyganka, czerwona od krzyku, wyrwa się matce. Kobieta przyciska dziecko do piersi i przykładą do ucha dziewczynki pokrzywę (dobrze znieczula). Cyganka może nie mieć butów, ale kolczyki musi mieć.

Adaś (ten sam, z którym Papusza bawiła się w dom) woła dzieci do namiotu.

Pokazuje „film cygański”: skacze na jednej nodze, a cień na ścianie robi to samo.

Ponad trzydziestoletni Dyżko Wajs w dziecięcym wspomnieniu Papuszy to starzec. Ma żonę, puchową pierzynę i parę koni. Ma też wóz. Robiony na zamówienie, z „błotnikami jak wyginane wachlarze” (większość Cyganów jeździła wtedy zwykłymi furmankami: drewniane koła, zamiast dachu – płótno rozpięte na metalowych obręczach). Gdy mała Papusza zwraca się do Dyżka, to zawsze z szacunkiem – „wuju”, często przywozi jej czekoladę z miasta.

Papusza widzi go, jak siedzi na zwalonym pniu sosny i płucze baranie jelita w wodzie z popiołem. Robi struny do harfy. Muszą być cienkie, więc rozcina jelito na dwa pa-

ski. Końce nawiązuje na gwoździu i na mokro skręca. Potem następna struna i następna. Po kilku dniach, kiedy są już suche, poleruje je pędami skrzypu polnego.

Wieczorem, po kolacji (kura, pieczone ziemniaki) wszyscy zbierają się przy jednym ognisku. Muzykanci w zespole Dyżka się zmieniają, ktoś umiera, ktoś się zakochuje i odchodzi do innego taboru, ale instrumenty zawsze są te same: „skrzypce, kontrabas, bęben, cymbały, akordeon, wiolonczyl. Ze trzy arfy”.

Najstarsza jest harfa Dyżka. Francuska, firmy Érard, znanej na całym świecie. Ma „ze sto pięćdziesiąt lat” i szyjkę zakończoną główką w złotej koronie. (Może i nie była złota, ale dlaczego Papuszy nie wierzyć? Wiele lat później, ze dwadzieścia albo i więcej, już jako żona Dyżka, będzie ukrywać w niej pieniądze przed milicją). Taborowa legenda głosi: na tej harfie przodkowie Wajsów grali dla królowej Marysieńki. Na dowód dała im dokument z królewską pieczęcią. Nie ma po nim śladu, podobno zaginął w czasie wojny.

Papusza: – Wszystkim się do tej arfy oczy rwali. Miała takie coś, że jak Dyżko dotykał strun, a ręki miał delikatne i bardzo wielką duszę miał, to węże słuchali, a Cyganki i Cygany płakali po pas.

Mężczyźni tańczą kozaczaka. Kobiety tworzą krąg. Mała Papusza naśladuje matkę. Unosi ręce nad głowę. Nieruchomieje. Bosymi stopami uderza o ziemię. Opuszcza ręce. Cyganie wybijają rytm. Uderzają dłońmi w cholewy, piersi, uda, golenie. Pokrzykują. Dziewczynka przykłada na trawie, głowę odchyla do tyłu. Potrząsa ramionami. Coraz szybciej i szybciej.

Muzyka cichnie późno w nocy.

– Pamiętam, że znad rzeki szła mgła – opowiada Papusza. – Psy tak wyli, że aż prąd po plecach chodził. Rżeli konie. Może to zamordowany Cygan zaplatał im warkocze w grzywach? Ale ja nie bała się nikogo. Ani żywych, ani umarłych. Nikogo. Nawet jak wilki przychodzili, takie oczy mieli zielone bardzo, ja chciałam ich głaskać i mnie nie gryźli. Przysięgam Bogu, że nie. Bo wszystko, co w lesie żyje, to siostry moje i bracia. A jak Cygany spali, szłam nad wodę. Sięgałam dna, w ręce chwytaliśmy ryby. Jakiś błysk w wodzie mnie drażnił i myślałam, co ta woda robi, tak mknę. Zawsze coś widziałam. Jak gwiazdka zagląda do nas, jak migoce, drży jak serce dziewczyny, jak rozczarowane jej oczy. Świat jest bardzo uroczywy. Skały, drzewa, wszystko mi imponowało.

Coś takiego miałam od dziecka, ale nie wiedziałam, co to znaczy. Bez nauki człowiek ma ślepe oczy. Mamusia też nie umiała nic. Prosiłam, ażeby mnie dała do szkoły. Nie chciała słuchać. No to zbierałam różne papiery, czasem ze śmieci wyciągałam. I rysowałam na nich węglami, co widzę. Tylko liter nie, bo nie znałam.

Dnia, w którym zaczęła uczyć się pisać, Papusza nie zapomni nigdy. Tak mówi i się uśmiecha (na nagraniu ten uśmiech słychać wyraźnie).

Matka budziła ją „równno ze słońcem”. Mała Papusza wstawiała, wychodziła z namiotu, wyglądała pogniecioną spódnice.

Nie pamięta, czy tamtego dnia to matka zaplotła jej warkocze. I czy pogłaskała po głowie. (Choć czułości raczej nie było. „Miała za ciężko, ażeby mnie, najstarszą, tulić”). Pamięta, że stanęła przed nią i powtórzyła dwa razy: „Nie możesz marnować okazji. Z pustymi rękami Cyganie nie wolno wrócić do taboru”. Pouczała: bądź chytra i fałszywa.

Na spódnice Papusza nałożyła fartuch. Sama szyla, na okrętkę. Pod nim na sznurkach kołysały się puste jeszcze „złodziejskie kieszenie”. Wszystko dla ochrony, trzeba oddzielić łup od spódnicy. Kobieta od pasa w dół jest nieczysta. Nieczyste staje się też to, czego dotknie choćby rąbkami spódnicy. Moc kalająca Papuszy jeszcze nie działa (ciągle ma dziesięć, może dwanaście lat), ale lepiej się zabezpieczyć.

W obozie zostawali starcy, dzieci. I mężczyźni. Mówiło się, że Bóg stworzył ich w niedzielę. Do tego z rękami różnej długości. Wystarczy obie wyciągnąć w lewo i okazuje się, że prawa sięga zaledwie do łokcia lewej. To jasne: nie da się z takimi rękami pracować.

Od sprytu Cyganek zależało, czy będzie co włożyć do garnka.

Grodno. Kilka kilometrów pieszo od taboru.

W latach dwudziestych ubiegłego stulecia to już spore miasto. Prawie sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców (sześćdziesiąt procent to Polacy, trzydzieści siedem – Żydzi, trzy procent – Białorusini). Są tu telefony, elektryczność (od 1912 roku) i most żelazny (1909). Kilka szkół, teatr. Cerkiew z dwunastego wieku, kościół farny, dwa warowne zamki, synagoga.

Na targu straszny tłok. Nawoływania, krzyki. Handlowano, czym popadnie. Matkami Boskimi i Jezusami wśród apostołów, pestkami słonecznika, maścią na odciski, smolakami, szuwaksem do butów, garnkami, osetkami do noży, świecami z łoju. Można było kupić buty z łyka, kosze na ziemniaki, nawet krzesła. Ząb wyrwać na poczekaniu (są w archiwach i takie zdjęcia). Ktoś opowiadał historie o zbójach, smokach i złych dzieciach, co matkę wyгнаły. Cyganki odczytywały z kart albo z ręki, co się zdarzy jutro, za dziesięć lat, za sto. Widziały przeszłość, dobre i złe uczynki. Kreśliły na dłoniach klientek znak krzyża monetą, którą od nich dostały. Mówiły: „Całą prawdę jeden Bóg zna, a Cyganka tyle, co w kartach”.

Papusza jest sprytna, szybko zapełnia kieszenie. Jabłka, ziemniaki, trochę tytoniu. Drobnica, ale (o czym przekona się po powrocie do taboru) wystarczyło, żeby nie dostać w skórę od ojczyma.

Kręciła się między straganami. Zagadywała do każdego kundelka, którego spotkała na drodze.

Na środku placu niedźwiedź tańczył na tylnych łapach. Odkąd pod koniec dziewiętnastego stulecia zabroniono niedźwiednikom wstępu do miast, to rzadki widok. Akademia w Smorgoniach też już zamknięta. Tam je tresowano. (W izbie zamiast podłogi był piec kaflowy, rozpalony do czerwoności. Cygan wprowadzał niedźwiadka. Zaczynał grać na skrzypcach, a niedźwiedź, parzony w przednie łapy, stawał na tylnych owiniętych w onuce).

O tym, że litery można poznać w szkole, mała Papusza słyszała już wcześniej. Ale dopiero tamtego dnia zobaczyła dzieci z książkami i pobiegła za nimi.

– Przepędzali mnie. Mówili, że złodziejka. Że zaraza. Nie wszystkie ludzi szlachetne. A nie da się uciec od tego, co się słyszy. Ani od tego, co się widzi. Samo w uszy i w oczy wchodzi. Co było robić, pokornie cierpiałam.

Pół dnia stała pod oknami szkoły.

– A jak dzieci wychodzili, zebrałam się na odwagę i poprosiłam, ażeby mi pokazali jakie parę liter.

Zgodziły się. Ale nie za darmo.

Kraść Papusza nauczyła się zwyczajnie. Przy matce.

Prosta robota. „Rzuca się lewą ręką ziarno lub okruszki chleba w pobliże własnych stóp i równocześnie zwołuje się kury. Kiedy stado zbliżało się i było już zajęte jedzeniem – Cyganka zdecydowanym, błyskawicznym niemal ruchem prawej ręki chwytala najbliższą sztukę. Chwyt następował z góry, za szyję, w okolicy głowy, z równoczesnym przyciśnięciem do ziemi. Zagardlony ptak wędrował do przygotowanego zawczasu schowka, a sprawca – jeśli chciał – chwytal następna sztukę, gdyż stado zajęte jedzeniem nie spostrzegło grożącego niebezpieczeństwa. Schwytała też nie wszczynając alarmu”. (Tak opisywano to w aktach prokuratorskich w 1964 roku).

Papusza miała cztery lata, gdy pierwszy raz skręciła kurze kark. Zawiązałam sobie tłumoczek, ukradłam mamie karty, cztery kilometry szłam i zabłondziłam. Znalazł mnie jakiś chłop, wziół na wóz i zabrał do wsi. Patszę, na jego podwórku kury chodzą, złapałam jedną, zawinęłam w wielką szmatę ciasno i ona się udusiła.

– Bo porządek świata jest prosty – tłumaczy Papusza. – Co w polu rośnie, to Pan Bóg zasiał, a co grzebie i gdacze, rośnie z woli Boga dla wszystkich ludzi. Pan Bóg stworzył dużo kurek, dla Cyganów też wystarczy.

Jedna kura – jedna lekcja.

Papusza codziennie czekała na dzieci pod szkołą. Później patykiem na piasku albo osmalonymi drewnienkami na gazetach pisała: A, b, c i resztę liter. Jak w elementarzu.

Tak było przez kilka dni, aż się dzieciakom znudziło.

To wtedy przypomniła sobie sklep niedaleko rynku, czasem kupowała w nim słodycze. Ciemny, długi korytarz, światła tyle, co przy wejściu. Za ladą sklepikarka, Żydówka.

– Poszłam z gazetą i poprosiłam: „Pokaż, pani, jak się czyta”. Kazała przynieść tłustą kurę na szabas i kupić elementarz.

Lekcje były krótkie, zawsze po zamknięciu sklepu.

Matce Papuszy się to nie podobało. Mówiła: „Te książki są po nic, truje się nimi mózg. Z nich pochodzi głupota”.

Ojczym bił.

– Cyganie w taborze pluli na mnie. Wytykali palcami. Śmiali się: „No, będziesz pani nauczycielka! Na co ci ta nauka?”. Darli gazety, kartka po kartce i wrzucali w ogień. Nie rozumieli, że to trzeba dla siebie, dla kawałka chleba. A ja dziś podpisać się mogę. Nie stawiam krzyżyków. Dumna jestem, że ja, Cyganka ciemna, potrafię czytać. Cichutko sobie w lesie popłakałam, a potem i tak swoje robiłam.

Szybko się uczyła.

– Za parę tygodni już umiałam. Żydówka całowała mnie, że ja taka pojętna. (Papusza znów się uśmiecha). Czytałam dobrze, ale pisać nie, bom mało pisała i nie wiedziałam, że mi się to przyda na przyszłość. A potem, jak miałam czternaście lat, ojczym wziął mnie na Niemen. Grał w orkiestrze Dyżka, miał skrzypcy i kontrabas. Statkiem my płynęli. Najpierw wróżyłam, a potem czytałam książkę, już nie wiem jaką. Przyszła strojna pani i mówi: „Cyganczka umie czytać? To ładnie!”.

Roześmiałam się jak dziecko, asz łzy miałam w oczach. Pytała mnie po kolei o wszystko, a ja jej odpowiadałam. Na koniec pocałowała mnie i poszła. A ja byłam dómna i potem czytałam jeszcze więcej, asz mnie oczy boleli. Dobre i złe, bom nie miała pojencia, com miała czytać.

Zapisała się do biblioteki.

W Mikulincach koło Przeworska. Porzyczili książkę, ale nieładną, zabawki dziecinne, bajeczki i nie chciałam już nawet więcej iść, tylko gospodynia, u której odnajmowaliśmy izbę, poradziła mi, ażeby wziąć „Hrabinię Cosel”, „Pana Tadeusza” i „Roznosicielkę chleba”.

Dózo czytałam książek od ludzi, którym wróżyłam: „Tażana wśród małp”, „Rudego Jazona”, „Piękną siostrę”. A najbardziej lóbiłam historie o rycerzach i o wielkiej miłości.

WANDA MODZELEWSKA

Piękno z odzysku

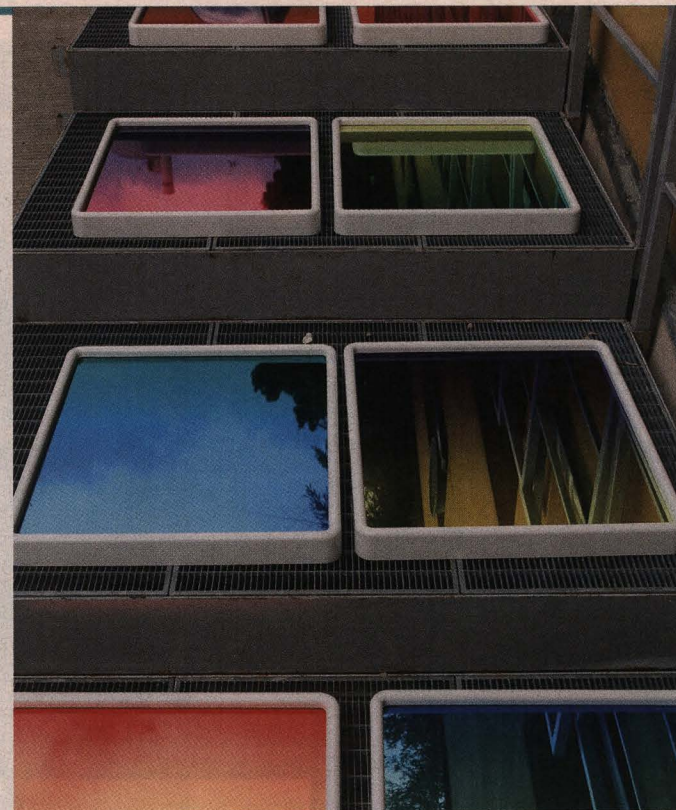
Wiele przykładów recyklingowego designu z pótek „awangarda dla wtajemniczonych” oraz „słuszny ideologicznie, ale jednak eksperyment” trafiło do głównego nurtu współczesnego wzornictwa. Projekty z odzysku zaskakują swoją urodą, pomysłowością, sposobem wykonania.

Puste butelki po winie i wodzie mineralnej, dziurawe dętki rowerowe, stare, zepsute meble, deski z rozbiórki i „bzdiew” z wyprzedaży. Czy można zrobić z tym coś sensownego, poza wrzuceniem do odpowiedniego pojemnika na odpady? Okazuje się, że tak. Projektanci pilnie przyglądają się otaczającej ich rzeczywistości i potrafią wydobyć piękno z czegoś, co pozornie wydaje się jedynie bezwartościowym śmieciami. Co istotne, liczne przykłady recyklingowego wzornictwa kryją w sobie także głębszy przekaz związany z ekologią, lepszym wykorzystaniem dostępnych zasobów, zrównoważonym rozwojem, sytuacją społeczną.

MATERIAŁY PRASOWE (9)

Artecnic

Jedna z pierwszych znanych marek, które włączyły do swojej oferty przedmioty z recyklingu. Dodała też do nich aspekt społeczny, bo wytwarza je przy współpracy z rzemieślnikami z krajów Trzeciego Świata. Zaprojektowana przez Emmę Woffenden i Torda Boontje kolekcja transGlass poza tym, że osiągnęła sukces sprzedażowy, stała się już eksponatem muzealnym, i to w samym nowojorskim MoMA. Niezwykłej urody naczynia powstające z niepotrzebnych butelek po piwie i winie to dzieło gwatemalskich szlifierzy szkła.



Saved by Droog

Co się dzieje z produktami, gdy firma bankrutuje? Trafiają na wyprzedaże organizowane przez komorników, gdzie zazwyczaj nie cieszą się dużym powodzeniem, bo upadają firmy, których produktów nikt nie chce kupować... Designerzy z holenderskiego kolektywu Droog – przejęci statystykami dotyczącymi upadłości holenderskich firm – postanowili uratować grupę „osieroconych” przedmiotów i zmodyfikować je tak, by stały się atrakcyjne i zaskakujące. Portfel z napisem „Pieniądze nie dają szczęścia”, świece przypominające bomby, chusteczki z wyhaftowanymi tragicznymi wydarzeniami z wiadomości telewizyjnych i lustra, które ubarwiają naszą rzeczywistość – drobne zmiany nadały tym zwykłym rzeczom nie tylko nowy walor estetyczny, lecz także siłę mocnego komentarza do naszej rzeczywistości.

Stephen Kenn

Gdyby Stephen Kenn nie znalazł kiedyś w Los Angeles magazynu oferującego demobil jeszcze z czasów II wojny światowej, pewnie nie wpadłby na pomysł, że stare, nieużywane od dziesięcioleci wojskowe namioty i spadochrony mogą stanowić znakomity surowiec do produkcji mebli. Jego projekt Inheritance Collection to z jednej strony hołd dla ludzkich losów zapisanych w przedmiotach, z drugiej – wykorzystanie potencjału lokalnych rzemieślników: ślusarzy, krawców, kaletników i tkaczy nadal pracujących w niewielkich fabryczkach wokół Miasta Aniołów.





Mariusz Małecki „Ziben”

Polski projektant działający od kilku lat w Berlinie konsekwentnie łączy stare z nowym i przetwarza stare meble oraz odzyskane z rozbiórki materiały, takie jak elementy stolarki, parkietu czy deski, w nowe obiekty. Projekty Mariusza Małeckiego zaskakują połączeniami faktur i form: idealnie dopracowany MDF stanowi tu towarzystwo dla szuflady z meblościanki i nieco topornej skrzynki, a geometryczna noga stołowa występuje w duecie z „kończyną” toczoną, jakby wyjętą z babcinego stolika. Wykorzystanie recyklingowych materiałów sprawia, że każdy z mebli Ziben Studio jest niepowtarzalny.

Nani Marquina

Hiszpańska projektantka dywanów, poszukując nowych pomysłów na materiały i faktury, postanowiła zastosować jako budulec pasy gumy odzyskanej ze starych dętek rowerowych. Na jeden dywan trzeba ich około 140 – na szczęście w Indiach, gdzie są produkowane, rower jest najpowszechniejszym środkiem transportu i surowca do recyklingu raczej nie brakuje. Dywany Bicycleta mogą być stosowane zarówno we wnętrzach, jak i w plenerze.



Merry-go-Round

Dwie Szwedki tworzące tę działającą w Göteborgu markę projektowanie zaczynają od ustalenia, jakie odpady czy resztki materiałów z lokalnych fabryk uda im się uzyskać. W przypadku lamp Drawstring były to resztki tkanin firmy Svensson Markspelle używanych do produkcji rolet przeciwsłonecznych oraz kawałki drewna z lokalnych stolarni. Lampy produkowane są w warsztatach Returhuset – organizacji uczącej zawodu ludzi długotrwale bezrobotnych. Całości dopełniają pieczołowicie dobrane detale: specjalnie produkowany sznurek i kable w tekstylnych oplotach oraz drewniany element do regulacji długości kabla.



Florie Salnot

Nawet plastikowe butelki mogą się stać złotem dla pozbawionych środków do życia uchodźców z państw saharyjskich. Florie Salnot, designerka zaangażowana głęboko w rozwiązywanie problemów społecznych, wymyśliła sposób, aby kobiety żyjące w obozach na pustyni mogły produkcją biżuterii zarabiać na utrzymanie swoich rodzin. By stworzyć spektakularne, wyglądające niczym dzieła mistrzów jubilerskich kolie i naszyjniki Plastic Gold, wystarczy mieć kilka butelek, ognisko, piasek i odrobinę złotej farby.

FRANCISZEK BARWIŃSKI

Kluczowa sprawa

Szczęście. Trudno je sobie wyobrazić, gdy brakuje nam poczucia bezpieczeństwa. Żeby je sobie zapewnić, zabezpieczamy się na wszelkie sposoby. W obawie przed utratą tego, co dla nas najcenniejsze, coraz bardziej się zamykamy. Bez kluczy ani rusz. Chyba że odnaleźliśmy... klucz do szczęścia.

Harvey Specter nigdy nie przegrywa. Harvey jest bystry, przystojny, ambitny i szczwany. Harvey pracuje w nowojorskiej kancelarii prawnej Pearson & Hardman. Harvey... Moglibyśmy tak długo, bo Harvey jest ostatnio naszym ulubionym bohaterem serialowym. Harvey oraz jego pomagier Mike Ross, geniusz i emocjonalny imbecyl w jednym. Harvey oraz jego sekretarka, o, pardon, idealna asystentka Donna Paulsen (dlaczego grająca ją fantastyczna Sarah Rafferty nie dostała za tę rolę tytułu Złotych Globów?!). Harvey, bohater serialu „Suits”, u nas emitowany pod tytułem „W garniturach”, to taki jurystyczny doktor House. Harvey, podobnie jak arogancki lekarz, jest nie tylko doskonałym fachowcem. Harvey też ma to coś. Harvey jest uwielbiany albo nienawidzony.

Nie mamy zamiaru wchodzić na terytorium Katarzyny Nowakowskiej, która w „Przekroju” pisze o serialach i wie o nich tyle, że z wrażenia możemy tylko przed nią uklęknąć i westchnąć, przyznając się do bezdennej ignorancji. Pragniemy jedynie podzielić się refleksją, która nasza nas po obejrzeniu najnowszego odcinka „garniturowców”. Harvey, nasz genialny Harvey Specter, jest zbędny. Podobnie zresztą jak prawnicy z krwi i kości zamieszkujący Buxtehude, Wieluń lub Locarno. Dokładniej rzecz ujmując, Harvey oraz jego koledzy po fachu byłiby zbędni. Jak mawia nasz lekarz z krwi i kości,

Franciszek Barwiński zajmuje się zwykłymi rzeczami. Píše o ich historii, twórcach i użytkownikach.

który porzucił nas, by leczyć więźniów zakładu karnego w Hławie: tam, gdzie kończy się zaufanie, zjawiają się prawnicy. W idealnym świecie, upłynniając – przykładowo – mieszkanie, sprzedający rzekłby do kupca: sprzedaję ci to mieszkanie za 400 tysięcy. Daję słowo, że nie jest zadłużone i że nie zameldowałem tu 17 Dexterów. I że spółdzielnia mieszkaniowa „Przemiła” jest do kitu, bo nie potrafi załatać dziury w dachu, więc najbliższe trzy sezony będzie ci się lało z powały na nos, drogi Gawle. I obiecuję też, że nie zostawię ci w piwnicy 200 słoików z przetworami, lecz wszystkie je na czas uprzątnę. Rzeczony Gawle odpowiedziałby: super! Najpóźniej we wtorek, Pawle, przeleję na twoje konto 400 tysięcy. I załatwione.

Ale z jakiegoś powodu ludzie lubią utrudniać sobie życie. Większość z nas nie dotrzymuje słowa, a niektórzy również warunków spisanych w umowie. Pechowcy trafiają nawet do paki (i przy okazji podwędzają czyjegoś ulubionego internistę). To nie koniec kłopotów, bo jeśli nie zostali obdarzeni łaską wiary, łądują w jednym z kręgów piekielnych, o czym są z kolei przekonani ludzie nią obdarzeni. I jeżeli – przykładowo – zaledwie kilka taktów muzyki country przyprawia tych nieobdarzonych o atak rwy kulszowej, niech się już lepiej szykują na to, że w nieskończoność będą słuchali Dolly Parton. I niech przypadkiem nie liczą na pomoc Gregory’ego House’a ani tym bar-

dziej Harveya Spectera. W Boskim Planie nie ma wzmianki o apelacji.

Gdyby ludzie, zwłaszcza w Polsce, mieli do siebie nieco więcej zaufania, nie musielibyśmy się też, na własne życzenie, łądować za kraty, zaciągając kredyty hipoteczne na mieszkania w osiedlach strzeżonych. Ani inwestować w immobilajzery, rottweilery, kamery, wizjery oraz inne bajery, z których miłościwie wymienimy jedynie rolety, zasuw, blokady, łańcuchy, sejfy, kłódki, zamki i klucze. Nieufność to oczywiście nie tylko nasza narodowa cecha. Niejaki Linus Yale Senior (1797–1858), wynalazca zamka bębnowego, był przecież Amerykaninem. Najśłynniejsze swoje dzieło wymyślił w 1848 r. 13 lat później jego syn opatentował zamek i rozkręcił biznes, który funkcjonuje do dziś.

Klucz yale to naturalnie nie pierwszy dowód braku zaufania. Najstarszy zamek wraz z kluczem został wydłubany z ziemi przez archeologów w pałacu w asyryjskim mieście Dur-Szarrukin. Jego wiek określa się na mniej więcej 4 tys. lat. Był, jak zresztą przez wiele kolejnych wieków, zrobiony z drewna. I choć nie był szczytem inżynierii, działał na podobnej zasadzie co wynalazek Yale’a seniora. Drewno przy produkcji kluczy zostało wyparte przez metal pod koniec IX w. naszej ery, co zawdzięczamy angielskim rzemieślnikom. Brytyjczycy zapisali się w historii tego cechu jeszcze nie raz. W 1778 r. Robert Barron stworzył dwuzapadko-



wy zamek, który mógł być otworzony przez klucz podnoszący jednocześnie obie zapadki. Sześć lat później Joseph Bramah zaprezentował dzieło niemal doskonałe. Wynalazca był tak pewny swego, że temu, kto otworzy jego zamek, zaoferował wysoką nagrodę. 200 gwinei musiało czekać na laureata aż 67 lat. W 1851 r. na Wielkiej Wystawie Światowej w Londynie zjawiał się amerykański ślusarz Alfred Charles Hobbs. Otworzenie zamka Bramaha zajęło mu aż 51 godzin (na co z przerwami poświęcił ponad dwa tygodnie).

Kluczy opatentowanych wieki temu, może trochę ulepszonych, używamy do dziś. Bo choć nasze smartfony i tablety czynią cuda, o jakich nie śniło nam się jeszcze dekadę temu, karty elektroniczne jakoś wciąż nie mogą wyprzeć oldskulowych wynalazków a la Yale. Wprowadzają je co prawda do użytku zamożniejsi hotelarze oraz producenci samochodów, jednak zarówno turyści, jak i kierowcy narzekają na ich awaryjność.

A co z kluczem do szczęścia? Podał go na tacy żyjący w czasach Yale’ów, Barrona i Bramaha pewien Japończyk. Mnich buddyjski, poeta i niezrównany kaligraf Ryōkan Taigu (1758–1831) prowadził skromne życie na odludziu. Jak głosi legenda, pewnej nocy, kiedy wrócił do chaty, zastał w niej złodzieja. Złoczyńca był rozczarowany, bo nie znalazł niczego, co można by zwędzić. By pocieszyć łotra, Ryōkan rozebrał się i ofiarował mu swoje jedyne ubranie. Zadziwiony złodziej wziął je i czym prędzej dał nogę. A że była bezchmurna noc, nagi poeta stanął przed chatą i spojrzął w niebo, mówiąc: Biedny

człowiek! Chciałbym mu darować ten przepiękny księżyc. Tyle przypowieść, przekazywana przez lata z ust do ust przez mistrzów i adeptów zen. Ile w niej prawdy? Ryōkan pozostawił po sobie słynne haiku: nusubito ni tori nokosareishi mado no tsuki (pozostawiony przez złodzieja – księżyc za oknem).

ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK & KLINKE

„Jestem emerytem” nie wystarcza

Pieniądze nie trzymały się go nigdy. **Przemysław Saleta** ma talent do zarabiania, ale z równą gracją mamonę wydaje. Kiedyś, jak sam mówi, topił ją w błocie. Dzisiaj bez względu na koszty pielęgnuje swoje moto hobby.

Jak zarobiłeś pierwsze pieniądze?

Jeszcze w podstawówce pracowałem u badylarza. Zbierałem pomidory w szklarni, pielilem zagonki...

Co sobie kupiłeś za pierwszą wypłatę?

Nie pamiętam. Pieniądze nigdy się mnie nie trzymały. Pewnie wydałem wszystko w drodze do domu (śmiech). Potem od ósmej klasy aż do studiów co wakacje jeździłem do NRD na tak zwane Ochotnicze Hufce Pracy. Moja mama jest nauczycielką niemieckiego, więc siłą rzeczy dość niezłe mówiłem w tym języku. To z kolei gwarantowało całkiem przyzwoite zarobki i lepsze fuchy. Za pierwszym razem pracowałem w lesie. Korowaliśmy drewno.

Jak na Syberii.

Prawie. Dziabaliśmy siekierką, było fajnie. Tym bardziej, że nieodpowiedzialni Niemcy traktowali nas jak swoich i dawali do pracy piwo. Sielanka trwała do momentu, kiedy jeden gość wbił sobie siekierę w kolano, a drugi rozciął stopę na pół. Piwo skończyło się momentalnie. Przerzucili nas do zbierania kamieni z pół uprawnych. W ogóle przeszedłem tam chyba przez wszystkie prace w gospodarstwie rolnym. O dziwo, dobrze się na tym zarabiał. Poza tym w NRD można było kupić o wiele więcej rzeczy niż w Polsce. Koledzy, którzy mieli żyłkę do han-

dlu, wyciągali z hufców całkiem niezłą kasę. Chociaż zdarzały się też spektakularne wpadki.

Czyli?

Kolega przemycił do Polski kilka par pięknych niemieckich czarnych lakierków. Pękał z dumy, że będzie miał przebitkę razy dziesięć. Po pierwszym deszczu jego własna para całkowicie się rozkleiła. Okazało się, że nie rozpoznał sklepu z artykułami pogrzebowymi. Buty były z tektury.

Przywoziłeś z tych wyjazdów jakąś kasę czy wszystko szło na imprezy?

Coś musiałem zaoszczędzić, bo kupiłem sobie skuter. Ogólnie jednak – jak już mówiłem – pieniądze się mnie nie trzymały. A Niemki były ładne i wyzwolone. Pewnego razu, gdy miałem jakieś 16 lat, poznałem w pracy o rok starszą Ines. Zaprosiła mnie na weekend do domu. Nie mogłem wyjść ze zdziwienia, kiedy jej rodzice położyli nas na noc w jednym łóżku. Inne wychowanie. Wszyscy wtedy lubiliśmy jeździć do NRD. Po maturze hufce się skończyły.

Jak zarabiałeś na studiach?

Najpierw studiowałem na dzisiejszym SGH, gdzie w spółdzielniach studenckich były super pieniądze. Raz w tygodniu cieciowałem w jakimś budynku

przy Płockiej i zarabiałem tyle, co mój ojciec – inżynier, dyrektor PGR-u. O moim koledze, który jako student odśnieżał przystanki, napisało nawet „Życie Warszawy”. Facet pod przystanek podjeżdżał mercedesem i z bagażnika wyjmował łopatę do odśnieżania. Tak wtedy zarabiali studenci (śmiech). Ja oprócz stróżowania przenosiłem też meble. A potem dość szybko wszedłem w sport zawodowy. W kick-boxingu były wówczas ogromne pieniądze. Szczególnie dla studenta.

Na przykład?

Sto dolarów miesięcznie kosztowało mnie utrzymanie. Sponsor sportowy płacił mi w tym czasie dwa i pół tysiąca dolarów. Kosmos.

Jakie inne kosmiczne niesportowe biznesy zrobiłeś w życiu?

Kosmicznie to ja topiłem pieniądze w błocie. Najpierw w klubie sportowym Saleta Fight Club. Przeinwestowałem. Potem wdepnąłem w gastronomię i zostałem współlnikiem w restauracji. Nie znaliśmy się na tym biznesie. Nie mieliśmy do niego serca. Nie bywaliśmy, nie doglądaliśmy, a pracownicy kradli, co chcieli. Któregoś dnia z piwnicy przez restaurację wynieśli piec konwekcyjno-parowy, który ważył z 80 kilo. Ten interes nie mógł się udać. Szybko splajtowaliśmy.

PRZEMYSŁAW SALETA

(ur. w 1968 r. we Wrocławiu). Mistrz świata w kick-boxingu, a także mistrz Polski, Europy i interkontynentalny w zawodowym boksie. 23 lutego 2013 r. pokonał przez nokaut Andrzeja Gołotę. Tym pojedynkiem zakończył karierę zawodowego boksera.

Kiedy zarobiłeś największe pieniądze?

W reklamie. Kontrakt z Ideą. Łatwa, szybka i duża kasa. Jednak gdyby nie 20 lat treningów, gdyby nie tytuły i wygrane walki, nigdy nie dostałbym takiej propozycji.

Czym się dzisiaj zajmujesz?

Wszyscy o to pytają. Muszę przyznać, że ciężko precyzyjnie odpowiedzieć na takie pytanie. Samo „jestem emerytem” nie wystarcza. Robię wiele rzeczy. Komentuję boks, prowadzę szkolenia motywacyjne...

Ścigasz się na motocyklach...

Niestety, skończyły się już czasy, kiedy płacili mi za jeżdżenie na motorze. Dziś to ja wkładam w moje hobby kupę kasy. W sezonie wyścigowym nie ma mnie dla nikogo.

Raz w tygodniu cieciowałem w jakimś budynku przy Płockiej i zarabiałem tyle co mój ojciec – inżynier oraz dyrektor PGR-u. Oprócz stróżowania przenosiłem też meble.

Wydaje się nam, że jesteś dwa razy za duży na ten sport.

I kto twierdzi, że rozmiar nie ma znaczenia? (śmiech) Oczywiście, że jestem za wielki i nie składałem się w zakrętach tak, jak powinienem. Ale przecież chodzi o frajdę, a nie o wygrywanie z zawodowcami. Dopóki mogę, będę się ścigał. A co za tym idzie, będę wydawał na to pieniądze.

Nigdy już dla nich nie zawalczysz?

W Polsce wszyscy są do kupienia. Nigdy nie mów nigdy.



RAFAŁ MILACH/FORUM

MONIKA BRZYWCZY

Kawa, papierosy, gazeta oraz Monty Python

Kochają samochody, ale stare. Lubią złoto, lecz olimpijskie. Inteligentnych raperów jakoś nie pociąga tandeta.

Jeden rapuje, drugi lepi bity. Łona, czyli Adam Zieliński, uważany za przedstawiciela tzw. rapu inteligentnego. Jego teksty mają konteksty i podteksty – zdecydowanie wyróżniają się na tle typowych hiphopowych produkcji. Dźwiękami doprawia je Andrzej „Webber” Mikosz. Pracują razem od ponad 10 lat, bo właśnie tyle już minęło od wydania ich pierwszego krążka „Koniec żartów”. W 2011 r. założyli wytwórnię Dobrzewiesz Nagrania, która właśnie wypuściła ich koncertowy album.

WYBIERA WEBBER:

1 Liczby

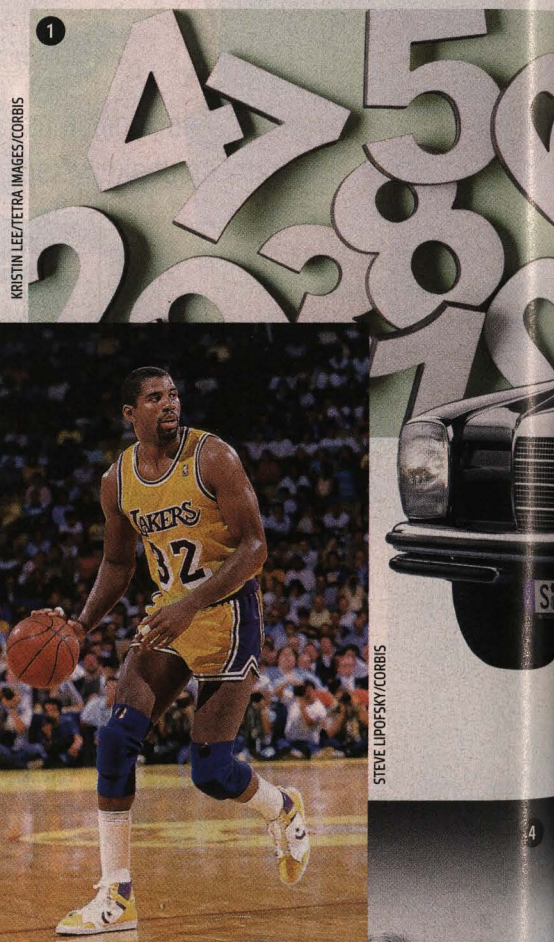
Od młodości mi towarzyszyło zamięślenie do liczb. Do pewnego czasu za punkt honoru pożytywałem sobie znajomość wszystkich numerów telefonów do znajomych, przy czym nie uczyłem się ich specjalnie na pamięć, ale samoistnie je zapamiętywałem. Liczby też pojawiły się przy oglądaniu koszykówki NBA od początku lat 90. Prócz statystyk, które wyświetlały się na ekranie telewizora, rozkochani w liczbach amerykańscy komentatorzy podawali najbardziej wymyślne statystyki dotyczące danego gracza i drużyny, a ja pochłaniałem to momentalnie. Co ciekawe, praca na moim pierwszym programie do robienia muzyki, Fast Tracker 2, polegała na wpisywaniu liter i cyfr i to powodowało, że wydobywał się z niego dźwięk. Zostało mi to do dzisiaj, lubię analizować przeróżne sprawy w kontekście towarzyszących im danych liczbowych.

2 NBA

Skoro mowa o NBA, ten wątek też ma sporo miejsca w moim życiu. Odkąd nie udało mi się dostać do draftu tej ligi, śledzę z uporem maniaaka poczynania drużyn, a zwłaszcza Los Angeles Lakers, której jestem fanem. Od czasów, kiedy grał tam Magic Johnson i Kareem Abdul-Jabbar, do dziś, ze starzejącym się już Kobem Bryantem. Internet od niedawna umożliwia oglądanie transmisji na żywo z meczów tej ligi, w związku z czym od listopada do czerwca co jakiś czas zdarzy mi się zarwać noc (mecze zaczynają się od 2–3 w nocy i kończą o 5–6 nad ranem).

3 Sprzęt

Jestem strasznie hardware’owym geekiem. Ilekroć widzę nowe urządzenie, które mogłoby wesprzeć moje działania muzyczne lub studyjne, pojawia się gorączka. W branży muzycznej jest nawet określenie na tę chorobę – „gear lust”. Na szczęście w większości przypadków stan portfela przywracał mi zdrowy rozsądek i lwia część moich zakupów należy do udanych. Ostatnim nabytkiem jest genialny podręczny sekwenser i syntezator OP-1 firmy Teenage Engineering, który pozwala mi pracować nad szkicami nowych kompozycji w każdym miejscu na Ziemi, gdyż jest niezwykle poręczny (wielkość klawiatury do iMaca), a jego akumulator potrafi wytrzymać wiele godzin zabawy.



Łona i Webber to pochodzący ze Szczecina duet. Tworzą go raper Adam „Łona” Zieliński (ur. w 1982 r.) i producent Andrzej „Webber” Mikosz (rocznik 1980). W zeszłym roku ich piąty album – „Cztery i pół” – osiągnął status Złotej Płyty. Łona, komentując kąśliwie, acz subtelnie rzeczywistość swojego pokolenia, prezentuje nową w polskim hip-hopie jakość wykorzystywania języka polskiego; Webber, operując dźwiękiem w sposób przemyślany i oszczędny, tworzy unikalne kompozycje utrzymane w duchu hiphopowym, niepozbawione jednak elementów nowoczesnych trendów w muzyce. W czerwcu ukazało się ich koncertowe DVD, zarejestrowane w Polskim Radiu Szczecin. Łona i Webberowi towarzyszą zaprzyjaźnieni muzycy z projektu koncertowego The Pimps.

4 Latający Cyrk Monty Pythona

Pierwszy raz natrafiłem na ten serial zupełnie przypadkowo, gdyż pojawiał się na antenie TVP 1 bodajże w poniedziałki w okolicach godziny 18. I zostałem psychofanem. Absurdalne poczucie humoru i te rewelacyjne animacje Terry’ego Gilliamy idealnie trafiły w mój gust i nieco mnie uspokoiły, bo za młodu obawiałem się, że jestem zupełnie odosobniony z moim specyficznym poczuciem humoru.

WYBIERA ŁONA:

5 Mercedes 114 C

Zawsze uważałem, że szczytem stylu, nie tylko we wschodniemieckiej motoryzacji, był trabant. Auto, w którym prostota rozwiązań technicznych spłótła się w cudowny sposób z taką, powiedzmy, niewymuszoną elegancją. Jedynym samochodem, na który zazdrośnie łypałem zza okien mojego Helmuta, był mercedes 114 coupé. W Polsce zwano go puchaczem, z czasem dorobił się również pieszczotliwej nazwy „landryna”, pewnie ze względu na kształt przednich lamp. Już sedan robi wrażenie swoim ponadczasowym dostojeństwem, ale to wersja coupé jest naprawdę intrygująca; wygląda jak wspólne dzieło niemieckiego emeryta i amerykańskiego gangstera z lat 70. Z przodu wydaje się klasyczny, ale kiedy spojrzeć na niego z boku, widać błysk szaleństwa w proporcjach. Idealnych skądinąd. To stary mercedes, prowadzi się jak złoto. Pewnie się go nigdy nie dorobię, to raczej taki jasny punkt na horyzoncie, który się oddala, ilekroć robię krok w jego stronę.

6 „07 zgłoś się”

Wiem, że to rzekomo była laurka dla milicji, że to nie miało wiele wspólnego z rzeczywistością; nic nie poradzę. Może to jakaś nostalgia za dzieciństwem, które mi ten serial mimochodem przypomina, może galanteria Borewicza wobec dam, choćby i upadłych; może scena pościgu otwierająca „Dziwny wypadek” albo brawurowa akcja kończąca „Złocistego”? Może major Wołczyk – archetyp idealnego szefa, może porucznik Antoni Zubek, który był zdania, że porządny mężczyzna nie nocuje poza domem? Może wreszcie tytułowy 07 który, zaproszony przez adwokata na kolejną odpal: „Funkcjonariusz milicji? Na wódkę? W biały dzień? W godzinach pracy? Z największą przyjemnością”? Nie wiem. Dość, że właśnie oglądałem go po raz setny.

7 Kawa, papierosy i gazeta

„Boh trojcu lubit”. Przez lata dorobiłem się patologicznego uzależnienia od równoczesnego zażywania tych trzech rzeczy. Dopóki czegoś nie przeczytam, nie popiję tego rozpuszczalną lurą i nie przepalę dwoma czy trzema szlugami – właściwie nie ma ze mną o czym gadać. Marny byłby ze mnie szpieg; wszystko bym wyśpiewał, wystarczyłoby mnie pozbawić kawy i papierosów i przez jakiś czas nie dostarczać gazet. Najgorzej jest na wyjazdach; ostatnio w geście rozpaczki kupiłem na jakiejś stacji „Nasz Dziennik”, żeby mi się ten tryptyk domknął. Nie bez wpływu jest tu Jarmusch. Mógłbym z powodzeniem zastąpić Renee French w tej scenie z „Kawy i papierosów”, w której pije kawę, pali i czyta, a tę wspinała harmonię burzy co rusz kelner. Ja bym go zabił.



KUBA DĄBROWSKI

Czas przeszło-teraźniejszy

Historia początków jednego z większych fotograficznych przebojów ostatnich lat – „Back to the Future” Iriny Werning.



IRINA WERNING, „PANCHE” 1983-2010, BUENOS AIRES

Buenos Aires, rok 2010. Irina Werning jest fotografką, zajmuje się przede wszystkim klasycznie pojętym dokumentem. Przez kilka ostatnich lat mieszkała w Londynie, pracowała w ośrodku badania opinii społecznej i uczyła się reportażu u nestora gatunku Colina Jacobsona. Zrealizowała kilka klasycznych projektów – m.in. o małych szkołach w Andach. Odnosiła spore sukcesy – wzięła udział w organizowanych przez World Press Photo warsztatach Joop Swart Masterclass. – Fotografia była dla mnie przede wszystkim przepustką, która pozwalała mi dostać się do życia innych ludzi, przyglądać się rzeczom, do których bez aparatu nie miałabym dostępu – mówi. W Buenos Aires zadomawia się na nowo, odświeża stare znajomości i przyjaźnie.

Znajomy zwraca się do niej z typową prośbą o przysługę: czy mogłaby zeskanować zdjęcia ślubne jego rodziców. Werning ma czas, skanuje. Kilka dni później, spacerując z tym właśnie

znajomym, fotografka przypadkowo przechodzi przez ulicę, na której wykonano jeden ze ślubnych portretów. Nic się na niej nie zmieniło – nie powstały żadne nowe budynki, starym nie zmieniono kolorów elewacji. Scena jest uderzająca. – Pomyślałam, że można byłoby dokładnie powtórzyć kadr sprzed 30 lat. Ustawić bohaterów, ubrać i upozować ich identycznie jak na oryginalnym zdjęciu, znaleźć podobne światło. Zauważylibyśmy sprawy, których gołym okiem nie widać. Sprawdziłbyśmy, czy pomimo powierzchownych zmian w ludziach została ta sama energia, jakaś psychologiczna esencja – wspomina Irina Werning. Znajomy od razu dzwoni do swojej mamy, ta jednak nie chce się zgodzić. Jest bardzo kategoryczna; ślubna sukienka ze zdjęcia odsłaniała jej kolana, a teraz jako dorosła kobieta nie chce już pokazywać nóg. Werning przywiązuje się jednak do pomysłu. – Uwielbiam stare zdjęcia, a wiem, że

wbrew pozorom dosyć szybko giną, drugie pokolenie raczej już nie dba o nie. Chciałam złożyć im hołd, dać drugie życie – mówi.

Chętny do eksperymentu z powrotem do przeszłości okazuje się być uniwersytecki przyjaciel Werning – muzyk Pancho. Z jego rodzinnego albumu wybierają klasyczne zdjęcie zrobione przez szkolnego fotografa. Decyduje przede wszystkim dziwna mina modela – coś, co trochę przypomina uśmiech. – Pancho nienawidził swoich okularów, ciągle zakopywał je w ogrodzie i mama za karę kupowała mu coraz brzydsze. Podczas sesji fotograf kazał mu się uśmiechać, a on cały czas myślał o swoich brzydkich okularach. Pomyślałam, że odtworzenie takiej miny będzie niezłym wyzwaniem.

Jako fotografka dokumentalna Werning przyzwyczajona jest raczej do zapisywania zastanej rzeczywistości, a nie kreowania osadzonych w innej epoce planów zdjęciowych. Mierzy się z nieznanymi wcześniej problemami. – Rekwizytów szukałam w sklepach vintage i na targach staroci, w poszukiwaniu szkolnego krawatu z epoki obdzwaniania wszystkie szkoły w okolicy – wspomina. W kilka dni udaje jej się skompletować wszystkie akcesoria. Sesja odbywa się na balkonie fotografki. – Byłam trochę zdenerwowana – w jednym kadrze musiałam połączyć flesz i światło słoneczne. Poza tym było strasznie gorąco, Pancho bardzo się pocił, a oczywiście pracowaliśmy bez makijażu – mówi dzisiaj. Pomimo przeszkód rezultatem jest rzadko spotykany szczerzy śmiech. Wiedzeni przykładem Pancho znajomi Werning również wykonują skok w stare czasy. Kiedy fotografka umieszcza zdjęcia na swojej stronie internetowej, rusza lawina. Do dzisiaj Werning wykonała ponad 200 portretów w 30 krajach.

Kuba Dąbrowski

co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

Irina Werning przyjechała do Polski, gdzie kontynuowała projekt „Back to the Future”. W sumie zrobiła zdjęcia 12 osobom, które wybrała w konkursie zorganizowanym na Facebooku, a także rodzinie Waglewskich oraz Marii Winiarskiej i Marysi Zborowskiej. Zdjęcia z polskiej edycji będzie można zobaczyć w sierpniu i we wrześniu na wystawach w pięciu miastach. Szczegółów szukajcie tutaj: facebook.com/CzasNaPrzeszłość. Mecenasek wydarzenia jest Prudential.

ekiosk.PL™

ponad **380** tytułów prasowych w e-wydaniach!

zobacz jakie to proste i tanie

PRZETESTUJ DARMOWE WYDANIE

**PRZE
KROJ**

www.ekiosk.pl/przekroj_test

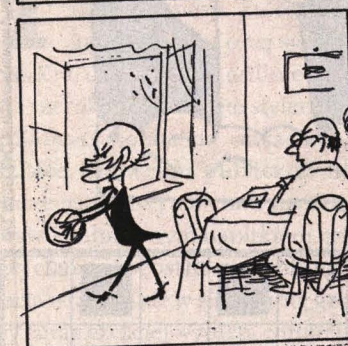


Węgle skwierczą, życie jest piękne, ale jakie podać wino?

81

ROZMAITOŚCI

FILUTER



ZBIGNIEW LENGREN

Marek Raczkowski



Sztuczne Fiolki



Kociak
tygodnia:
Albert, 23
lata. Prawie
absolwent łódzkiej
Szkoły Filmowej.
Interesuje się
literaturą i muzyką.
Wychowany
na bluesie.
Fot. Sonia Szóstak



„Nie mówię,
że kobiety nie
są głupie: stworzono
je na podobieństwo
mężczyzn. George Eliot

i Rzeczpospolita



Gdziekolwiek jesteś, korzystaj z najświeższych informacji o Polsce, współczesnym świecie, prawie i gospodarce.

Pobierz aplikację w App Store i Google Play już dziś.

RZECZPOSPOLITA

rp.pl/zakupy

**Wierzę w to, że filantropia
nie powinna być tylko chwilową metodą
na poprawienie sobie samopoczucia,
lecz długotrwałą inwestycją w ludzi
i w stałą zmianę ich życia.**

Sukces to rzecz osobista.

Dowiedz się, czym tak naprawdę jest dla

Dominiki Kulczyk-Lubomirskiej

***NOWY NUMER
W SPRZEDAŻY***

Czytaj m.in.:

***Polskie
polo***

*– sport nie tylko
dla elit*

***Prof. Piotr
Moncarz***

*nasz człowiek
w Dolinie Krzemowej*

***Tajemnice
kabały***

*czerwona nitka,
którą nosi pół świata.*

